

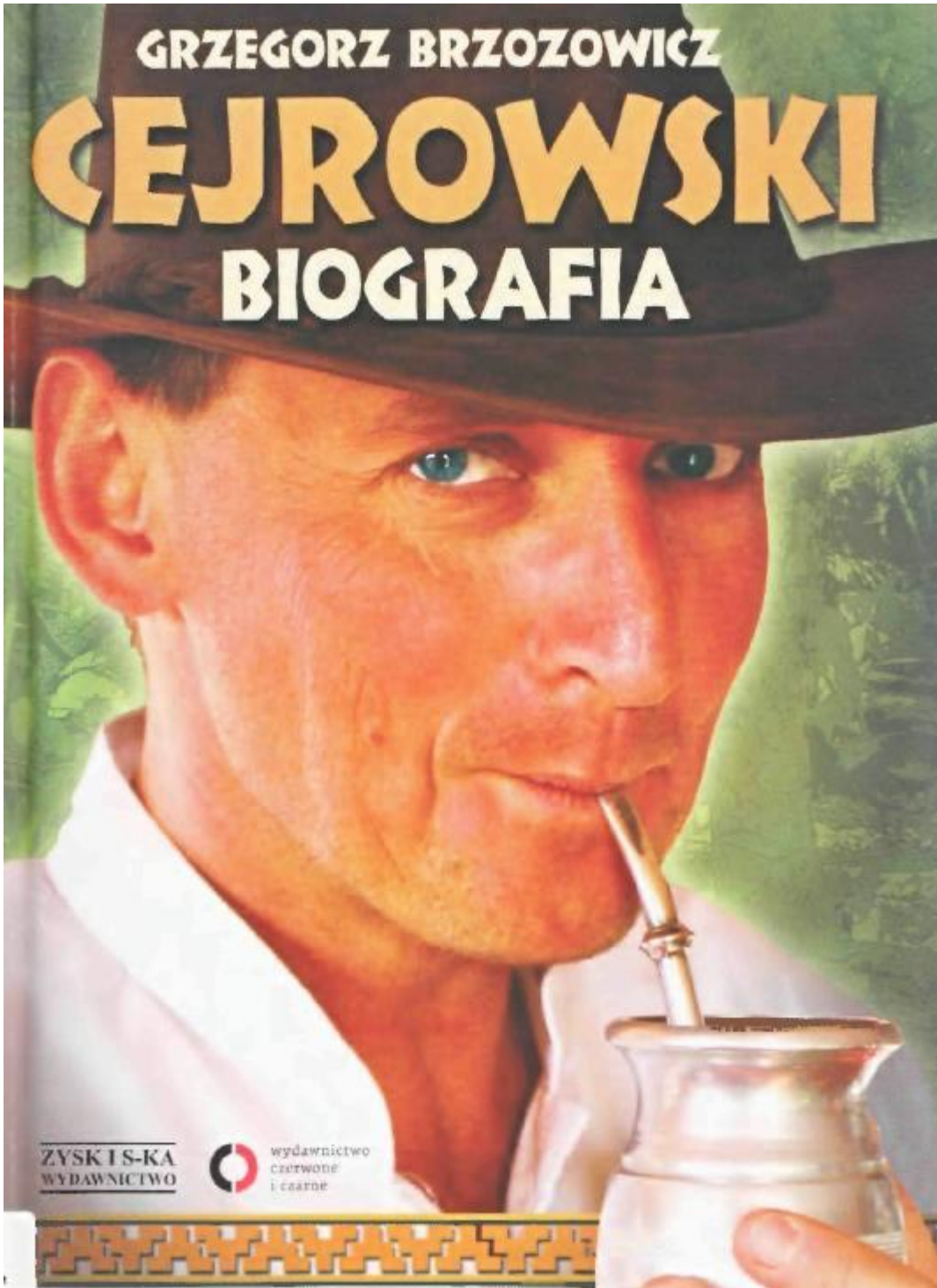
GRZEGORZ BRZOSOWICZ

CEJROWSKI BIOGRAFIA

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO



wydawnictwo
czerwone
i czarne



GRZEGORZ BRZOWICZ

CEJROWSKI
BIOGRAFIA





Na jachcie na Kanale Panamskim – 1996

WSTĘP

W KARUZELU W CZWARTEK POLECAM MULE. Taki napis widnieje na plakacie umieszczonym w witrynie skromnej restauracyjki na warszawskich Bielanach. Mule poleca Wojciech Cejrowski, który na zdjęciu z afisza z entuzjazmem pochłania garnek skorupiaków.



W Karuzelu siadam właśnie przy tym oknie, częściowo zasłoniętym plakatem z WC. Mam tu swój stolik na werandce zarezerwowany tylko dla mnie. Zarezerwowany nieformalnie, bo nie stoi na nim kartka z napisem „Rezerwacja” ani nic takiego, ale wszyscy wiedzą, że to mój stolik, do którego mam prawo przez zasiedzenie. Karuzel to moja przydomowa knajpa na warszawskich Starych Bielanach, w której bywam codziennie od 10 lat. Tu przychodzi moja służbowa poczta, tu spotykam się z ludźmi, zawodowo i towarzysko, tu pracuję i odpoczywam po pracy.

Nie jestem jedynym stałym bywalcem. Jest nas kilkanaście osób, chroniczni przychodzą codziennie, reszta kilka razy w tygodniu. Wszyscy boimy się, że wkrótce, w przerwie na lunch, zaczną się pojawiać krawaciarze z tych wszystkich banków, które nie wiadomo kiedy rozmnożyły się na Kasprowicza, zastępując sklepy z guzikami, używaną odzież, emaliowanymi garnkami i innym badziewiem. Na razie jednak nie przychodzą. Odstrasza ich pewnie mocno peerelowski klimat tego miejsca, odłóżące tapety, lekko śmierdząca, poplamiona wykładzina i ogólnie przedwczorajsza atmosfera, będąca kompletnym zaprzeczeniem ich aspiracji. My chyba też ich trochę odstraszamy.



Dziś czekam na pana Wojtkę. Nie jest naszym sąsiadem, ale ma biuro nie tak znowu daleko. Też na Bielanach, ale tych po drugiej stronie, schodzących po skarpie w stronę Wisły i zwanych oficjalnie Marymontem. Do Karuzela lubi wpadać na wspólne rozmowy. Nie za często, bo zwykle jest bardzo zajęty, ale czasem. Za to, że reklamuje Karuzela, zawsze, kiedy przyjdzie, ma zapewnioną butelkę czerwonego wina, a jeśli zjawi się w czwartek, dostaje porcję muli. A nawet dwie, jeśli będzie w stanie zjeść.

- Dzień dobry.

- O, witam, panie Wojtku.

- Czemu mnie pan zaprosił? Spiesz mi się.

- Dostałem propozycję napisania pańskiej biografii.

- Po co?

- Jest zapotrzebowanie, a ja uważam, że to dobry pomysł. -Ja tak nie uważam. To bardzo zły pomysł.

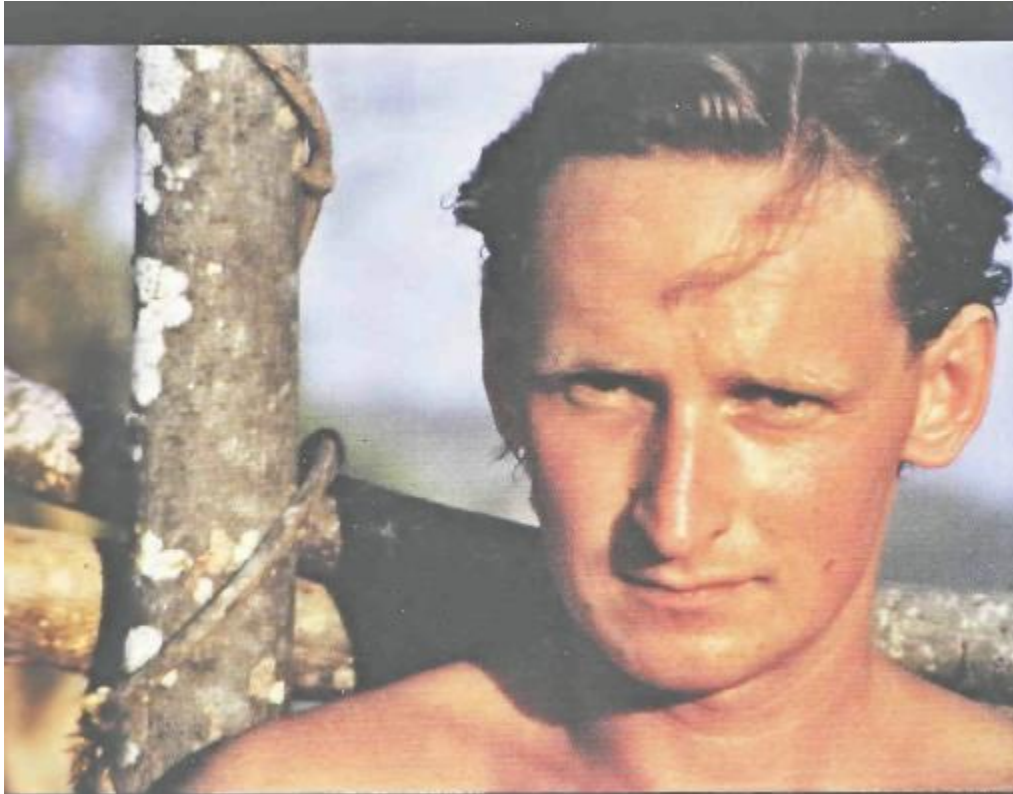
- OK, stop, niech pan zapomni, co przed chwilą powiedziałem.

Zacznijmy jeszcze raz, od początku.

- ???

- Witam, panie Wojtku. Pogadamy?

(...CDN)



Meksyk - okolo 1985-86



WC w 1964

GAWĘDA



LEGENDA



Kiedy we wrześniu 1683 roku król Jan III Sobieski bronił Europy przed pohańcami i zalewem muzułmańskim, pod Wiedeń ściągnęło rycerstwo z całej chrześcijańskiej Europy.

Oczywiście, nie mogło zabraknąć hiszpańskiej szlachty, nieźle zaprawionej w bojach z żywiołem muzułmańskim. Bogate rody delegowały swoich synów, dla których udział w bitwie był wielką szansą, i to niekoniernie związaną wyłącznie ze sławą i bogactwem. W Królestwie Hiszpanii obowiązywało wówczas rygorystyczne prawo, wedle którego syn pierworođny nieczystej krwi, zmajstrowany przez tatusia na boku albo powity przez żonę Żydówkę, me mógł dziedziczyć ojcowskiej ziemi. Łatwo to zrozumieć, gdyż na Półwysep Pire-nejski napierały nie tylko przeróżne *żywioły* od strony Maroka, ale zamieszkiwała go ogromna diaspora Żydów sefardyjskich. Należy jeszcze wspomnieć, że Hiszpania wówczas miała najliczniejszą -po polskiej - szlachtę zubożalą, więc dziedziców chętnych do ziemi było w nadmiarze. A zatem taki „spaprany” młodzieniec dostawał od tatusia wykształcenie, pieniądze, tytuł szlachecki, miecz, konia, giermków, ale nie dostawał ziemi. Chcąc nie chcąc, musiał więc wyruszyć w świat. Niewątpliwą szansę stanowiły dla niego wszelakie wojny, a w szczególności te w obronie krzyża i wiary. Z powyższych powodów do armii króla Jana dołączył młodzieniec de Navarra imienia nieznanego. Syn pierworođny hiszpańskiego szlachcica i mamusi Żydówki. Nasz władca dobrotliwy przywiózł z wyprawy wiedeńskiej kilkunastu takich bezpańskich arystokratów i postanowił osadzić ich na rubieżach Rzeczypospolitej.



Jan III Sobieski wysiał de Navarrę do opactwa cysterskiego w Pelplinie, które wraz z rodziną odwiedził zaledwie sześć lat wcześniej, i pobyt tam przyjemnie wspominał. Zakon cysterski od czterech wieków cywilizował tamtejsze tereny budując sanktuaria, w tym drugi co do wielkości kościół z cegły w Polsce, i zakładając faktorie rolnicze. A że opactwo zarządców miało wyśmienitych (niestety, głównie pochodzenia niemieckiego), to pod koniec XVII wieku gospodarstwo prawdziwie rozkwitło, a pelpliński klasztor stał się jednym z najbogatszych w Polsce. Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że oprócz ziemi Hiszpan otrzymał od króla dodatkowo urząd. Został oskarżycielem w sądach królewskich, czyli, najkrócej mówiąc, przed sąd chłystków prowadzał. No i, rzecz jasna, jako podwładny króla Rzeczypospolitej bacznie zwracał uwagę, by polskie interesy nad niemieckimi górę brały. A ponieważ „oskarżyciel” to po niemiecku „zeier” (co wymawia się „cejer”*), zaś język niemiecki był wówczas na tych terenach językiem bardziej popularnym od polskiego, więc z czasem przedstawiciele hiszpańskiego rodu de Navarra zaczęto nazywać potocznie Zejerami, a w końcu i oni sami przyjęli spolszczone nazwisko Cejrowski.

A skąd to wszystko wiadomo? Ano, z lineażu amerykańskich mormonów. Poszukując dowodu na prawdziwość „Księgi Mormona”, opisującej ukazanie się Jezusa Chrystusa na kontynencie amerykańskim, przez 100 lat tworzyli oni w Salt Lake City największe na świecie archiwum danych osobowych. Mormoni wierzą, że najważniejszą wartością ludzkości jest rodzina, a stosunki rodzinne przenoszone są do życia pozagrobowego. Wojciech Cejrowski nigdy by się nie dowiedział o istnieniu swojego przodka de Navarry, gdyby nie mąż jego siostry stryjecznej, Doroty.

Dorota mieszka w Meksyku. Tam też wyszła za mąż. Jej mąż, Humberto Romero Lois, w prezencie bożonarodzeniowym dla żony zamówił u mormonów drzewo genealogiczne i lineaż rodu Cejrowskich. Był na tyle dociekliwy, że prześledził dodatkowo historię rodu de Navarra na kontynencie amerykańskim - tak na

* W słowniku etymologicznym „Kurzes Deutsches Wörterbuch für Etymologie” z 1834 roku znalazłem na stronie 350 archaiczne słowo „zeiher”, pochodzące od czasownika „zeihen”, co znaczyło „oświecić”, jak też i „pokazać”, a w końcu „oskarżyć”.

wszelki wypadek. Okazało się, że w XVIII wieku na teren dzisiejszego Meksyku przybył - wraz z oddziałami hiszpańskiej armii przeznaczonymi do nadzorowania zamorskiej kolonii - niejaki Angel Navarro. Pochodził wprawdzie z rodu szlacheckiego de Navarra, ale ponieważ był zubożały, a w dodatku w randze szeregowca, w zapisach wojskowych uproszczono pisownię jego nazwiska z „de Navarra” na „Navarro”. (Na podobnej zasadzie w języku polskim rycerz „z Zamościa” stawał się hrabią „Zamoy-skim”, a w końcu zwykłym obywatelem „Zamojskim”). Po opuszczeniu armii Angel Navarro otworzył firmę handlową w miejscowości Saltillo na terenie Teksasu. Potem ożenił się z niewiastą o nazwisku Maria Josefa Ruiz y Pena, przeniósł interes do San Antonio de Bexar i spłodził dwanaścioro potomstwa.

Jego ósmym dzieckiem był Jose Antonio Navarro (1795-1871), który przejął i rozwinął interesy ojca oraz zaangażował się w politykę. Był jednym twórców niepodległości Teksasu, brał udział w pisaniu konstytucji tego stanu, następnie został senatorem, ojcem siedmiorga dzieci, a pod koniec życia bardzo majątym człowiekiem - jego rancza miały łączną powierzchnię ok. 50.000 akrów (ponad 20.000 hektarów).

Pozostali członkowie rodu byli równie mocno zaangażowani w niepodległość Teksasu i zapisali się w księgach historycznych tego stanu. Jeden z bratanków, Andres Nava (końcówka nazwiska urwała się gdzieś w urzędowych zapisach) zginął, broniąc twierdzy Alamo w Teksasie w 1836 roku. Walczył tam u boku sławnego Jima Bowie (1796-1836), który był mężem Josefy Na-varro, jego siostry. W twierdzy schroniły się też dwie kuzynki z rodziny Navarro, jedna z nich z małym dzieckiem. Około dwustu buntowników przez trzynaście dni odpierało ataki kilkutysięcznej armii meksykańskiej, co umożliwiło rebeliantom zebranie sił do kontrataku i ostatecznie oderwanie Teksasu od Meksyku. Republika Teksasu istniała przez blisko dziesięć lat, by następnie przyłączyć się do Stanów Zjednoczonych. Jedną z ulic w centrum teksaskiego miasta San Antonio* nazwano Navarro Street. Woj-

* Dawna twierdza Alamo została wchłonięta przez rozrastające się San Antonio i znajduje się obecnie w samym jego centrum [przyp. red.]

ciech Cejrowski odwiedza to miejsce w czasie każdego pobytu w USA, by zapalić tam znicz.

LEGENDARNY DZIADEK ANTONI

Antoni Cejrowski (rocznik 1910), jako najmłodsze, i do tego jedenaste dziecko, opuszczając dom rodzinny w wiosce Wolental na Ko-ciewiu, nie mógł liczyć na hojność ojca. A dokładniej: nie liczył na nic. Kiedy nadszedł ten dzień, ojciec wziął swego najmłodszego potomka na stronę i rzekł:

- Synu, ostatni jesteś. I zawsze byłeś ostatni. Ale za to najbystrzejszy. Z domu wychodzisz jutro, boś już dorosły i musisz iść w świat. Tobie Pan Bóg dal rozum, dlatego ja cały majątek podzieliłem między twoich starszych braci i pozostały mi już tylko dwie rzeczy do oddania: porządna marynarka i porządne buty. Musisz wybrać jedną z nich.

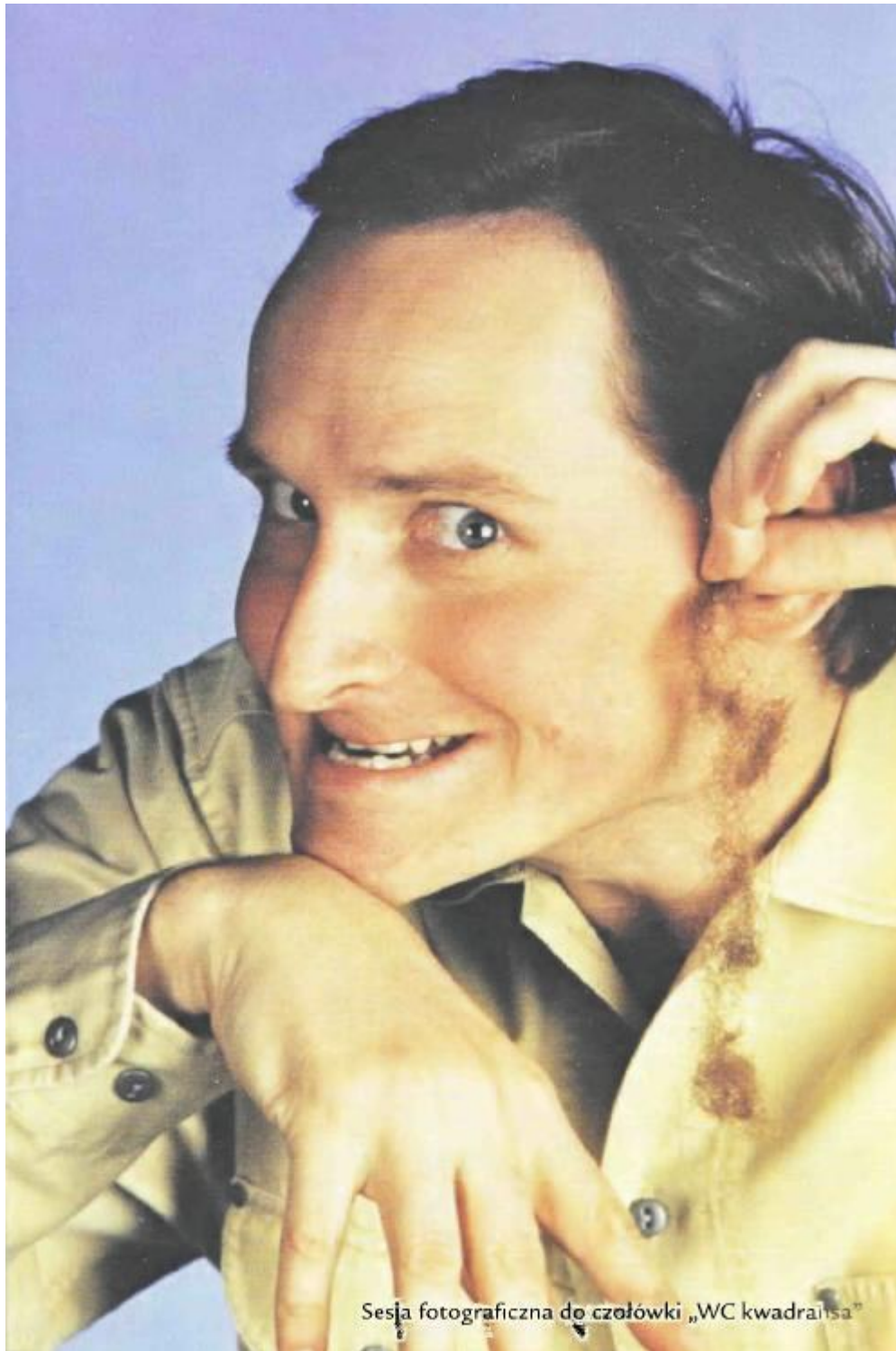
Dziadek Wojciecha całą noc myślał, a rano oznajmił, że chce buty.

- A czemu buty? - spytał ojciec dziadka z ciekawością.

- Bosy facet w marynarce wygląda, jakby ją komuś ukradł - tłumaczył Antoni - a goły facet w porządnym butach wygląda jak okradziony i każdy mu pomoże.

KOCIEWIE

Kociewie - region etniczno-kulturowy, położony na zachód od dolnej Wisty, we wschodniej części Borów Tucholskich. Jego granice są płynne, ponieważ wielkość Ko-ciewia jest określana na podstawie kryteriów etnicznych oraz językowych (gwarowych). Gwara kociewska ma naleciałości z języka holenderskiego (w XVI wieku na Żuławach osiedlili się holenderscy mennonici, którzy na zaproszenie władz Gdańska zajęli się osuszaniem bagien doliny



Sesja fotograficzna do czołówki „WC kwadransa”

dolnej Wisty). Po raz pierwszy nazwa „Kociewie” (w formie Gociewie) pojawiła się 10 lutego 1807 roku w meldunku ppłk. Hurtiga do generała Jana Henryka Dąbrowskiego. Kociewie liczy obecnie około 300 tys. mieszkańców. Jego stolicą jest Starogard Gdański. Wojciech Cejrowski mocno podkreśla swoją przynależność do Kociewia. Promując w swoich programach („WC kwadrans”) tradycyjne i konserwatywne poglądy, nazywał je ironicznie „Ciemnogrodem”; stolicą tegoż Ciemnogrodu uczynił właśnie Kociewie. Pokazywał również piękno tego regionu i tradycyjny styl życia jako przeciwieństwo „Jasno-grodu”, czyli światopoglądu nowego, socliberalnego.

Decyzja o wybraniu butów była kluczowa dla przyszłości dziadka Antoniego. Dzięki wrodzonej mądrości biznesowej, w okresie największej prosperity posiadał trzy kamienice, trzy sklepy kolonialne, dom, około stu jezior w dzierżawie, dwieście hektarów lasów, a po ślubie z Łucją Mielewską, ziemianką z Osieka - także rozległe grunty rolne*. A fortunę zaczął zbijać na... guzikach.

Po opuszczeniu domu rodzinnego, dziadek osiadł w Wolnym Mieście Gdańsk. Kiedy już się tam porozglądał, poznał wszystkie zapachy oraz kąty i nieco pogłównkował, postanowił wybrać się do Łodzi. A tam swe kroki skierował do tych wszystkich Goldblu-mów, którzy - tak jak to było pokazane w filmie „Ziemia obiecana” - zarządzali wielkimi fabrykami tekstylnymi.

- Pany, ja jestem z Wolnego Miasta Gdańska - zaczynał negocjacje dziadek Antoni. - Ja potrzebuję od was kupić końcówki zeszlorocznych serii guzików.

Fabryka, dajmy na to, szła rocznie tysiąc płaszczy, ale guzików musiała mieć większy zapas niż potrzebowano do tysiąca płaszczy, bo guziki przy przyszywaniu pękały. A były to głównie guziki kościane, czasem drewniane lub porcelanowe. Plastikowych wówczas jeszcze nie produkowano, więc każdy charakteryzował się wielką dbałością wykonania. No i dziadek Antoni w łódzkich fabrykach za bezcen skupował końcówki serii z poprzedniego roku. W pociągu powrotnym do Wolnego Miasta Gdańska odliczał guziki i sortował do kopert. Takie komplety zawoził do najdroższych żydowskich krawców w Gdańsku i mówił:

-Panie Goldblum, ja panu gwarantuję, że więcej już tych guzików nigdzie nie ma. Ja sprzedam panu guziki, co żaden pana klient takich samych w całym mieście nie będzie oglądał. Aż stad do Łodzi nie zobaczysz pan takiego guziczka.

A ponieważ wykupił wszystkie końcówki serii, jakie były w mieście *Łódź*, to z wielkim przekonaniem dodawał:

- Panie Goldblum, ja panu daję dowód wyłączności, bo jak mi pan teraz zapłacisz, to ja pozostałe guziki z tej serii tu, przy panu, młotkiem potłukę.

Kiedy dziadek zgromadził dostateczny kapitał, to w Wolnym Mieście Gdańsk, w Gdyni i Skórczu otworzył sklepy kolonialne sprzedające zamorskie towary luksusowe. Szwagier natomiast miał patent Mistrza Rybactwa Śródlądowego, do tego wydany i podpisany osobiście przez prezydenta Mościckiego, więc grzechem byłoby nie wykupić kilku jezior - dziadek kupował jeziora, a szwagier z patentem prowadził na nich gospodarstwo rybackie. I w ten sposób fortuna Antoniego Cejrowskiego rosła i rosła...

Filantropem to może dziadek nie był, ale z pewnością mógł uchodzić za polskiego patriotę. Kiedy zasiadł we władzach Ligi Morskiej i Kolonialnej, zbierał złoto na zakupienie przez Rzeczpospolitą Madagaskaru. Mawiał:

- Wszystkie liczące się kraje mają kolonie, więc nie może tak być, że nowo odrodzona Polska nie ma nic.

Niestety, swego pomysłu nie zdążył zrealizować.

- Gdyby Polska miała kolonie - twierdzi dziś WC - to armia Andersa nie musiałaby wisieć u klamki w Londynie. Nasz rząd, z naszym złotem, z naszym bankiem państwowym, naszym sądem najwyższym i pieczęciami prezydenckimi mógłby wówczas przenieść się „na własne”, a nie prosić o kąt u obcych. To było bardzo rozropne myślenie, choć po wojnie wyśmiewane.*

Kiedy po wybuchu II wojny światowej Wolne Miasto Gdańsk przemianowano na Danzig, dla nie-Niemców miejsca tam już nie było. Dla dziadka Antoniego tym bardziej, gdyż jako znany polski działacz pomorski zapewne przez Niemców hołubiony by nie był. Nie chcąc się o tym przekonać na własnej skórze, przeniósł się wraz z rodziną do Łowicza. Miasteczka, które mijał na swym szlaku podczas sławetnych podróży do Łodzi. Tam otworzył restaurację, której sala przedzielona była łańcuchem na „nur für Deutsche” i „dla Łowiczan”. Miejscowi byli oburzeni i po kątach szemrali, że *przyjechał jakiś Szkop z Gdańska i prowadzi uolksdeutschową restaurację*. W końcu Antoni wziął jednego takiego za kark, zaprowadził na zaplecze, wsadził mu głowę do gara z zupą i dobitnie wytłumaczył:

- Żeby w twojej zupie było mięso, łowicki gnoju, to musi być ukradzione z niemieckiej zupy. Jest wojna i nie dają przydziałów mięsa dla polskich restauracji, rozumiesz?!

U Antoniego na wszystkich talerzach była ta sama zupa, bo z tyłu, w kuchni, był tylko jeden, wspólny kocioł na zupę. No i łowickie gnoje się odczepiły.

Kiedy Ruscy „wyzwalali” Rzeczpospolitą, ustanawiając Polskę Ludową, bałagan się zrobił niesamowity, więc dziadek Antoni pojechał z powrotem do siebie. Teoretycznie mógł sobie wybierać,

* Wypowiedź z programu „Boso przez świat”.

gdzie jest to „u siebie” - w Gdyni miał jedną kamienicę, w Gdańsku drugą, w Skórczu trzecią. Na pierwszą spadła bomba, drugą wyburzyli Ruscy, kiedy niszczyli gdańską Starówkę. W Skórczu został dom ze sklepem, ale oczywiście po „wyzwoleniu” budynek przejęli komuniści, którzy następnie zadusili sklep domiarami skarbowymi. Komuna pozbawiła dziadka Antoniego również kamienicy i knajpy w Pelplinie, ale ponieważ w miasteczku siedzibę miała kuria biskupia, to uznał on, że „u siebie” będzie właśnie tam.

W Pelplinie jako konkurent dla kurii powstał komitet partii, wówczas jeszcze zwanej PPR-em. Choć w miasteczku znalazło się tylko dwóch kolaborantów, a według statutu potrzeba było trzech, to i tak w znaczącym centrum religijnym Dom Partii musiał stać. Traf chciał, że dziadek z rodziną zamieszkał naprzeciwko, na placu Grunwaldzkim pod numerem 1 na pierwszym piętrze, i dzięki temu mógł ze swojego balkonu prowadzić wojnę z komunistami.

Ruscy zostawili mu jedną krowę, gdyż miał czwórkę dzieci. I on, przedwojenny bogacz, dorobkiewicz, a po wojnie właściciel jednej krowy, nauczył tę krowę srać przed komitetem partii. Kiedy krasula, wracając z łąki, wykonała codzienny sabotaż, Antoni Cejrowski siadał na balkonie i wrzeszczał:

- Widzisz, Ignac, co ci partia za robotę dała? Komitet osrany, a ty to gównu musisz sprzątać.

On tak do wszystkich obcych mówił: „Ignac”. Tak miał. Po kilku dniach, kiedy krowa schodziła z pola, to również cały Pelplin schodził się pod komitet popatrzeć. W rezultacie dwuosobowa władza zakazała dziadkowi tę krowę na łańcuchu prowadzić, bo uważała, że on jej tym łańcuchem daje tajne sygnały. Potem zabroniła mu ją ciągnąć na postronku, że niby ją postronkiem mobilizował do srania przed komitetem. Następnie nie mógł Antoni chodzić z batem ani za krową, ani przed krową, ani obok krowy, aż w końcu decyzją partii dostał całkowity zakaz osobistego zganiania krowy z pola. Dojna wracała zatem sama. I przechodząc przed komitetem... nadal srała jak należy. W końcu także ona otrzymała pisemny zakaz zbliżania się do Domu Partii. Na ten pomysł dwaj niezłomni komuniści wpadli na samym

końcu, ale Antoni Cejrowski miał już gotowy nowy fortel. Zanim ostatecznie zabrała go ubecja, sam, w nocy, podkładał krowie łajno przed komitetem, żeby rano było na wycieracze.

Wiedział, jaką zarazą jest komunizm, i nie musiał być prorokiem, by przewidzieć, że jak czerwoni wejdą na Kociewie, to zrobią to, *co* zrobili u siebie: reformę rolną, parcelowanie majątków, no i grabić będą wszystko, co się da. Zanim władza ludowa rozpanoszyła się na Kociewiu, Antoni rozkułaczył się sam. Wsiadł na rower i objechał swoje dobra. Każdego z gospodarzy pracujących na jego polach uświadamiał tak:

- Idzie ruski żywiol, będą dawać wam cudzą ziemię za darmo. A potem Anders przyjedzie na białym koniu i wam tę ziemię odbierze, jako złodziejom. To nie jest dobry interes. W związku z tym ja wam sprzedam tę ziemię. Moją własną ziemię, którą przodkowie mojej żony dostali od polskiego króla, ja wam teraz sprzedam dobrowolnie, żeby mi jej komuniści nie mogli rozparcelować.

- Ale, panie Cejrowski, ja ni móm psianiandzy - mówił każdy z chłopów.

- Ja ci sprzedam tę ziemię za złotówkę. Tylko pamiętaj, Ignac: kiedykolwiek w przyszłości przyjdę tu do ciebie ja, moje głodne dzieci albo moja żona, to ty dasz nam worek kartofli na zimę. Kartofli zrodzonych z mojej ziemi.

I tak się poumawiał ze wszystkimi chłopami na osieckiej ziemi. A jak na Kociewie przyszła reforma rolna, to wszystkie chłopcy pokazywały komunistycznej władzy notarialne akty własności.

- My niepotrzebujem waszy reformy, my żem se ziamnia samni kupsili - wyjaśniali.

Za komuny rodzina dziadka nigdy głodu nie cierpiała. W domu jedzenia zawsze było pod dostatkiem, nawet kiedy wprowadzono kartki na mięso.

Antoni sprzedał wszystkie swoje lasy, jeziora, pola... Sprzedał wszystko, co tylko miał. Za uzyskane pieniądze - a ludzie dawali mu czasem złote dolary - pojechał do Berlina, kiedy granica była

jeszcze niedomknięta. Tam kupił od amerykańskiej armii nowiutki wóz strażacki i przyjechał nim do Pelplina. Poszedł następnie do notariusza i w dokumencie kazał napisać:

Ja, Antoni Cejrowski, sam się rozparcelowałem, a za wszystkie pieniądze, jakie z tego dostałem, zakupiłem wóz strażacki, który niżej funduję Ochotniczej Straży Pożarnej w Pelplinie.

A że nie było innych wozów strażackich, to komunistyczne władze jeszcze przez kilkanaście lat musiały cierpieć tego czerwonego forda. Dziadek siedział na balkonie i wrzeszczał:

- Widzisz, Ignac, gówna sprzątasz, a sikawkę musiałem ci kupić ja!

I za te wszystkie wybryki dziadek Antoni trafił najpierw na ubecję, a potem na dwa lata do więzienia, gdzie siedział bez oficjalnego wyroku.

Kiedy dziadka wypuścili, to utrzymywał się z niczego. Żył z cudów. *Cejrowski ma złote palce do interesów. Zarabia tysiąc, wydaje dwa, a odkłada trzy*, jak wtedy mówiono. Co mógł, to robił. Przez jakiś czas miał sklep-warzywniak, a babka Łucja prowadziła pasmanterię. Czasem u babki, w tajemniczy sposób, pojawiały się ładne guziczki. Takie jak dawniej bywały: drewniane, kościane lub porcelanowe. Przypomnijmy, że babcia była z dobrego, ziemiańskiego domu. Przed wojną poszła na trzy lata do szkoły u sióstr tylko po to, żeby się nauczyć prowadzenia domu. Umiała zarówno piec ciasto, jak i szydełkować. Więc po wojnie ludzie w Pelplinie mówili, że skoro pochodzi z dobrego domu, to *na pewno ładnie umie guziczki dobrać*. No i czasem do jakiejś sukni ślubnej babka wyciągała guziki z tajemnej torebki i mówiła: *To może te?* Były najpiękniejsze -jak biżuteria.

Dziadek prowadził sklep przedwojennymi metodami. Towar miał od tych wszystkich chłopów, z którymi się umawiał, że jak go przyprze, to mają mu pomóc. A po wojnie był cały czas przyparty, więc mówił im:

- Chłopy, nie mam z czego żyć, dajcie czereśni.

*-Panie Cejrowski, na jutro będą narwane, ile pan potrzebuje?
- Dwie torby, bo więcej nie wezmę do autobusu.*

Zebrawszy odpowiednio dużo czereśni, Antoni otwierał stragan, ustawiał wagę szalkową i lśniącą, przedwojenną szuflę sypał owoce do torebek. Kiedy waga pokazała, że jest już kilogram, krzyczał:

-Jeszcze nie, klientko, u mnie się płaci tylko za owoc. Pestki odliczam!

i wyciągał spod lady garść pestek, które z grzechotem dosypywał na szalkę z odważniczkami, a potem dokładał klientce trochę owoców do torby. Ludzie go za to kochali - widzieli, że to mistrz handlu. A wnuczek suszył mu te pestki na piecu. Żeby były lżejsze.

- Wojtuś, nasusz mi pestek - mówił dziadek. -Jeno nie spal, bo czarne będą.

Potem, na jesieni, były orzechy laskowe i włoskie. I zawsze też były skorupy z orzechów suszone na piecu.

*- Nie płacisz pan za opakowanie. Skorupy odliczam!
- A czemu pan, panie Cejrowski, nie sprzedasz od razu łupanych orzechów? - ciekawili się ludzie.
- Bo wyschną.*

Dziadek żył długo, ale nie doczekał „Solidarności” ani upragnionej wolnej Polski i kapitalizmu. Zmarł zimą na początku roku 1980.

RODZICE

W maju 1939 roku w Skórczu, w mieszkaniu nad sklepem dziadka Antoniego, przyszedł na świat Stanisław, ojciec WC. Od dziecka był świetny z rachowania, więc w normalnych czasach zapewne szybko założyłby własny biznes i otrzymał wsparcie ze strony rodziny. Niestety, w latach 50. w Polsce Ludowej biznes prywatny nie był przy-

szłościowy, więc nastoletni Staś, obierając kierunek studiów, miał nie lada dylemat. Najbliższa była mu matematyka, ale był to mało konkretny zawód, a w rodzinie wszyscy byli nad wyraz konkretni. Lubił też filozofię, ale z tym pomysłem nawet nie próbował się wychylać. W końcu, po kilku nieprzespanych nocach, zdecydował się na fizykę. Pamiętajmy, że wówczas propaganda komunistyczna non stop straszyła amerykańskimi atakami nuklearnymi, więc zapewne grzybki nuklearne też podziały na wyobraźnię Kociewiaka. I tak maturzysta Stanisław przeniósł się z Pelplina do Torunia.

Na studiach Stanisław poznał o rok młodszą Krystynę Cieślak. Dziewuchę ze wsi, tak jak on, która niewątpliwie dorównywała mu fantazją. Bo jak inaczej można było wytłumaczyć jej pomysł zostania astronomem? Mama Krystyna wprawdzie nie była tak barwną postacią jak tata Stanisław, ale przytoczmy w tym miejscu jeden epizod z jej życia zawodowego. Jak wiemy, z wykształcenia jest magistrem astronomii, ale pod koniec lat 60. dla astronomów w PRL-u pracy za wiele nie było. Pani Cejrowska trafiła do biura obliczeniowego, w którym były zainstalowane polskie komputery „Odra”. Zapewne z tego względu, w 1976 roku, w tym biurze miał zostać uruchomiony pierwszy w Polsce komputer IBM. Nikt nie znał angielskiego, nikt nie umiał obsłużyć tej maszyny wielkości kilku szaf na ubrania. Mama zgłosiła się na ochotnika, zamknęła się w pokoju, otworzyła instrukcję. Po trzech godzinach wiedziała już, którą wtyczkę wsadzić do prądu i gdzie jest duży klawisz z napisem „ON”. Odpaliła komputer, zaprosiła pana dyrektora.

- Chodzi? Chodzi. To pogadamy za dwa tygodnie, a tymczasem proszę o podwyżkę i przydział kawy.

Wzięła instrukcję. Wpisywała ręcznie zera i jedynki budując od podstaw programy, które dzisiaj kupuje się gotowe, no i nauczyła komputer myśleć.

Bezpośrednio po ukończeniu studiów rodzice WC zostali wysłani do ponemieckiego Elbląga. Nie było wyjścia, bo wówczas „darmowe” studia ufundowane przez państwo socjalistyczne należało odpracować. Ojciec, jako fizyk jądrowy, zmuszony był zatem do pracy przez cztery lata w fabryce turbin ZAMECH. Rodzice do-

stali byle jakie mieszkanie i pół pensji, bo trzeba było *przecież* oddać państwu nakłady poniesione na wykształcenie. W Elblągu Stanisław założył klub jazzowy, bo *coś* z wolnym czasem trzeba było robić, a na początku lat 60. jazz był jak najbardziej *cool*. Miłość do tej muzyki Stanisław przejawiał już w Toruniu, gdzie prowadził audycje w studenckim radiowęźle. Grał płyty jazzowe. W fabryce też prowadził radiowęzeł i też puszczał płyty, za które ubecja go ciągle ścigała, bo nie mogła mu pozwolić na demoralizowanie klasy robotniczej. *Skąd pan ma te amerykańskie płyty?* - pytali. A *przecież* nawet za komunistów istniało Wolne Miasto Gdańsk. Marynarze, okręty i ta bryza od Zachodu. Oprócz tego w domu były przedwojenne płyty dziadka Antoniego.

Wojciech Cejrowski urodził się 27 czerwca 1964 roku, ale nie w Elblągu, tylko 300 metrów przed tablicą z napisem „Elbląg”. Tydzień przed terminem porodu przyszłej mamie zachciało się czerwonych porzeczek. Pojechała na pole, wzięła stołeczek, usiadła i zaczęła rwać porzeczek do wiaderka. Rwała, jadła, rwała i wrzucała dla Stanisława, i jadła... i nagle odeszły jej wody. Zanim przyjechała karetka z Elbląga, WC już miał główkę na wierzchu.

WC jest pierworodny, jedyny i najwłaściwszy. Jako pierworodny dziedziczy wszystkie tytuły: po pierwsze, te najszlachetniejsze, magnackie - po przodku Hiszpanie z rodu de Navarra. Po drugie, polskie po babce - żona dziadka Antoniego była przecież szlachcianką z rodu Bielińskich. Sam dziadek - pomimo hiszpańskich tytułów - był też jednak Żydowiną. Jego matka nosiła nazwisko Leiman, a z kolei panieńskie nazwisko jej matki brzmiało Neifeld. Czy od strony szlachciców Obszyńskich (rodziny ze strony mamy Krystyny) coś się WC należy? Trudno dociec, bo ani jego mama nie była najstarszym dzieckiem swoich rodziców, ani WC nie był ich najstarszym wnukiem.

WOJTUŚ

Wczesne dzieciństwo WC spędził na Kociewiu, wśród licznej rodziny Cejrowskich. W sposób naturalny zauroczył się dziadkiem Antonim, którego natychmiast uznał za bohatera. Już choćby z tego powodu, że dziadek miał szklane oko. Prawdziwe oko stra-



WC (trzeci od prawej) z mamą na wycieczce zakładowej Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego na grzyby -1969

cii, wybijając szpunt z beczki z piwem. Dziadek miał cztery sztuki takich szklanych oczu. Mówił, że jedno jest do kościoła, drugie, kiedy człowiek wyspany, trzecie, lekko zaczerwienione, gdy dziadek zmęczony, a czwarte do czytania. Pływały w szklance z wodą stojącej przy łóżku i wzbudzały ogromne zainteresowanie dzieciarni. WC mógł godzinami wpatrywać się w te oczy. Podobne właściwości hipnotyczne odkrył kilka lat później w pierwszej domowej pralce automatycznej - cała rodzina gapiała się w jej wielkie oko, obserwując gatki wywijające fikołki.

Kiedy w nudne jesienne popołudnia nic się w Pełplinie nie działo, dziadek szedł na piwo do pobliskiej knajpy „Mestwin”. Tam siadał przy swoim przedwojennym stoliku właściciela i prosił upatrzoną młodą kelnerkę o kufelek. Musiała być nowa, bo wszystkie inne wiedziały już, co się święci. Dziadek wołał deli-kwentkę do stolika i zaczynał opowiadać, czyja ta knajpa była przed wojną, że była dużo bardziej elegancka i że komuniści go zrujnowali, dlatego bidula kelnereczka musi pracować w takich parszywych warunkach. W czasie opowieści pilnował, żeby dziewczyna patrzyła mu prosto w oczy i wtedy, w pół słowa, wy-

puszczał swoje szklane oko do piwa. Cała sala ryczała ze śmiechu patrząc, jak przerażona panna osuwa się zemdłona w ramiona dziadka Antoniego.

Przytoczę opowieść o dziadku Antonim, wygłoszoną przez WC podczas jednego z jego występów publicznych:

Zapewniam, że jako dzieci nie chcieliby państwo spotkać dziadka Antoniego. Czy ktoś z państwa czytał „Muminki”? Mój dziadek występuje w „Muminkach”. Nazywa się Buka - to taki stwór, który nie lubi małych zwierzątek, a jeśli gdzieś na dłużej usiądzie, to w tym miejscu już nic nigdy nie wyrośnie.

Dziadek Antoni Cejrowski nie lubił dzieci, ale w przeciwieństwie do innych ludzi niczego nie kamuflował. On stawał w prawdzie. Jak widział jakieś dziecko, pochylał się nad nim i mówił tak: „Idź stąd!!!! Bo cię spałę!!!!” Dzieci na ogół reagowały prawidłowo, ale niektóre zamuroвывало i wtedy dziadek podnosił brew i wyciągał oko!!!! Do dziś pamiętam to przerażenie.

Kilka lat później robiłem na oku dziadka pieniądze. Kiedy spał, przyprowadzałem kolegów ze szkoły. Szliśmy długo po korytarzu, uważając, żeby nie nastąpić na którąś skrzypiącą deskę podłogową i go nie obudzić. A kiedy stanęliśmy już pod drzwiami, to się odwracałem i zbierałem po 50 groszy od kumpli. Uchylałem drzwi i mówiłem: „Widzieliście zęby w szklance? Każdy to ma w domu, ale w tej szklance z zębami pływa jeszcze oko”. I koledzy z przerażeniem, przez szparę w drzwiach, patrzyli na szklane oko i śpiącego bez oka dziadka. Długo nie patrzyli, bo nogi im się trzęsły.

Część blasku odbierali dziadkowi inni członkowie rodziny, którzy dla kilkuletniego WC byli równie intrygującymi postaciami. Każdy z nich był bajecznie, ale też każdy inaczej, kolorowy. W tej rodzinie dziadek Antoni nie był wyjątkiem - był regułą. I, o dziwo, to nie on zaszczerpił w WC smykałkę do handlu. Pociąg do biznesu cechuje całą rodzinę Cejrowskich. Wszyscy to czuli, czują i będą czuli.

Na przykład stryj Andrzej. Mieszkał w lesie nad jeziorem. Nad to jezioro w weekendy zjeżdżało się miastowe towarzystwo. Piło wódkę, popijając oranżadą, a po sobie zawsze zostawiało śmietnik. Pewnego razu stryj zagadał:

-Jak chcesz zarobić, to idź na grzyby i przy okazji pozbieraj porzrzućane w lesie flaszki. Za każdą dostaniesz w skupie 50 groszy albo nawet złotówkę.

WC miał wtedy cztery czy pięć lat i ciężko mu było nosić butelki w rękach, więc powiedział do stryja:

- Dobra, ale daj mi wózek, który stoi w szopie. A

stryj na to:

- Wózek będzie cię kosztował pięć złotych dziennie.

I to był pierwszy konkretny biznes. Mały WC wiedział, że musi najpierw zebrać pięć butelek, by zarobić na wózek, a dopiero kolejne flaszki dadzą zarobek jemu. Interes trwał kilka lat. Stryj miał zawsze posprzątaną las, a WC coraz więcej drobniaków w puszcze. A gdy nie było już co zbierać, stryj zasugerował zmianę strategii biznesowej:

- Wokół nas rozlokowały się trzy obozy harcerskie. Harcerze piją strasznie dużo wódki, a butelki wyrzucają do wykopanych przez siebie dołów na odpadki.

WC miał w głowie zupełnie inny obraz harcerza, ale kiedy pierwszy raz wszedł do takiego dołu, to się przekonał, że stryj miał rację. Kadra doła gorzałę, jak się patrzy. W dołach były nie tylko butelki po wódce, ale też słoiki po dżemach oraz duże słoje po kapuście i ogórkach. WC opróżniał te doły wcześniej rano albo w nocy, kiedy pijani harcerze śpiewali przy ognisku. Mył szkło w jeziorze i wiózł do skupu. Ponieważ za słoiki słabo płacili, stryj dał mu kolejną dobrą radę:

- Twoja ciotka zaprawia w occie jabłka, śliwki, gruszki i grzybki. I zawsze jej brakuje słoików, więc na pewno da ci za nie więcej niż w skupie.*

* Czyli marynuje.

W ten sposób, krok po kroku, mały WC wyrastał na samodzielnego kapitalistę.

Niestety, w wieku pięciu lat bardzo poważnie zachorował. Miał marskość płuca, czego objawem było wypluwanie kawałków gnijącej tkanki. W szpitalu od razu wzięli go na stół operacyjny i wycięli chore płuco. Rekonwalescencja trwała aż dwa lata, które Wojtuś spędził, tułając się po przeróżnych szpitalach. Wówczas rodzina mogła przychodzić w odwiedziny tylko raz w tygodniu, w niedzielę, i to na godzinę lub dwie.

Oprócz tego, że było to ciężkie przeżycie, przyniosło mi ogromny pożytek - ocenia dziś WC. - Wzmocnienie samodzielności, wzmocnienie ducha, stałem się bardziej odporny. Sieroty muszą być odporne, nie mogą być mazgajami. W szpitalu nikogo nie interesuje, że płaczesz w poduszkę, dlatego dziecko szybko oducza się płakania. Widzi, że jest to bezcelowe, że to kompletnie zmarnowany czas i wysiłek. Skoro nikt inny nie zwraca na mnie uwagi, to ja sam muszę się sobą zaopiekować. Nikt mnie nie przytuli, więc nie będę płakał. Dziecko się takich rzeczy uczy instynktownie. Placzesz, bo chcesz, by ktoś opowiedział ci bajeczkę. Popłaczesz trzy godziny i zaczynasz sam sobie opowiadać bajeczkę. Nikt ci nie przyniesie niczego dobrego do zjedzenia, to jako pięciolatek sam pójdziesz do kuchni i weźmiesz sobie jabłuszko. Dzieci są zaradne. Dzięki takim doświadczeniom nauczyłem się w każdej niesprzyjającej sytuacji budować swój własny świat.

W szpitalu też dawało się kręcić biznes. Strzykawki, igły, rurki od kroplówek, gaziki - w komunistycznej Polsce wszystkiego brakowało, więc odwiedzający chorych byli nową klientelą małego WC. Trochę z nudów, a trochę z ciekawości zbierał wszystko, co wpadło mu w ręce, choćby buteleczki po zastrzykach, na które poza szpitalem znalazł się nabywca. Pewien prywatniak produkował farbki olejne do malowania sklepanych modeli samolotów, tylko nie miał w czym tych farbek sprzedawać, a jak wiadomo, w modelarstwie nikomu nie są potrzebne duże porcje farb. Buteleczki po zastrzykach okazały się w sam raz. WC dwa razy dziennie robił (nielegalny) obchód szpitala i zbierał buteleczki. Po kilku tygodniach miał już nawet sieć dostawców, którzy zamiast wyrzu-



WC w przedszkolu - 1969



WC żołnierzem - 1970



WC w klasie IIID (górný rząd, pierwszy z prawej) - 1973

cać buteleczki do kosza, odkładali je dla niego w jedno miejsce -niech się chłopiec bawi, co to komu szkodzi.

Prosto po wyjściu ze szpitala WC pojechał do szkoły podstawowej w Osieku. Rodzice uznali, że ze względów zdrowotnych będzie lepiej, jeśli naukę rozpocznie na wsi. Wojciech nawet szczególnie nie rozpaczał, że będzie z dala od rodziców, bo uważał, że Kocie-wie jest jego domem, a poza tym uwielbiał tamtejsze krajobrazy i swoją liczną rodzinę. Tak jak na Mazurach, których nie znosi, są tam jeziora, ale w przeciwieństwie do jezior mazurskich, wokół ko-ciewskich rosną suche i widne lasy iglaste, jest tam dużo piaszczystych hałd i słońca. Może dlatego WC dziś tak uwielbia pustynie.

OSIEK

Osiek - licząca około tysiąca mieszkańców wieś na Ko-ciewiu, w województwie pomorskim, położona przy drodze prowadzącej do nadmorskiego kurortu Łeba. Leży nad dwoma jeziorami: Kałębie (największym w powiecie starogardzkim) oraz Czarne. W latach 1996--2000 w Osieku odbywały się „Złoty Ciemnogrodu”, organizowane przez Wojciecha Cejrowskiego, a w latach późniejszych aż do chwili obecnej - coroczne Międzynarodowe Festiwale Muzyki Gospel Camp Meeting.

Po powrocie na Kociewie uczeń pierwszej klasy przystąpił ze zdwojoną energią do zbierania butelek. W ciągu lata nadzorował doły już dziewięciu obozów harcerskich rozlokowanych dookoła wielkiego jeziora Kałębie. Było to możliwe dzięki innowacyjnemu rozwiązaniu technologicznemu, które sprowadzało się do umocowania wózka na butelki za rowerem. Dodatkowo młody przedsiębiorca wykombinował, że sprzedawanie pustych słoików jest mniej intratne niż sprzedawanie pełnych. Dlatego ze swoją ciotką zawarł układ biznesowy - on dostarczał wymyte słoiki, a zapłatę pobierał w przetworach.

- *Ciotka, ty mnie daj te grzybki w occie. A*

ona na to:

- *Dobrze, tylko ty mnie, Wojtuś, załatw ocet i trochę cukru.*

Za dziesięć pustych słoików ciotka oddawała jeden pełen. A oprócz ciotki były *jeszcze* dwie inne gospodynie. Jedna z nich żyje do dzisiaj i przyjaźni się z WC - on jej przywozi zagraniczną kawę, ona jemu robi kociewski obiad. Potem siedzą przy tym obiedzie i kawie, i rozmawiają. O czym? O wszystkim.

W podstawówce mały Wojtek miał już kilka biznesów. Prowadził je, odnotowując bardzo skrupulatnie wszystkie transakcje w specjalnym zeszycie. Zeszyt musiał być koniecznie w kratkę. Koniecznie 64-kartkowy. I koniecznie w grubych okładkach z surowej tektury. WC ma takie zeszyty do dzisiaj (chyba z jakichś dawnych zapasów, bo tego typu brulionów już się dzisiaj nie produkuje) i wszystkie swoje zapisy biznesowe nanosi właśnie tam. A nanosi je wyłącznie plastikowymi długopisami produkcji USA z czarnym tuszem, bo twierdzi, że niczym innym nie umie pisać. Księgowa WC, pani z uprawnieniami dyplomowanego rewidenta, która robiła kontrole w NIK-u, boi się tych zeszytów. Twierdzi, że są dokładniejsze od jej komputera i że WC ma zawsze pod baczny okiem każdy grosz, który przepływa przez jego firmę. A wszystko dzięki temu, że dawno, dawno temu stryj Andrzej kazał mu płacić za wózek. Gdyby tego nie zrobił, to Wojtuś wybierałby butelki z lasu i zarobione drobniaki wydał na oranżadę. A tak, kiedy po trzeciej klasie podstawówki zamieszkał z rodzicami w Warszawie, to zaczął przetwory w occie dostarczać handlarzowi z targowiska



WC w
1972

pod Halą Mirowską. Jeśli przetrzymał słoiki do Bożego Narodzenia, to miał 200-krotne przebicie. Jedynymi marynatami, które WC sam pałaszował, były pikle. Bo *pikle nie są dla chamów. Pikle są dla kociewskich panów!*

PIKLE

Pikle znane na Kociewiu robi się z ogórków nasiennych zbieranych z pola dopiero pod koniec listopada, a najlepiej po pierwszym przymrozku. Z ogórka wydłubuje się nasiona, a resztki miąższu wykrawa się spod zdrewniałej skóry i umieszcza w zalewie octowej, w której twardnieją i nabierają przyjemnego smaku.

Zbieranie butelek i słoików nie było jedynym „wiejskim” interesem WC. Podczas wakacji produkował przepyszne lody na odpusty. Te państwowe, socjalistyczne lody były niesmaczne, bo składały się wyłącznie z wody i cukru. Nie było w nich dość tłuszczu, nie mówiąc o śmietanie, która sprawia, że lody są puszyste i rozplývają się w ustach. Ojciec chrzestny WC, stryj Jan, był mistrzem cukierniczym i nauczył go prostej, przedwojennej receptury, która doskonale nadawała się do uzdatniania słodkich, twardych bryłek sprzedawanych w GS-ie. Za komuny jednym z najtańszych tłuszczów był świński smalec. Tyle że taki kupowany w sklepie śmierdział. Za to ten produkowany przez kuchnię Cejrowskich, rzeźnika, był czyściutki i właściwie bezwonny. Przed odpustem zamawiało się więc u niego bańkę smalcu. Płaciło się 10, 15 złotych albo dawało skrzynkę oranżady ze Skór-cza. Smalec mieszało się pół na pół z lodami, też kupionymi za psie pieniądze. A cały sekret tkwił w idealnym połączeniu składników... Jedno mieszadło było u rzeźnika (do mieszania kielbas), a drugie, identyczne, u cukiernika (do mieszania ciasta). Myło się taką maszyną i mieszało lody ze smalcem. Szybciutko, żeby lody nie rozmarzły. Potem bańki z taką masą wstawiało się do

rzeźniczej chłodni, a następnego dnia jechało z nimi na odpust. Latem było ich w okolicy pięć albo nawet sześć. Lody były sprzedawane na kulki, a reklamowało się je jako NAJPYSZNIEJSZE LODY OD PRYWACIARZA. Bo rzeczywiście, dla osób znających jedynie smaki marek „Bambino” czy „Calypso” te Wojtkowe były najpyszniejsze. I puszyste, że palce lizać. Dzisiaj w lodach są spulchniacze, olej sojowy i różne trucizny typu E. A wtedy była woda, cukier, dodatek smakowy, na przykład z roztartych truskawek, i wyborny smalec wytapiany przez kuzyna.

INTERES WARSZAWSKI

Jak pamiętamy, pierwsze trzy klasy podstawówki WC ukończył w wiosce. Później, kiedy już wydobrzeł po operacji płuca, rodzice sprowadzili pierworodnego do Warszawy. Wojtuś natychmiast znienawidził stolicę i jej mieszkańców, chyba nawet bardziej niż Kaszubów, z którymi Kociewiaczy mają na pieńku od pokoleń. O warszawiakach WC mówi, że to *odpady kulturowe z całej Polski. A o Warszawie, że to góra kompostowa*. Dodatkowo WC jako dzieciak nie cierpiał ruchu ulicznego, samochodów, asfaltu i ludzi z miasta, którzy napływali do stolicy z całej Polski. Rodzice dostali pracę w Warszawie i zapisali go do szkoły, z której zwiawał, kiedy tylko miał okazję. Dokąd? Na Kociewie. Jak? Autostopem, pociągami albo pekaesem.

W szkole dzieciaki od początku wołały na niego „wsioch”, więc z tym większym uporem przez pierwsze dwa lata mówił na lekcjach gwarą. Nigdy jednak nie był klasowym outsiderem, gdyż warszawiaków bił na głowę w matematyce i innych przedmiotach ścisłych. Do tego, mając naturalny dar opowiadania (cecha rodzinna), pisał niezłe wypracowania. Dostawał piątkę za treść, a dwóję za ortografię. WC jest dyslektykiem, ale wówczas grono pedagogiczne nie wiedziało, że taka przypadłość istnieje. I to właśnie w szkole podstawowej zaznacza się jego ciekawy, charakterystyczny rys, który będzie go znamionował później w życiu publicznym - jeśli jest odrzucany, to idzie na przekór. Nie łasi się, nie próbuje się przypodobać, tylko gra na swojej inności; w tym wypadku stawał się z premedytacją jeszcze większym „wsiochem”.

Nie można powiedzieć, że był w szkole nie lubiany. Człowiek dumny i wyniosły, który się szanuje i z pospólstwem nie miesza, jest szanowany. W klasie mieli do niego dystans, była pozorna nienawiść, ale okazało się, że Kociwiaka nie da się stłamsić ani przerobić na warszawiaka. Jak sam twierdzi, rówieśnicy nie byli mu potrzebni do szczęścia. Jemu wystarczała rodzina. Jak się ma braci i siostry, niepotrzebny jest kolega. Jak się ma wujka i ojca, z którymi można o wszystkim porozmawiać, niepotrzebny jest przyjaciel. Dlatego w Warszawie nie wiązał się z żadnymi grupami. Był sam, ale nie samotny. Z czasem rówieśnicy zaczęli o nim mówić „Cejrowski” albo lekko pogardliwie „pan Cejrowski”. Szczególnie ta druga forma przypadła mu do gustu i jest do niej wciąż przywiązany. Pogardę traktuje w tym kontekście jako wyróżnienie i mówi:

- Wolę być pan niż cham.

W szkole nikt nie miał śmiałości go stłuc, chociaż jego zachowanie łatwo można było uznać za prowokujące. Miał obrońcę. Przez rok do jego klasy chodził bowiem niejaki Zenek Sadowski, młodociany kryminalista, który materiał z każdego roku zgłębiał po kilka razy. Pierwszy raz do poprawczaka trafił po tym, jak w bijatyce na meczu piłkarskim zabił niechcący człowieka klamrą od paska. Był wtedy w trzeciej albo w czwartej klasie podstawówki. W szkole Zenek wszystkich miał pod sobą i wszystkich uczył palić papierosy, a potem kazał je sobie przynosić. WC powiedział stanowczo, że nigdy nie będzie palił i w tej kwestii jest konsekwentny do dziś. Zenek popatrzył i zapewne stwierdził, że „*wsiach*” się nie ugnie. Mimo wszystko był to inteligentny gangster, więc szybko zrozumiał, że może WC pobić, ale go nie pokona. W szkole wiadano, że pan Cejrowski ma z Zenkiem jakąś tajemniczą sztamę, więc nikt go nie ruszał.

Pewnego razu, przed Bożym Narodzeniem, WC zauważył na targowisku pod Halą Mirowską paniusę w płaszczyku, która wiążąc choinkę, upaprała się żywicą od stóp do głów. Natychmiast zaczął podchodzić do takich panius i oferować im pomoc w związaniu drzewka. Dostawał złotówkę, czasem dwie. Zwiertżywszy interes, objechał wszystkie składnice harcerskie w stolicy w poszukiwaniu sznurka. Niestety, okazało się, że sznurek jest problemem nie

tylko na wsi w *czasie żniw*, ale i w Warszawie, chociaż snopowiązałki tu nie kursowały. Przed następnym sezonem żniwnym dogadał się więc z szefem kółka rolniczego w Osieku, że w zamian za słoiki dla żony kierownik wygospodaruje mu tyle sznurka, ile WC da radę zabrać. W Warszawie sznurek czekał potem kilka miesięcy na swoją szansę, a kiedy przyszło Boże Narodzenie, rezolutny Wojciech wiązał nim choinki pod Halą Mirowską i dostawał za to po pięć złotych od sztuki. A że sam nie dawał rady obsłużyć wszystkich chętnych, zatrudnił kolegów z podstawówki. On nagał klientów, a oni wiązali. Był królem sznurka, więc zgarniał cztery złote, a pozostali dostawali po złotówce od sztuki. Za swoją robotę miał satysfakcję, że warszawiaki z bogatych domów, które kupują ciuchy w Peweksie, pracują u niego za złotówkę, a on zarabia cztery razy tyle za zorganizowanie im tej roboty - jak prawdziwy kapitalista.

Sprzedawcy drzewek nie mieli mu tego za złe, bo oni przecież nie posiadali sznurka. Chętnie podpowiadali ludziom:

-Jak pani kupi u mnie choinkę, to tamci chłopcy ją pani zwiążą.

Więc wiązali te choinki masowo, a kieszenie WC pękały od monet.

GS-Y

GS-y, czyli Gminne Spółdzielnie „Samopomoc Chłopska”, istniały w czasach PRL w większości gmin wiejskich. Były to spółdzielcze przedsiębiorstwa produkcyjno-handlowo-usługowe, zajmujące się sprzedażą wszelkich artykułów, od spożywczych poprzez przemysłowe i budowlane do węgla opałowego. Skupowały także żywiec, prowadziły zakłady przetwórstwa spożywczego, piekarnie, rzeźnie, masarnie, a nawet rozlewnie piwa, restauracje czy bary.

Kiedy zaradny Wojciech kończył podstawówkę, przerzucił się na... nocniki. Nocniki, w odróżnieniu od innych produktów z plastiku, były tanie, gdyż socjalistyczne państwo dotowało ich pro-

dukcję w ramach wsparcia dla rodzin z dziećmi. Z kolei dla prywaciarzy produkujących okulary słoneczne nocnik stanowił źródło taniego surowca, którego nie można było kupić na wolnym rynku. WC objeżdżał więc rowerem wszystkie GS-y w okolicy Osieka i skupował towar. Zorganizował sobie całą sieć dostawców, którzy odkładali dla niego tanie wyroby z plastiku. A skąd dowiedział się o wielkiej wartości tego produktu? Ano, na targowisku obok choinek sprzedawano także ozdoby bożonarodzeniowe - plastikowe ornamenty, aniołki i gwiazdki, które były przytwierdzone do plastikowego patyczka, po sześć sztuk na jednym. I jakiś gość chodził po bazarze i zbierał te bezużyteczne patyczki. Oczywiście WC natychmiast przystąpił do interesu - sam zaczął zbierać te patyczki, ale konkurencja była zbyt silna. Niezrażony, dotarł do faceta, który skupował plastikowe odpady - żeby się zorientować, o co w tym interesie chodzi - i w jego warsztacie ujrzał stertę nocników.

- U mnie na wiosce w „gieesie” takich nocników jest pełno. I są jeszcze wanienki - oświadczył WC.

A prywaciarz na to:

- To przywieź mi, ile zdołasz, a ja ci dobrze zapłacę.

Po świętach w Osieku WC przywiózł do stolicy trzy wanienki i wszystkie nocniki, jakie znalazł w pobliskich sklepach. Zarobek był na tyle zachęcający, że podczas następnej wizyty u rodziny przekonał kierownika GS-u, by ten złożył na nocniki znacznie większe zamówienie niż zwykle. Od razu też zadeklarował wykupienie całego towaru, i to za podwójną cenę. Tym razem z nocnikami pojechał pociągiem nie do Warszawy, ale do Gdańska - było znacznie bliżej i szybciej. Tam znalazł pierwszego lepszego optyka i oświadczył:

- Mam nocniki.

A facet od razu wiedział, o co chodzi. I tak panowie rozpoczęli długoletni wspólny interes, który na dobre rozkwitł za czasów „So-

lidarności", gdy rozpoczęła się nielegalna produkcja znaczków do wpięcia w klapę.

DZIADEK FRANCISZEK, TEŻ LEGENDA

Jak już wiemy, WC nie miał potrzeby szpanowania przed kolegami. Wystarczyło mu, że był w szkole „panem Cejrowskim”, i do tego najlepszym uczniem z matematyki. Umiejętność rachowania posiadał, zanim nauczył się alfabetu. To dlatego, że ze swoim drugim dziadkiem, ojcem mamy, rozlewał bimber do butelek. Jako małe dziecko miał do czynienia z litrówkami, półlitrówkami i ćwiartkami. Umiał je szybko dodawać, odejmować, mnożyć, dzielić -z własnego doświadczenia wiedział, *co* to są ułamki. W podstawówce przez długi czas działania matematyczne rozwiązywał w pamięci - po prostu przeliczał wszystko na flaszki. Siedem razy osiem to było dla niego „pięćdziesiąt-sześć-litrów-bimbru”.

Dziadek, Franciszek Cieślak, przed wojną mieszkał gdzieś na Mazowszu. Był wprawdzie biedny, ale wyjątkowo przystojny, więc zalecał się do najpiękniejszej dziewczyny w wiosce, a była nią Władysława - panna herbowa ze szlacheckiego rodu Obszyńskich. Jej rodzice powiedzieli mu tak:

- To jest szlachcianka. Jeśli chcesz ją poślubić, to musisz jej zapewnić byt na poziomie, do którego jest przyzwyczajona.

Dziadek uczęszczał wówczas do szkoły wojskowej w Grudziądzu i w mundurze wyglądał jeszcze bardziej *zabójczo* niż w cywilu. Kiedyś na ulicy wypatrzył go jakiś filmowiec i zapalił się, by Franciszka obsadzić w roli amanta. Na zdjęciach próbnych w Warszawie dziadek wypadł nadszpiewanie dobrze i wrota polskiego Hollywoodu zostały przed nim otwarte. Dziadek miał jednak dylemat: czy zagrać w filmie, czy wyjechać do Francji, tak jak to sobie wcześniej umyślił. Aktorstwo przed wojną uchodziło bowiem za zawód niepoważny: dziś praca jest, jutro nie ma, konkretnej materii w niej brak. Dlatego ostatecznie pojechał do Francji, skąd po czterech latach przywiózł worek

złotych monet - dolarów, bowiem tylko amerykańską walutę uznawał za wartościową. W Polsce kupił za to osiem niemieckich koni pociągowych, perszeronów, stado krów, duże gospodarstwo i maszyny do tego gospodarstwa. Chłop ze wsi, który był siódmym czy ósmym synem, dorobił się, orząc we Francji, tak jak towarzysz pierwszy sekretarz Edward Gierek dorobił się w kopalni w Belgii. W każdym razie, kiedy już miał gospodarstwo zakupione za pieniądze z Francji, to sobie wziął szlachciankę za żonę, a jej rodzina nie protestowała.

Potem przysła wojna. A że Niemiec nie niszczył miejsc, gdzie produkowano żywność, to dziadek trwał na swoim gospodarstwie. Oddawał kontrybucje i kontyngenty, i nieraz było ciężko, ale Niemiec nigdy nie zabrał mu ostatniej dojrzałej krowy ani ostatniego worka siewnej pszenicy. To zrobił dopiero Rusek, a ponadto dziadka rozkuła-czył - odebrał mu ziemię, skonfiskował konie i maszyny. Pozbawiony wszystkiego Franciszek wyruszył zatem z Mazowsza na Ziemię Odzyskaną. Przejął jakieś zrujnowane poniemieckie gospodarstwo, maszyny wyremontował, odkarmił konie, rozmnożył krowy - dorobił się po raz drugi od zera. No a po czterech latach, akurat w tej wiosce pod Koszalinem komuniści postanowili założyć kolchoz. I rozkułaczyli dziadka Franciszka po raz drugi. Doszczętnie.

Po tym doświadczeniu dziadek przez pół roku siedział w kuchni i nic nie robił. Rano wstawał, ubierał się jak do roboty, no ale roboty nie było, bo kolchoz dookoła, więc siadał na stołku przy stole, jadł *coś* mechanicznie, wieczorem mył się i szedł spać. Babcia głaskała go z troską po policzku i mówiła: *Franus to, Franus tamto*. Franus milczał. Rano wstawał, wieczorem kładł się spać, a przez całe dni siedział na stołeczku przy stole i milczał. Trwało to miesiącami. Któregoś dnia Franus nagle wstał i powiedział:

- *Władzia, skoro nic nie mamy, to wracamy tam, skądśmy przyjechali.*

Wrócili do swojej rodzinnej wioski na Mazowszu, ale że z dawnego gospodarstwa nic nie zostało, to osiedlili się 20 kilometrów dalej, pod Gostyninem. W czasach komunistycznej niemocy wyprodukowania najprostszych rzeczy dziadek wykonywał pułapki na myszy i szczury, które sprzedawał osobiście na

targach i bazarach w setkach egzemplarzy. W tym czasie był też największym indywidualnym wytwórcą grabi do siana. Sam chodził do lasu, wybierał drewno, potem sam strugał wszystkie części i składał drewniane grabie. Produkował też noże kuchenne -wycinał ostrza ze starych pil tartacznych znalezionych na złomie i dorabiał do nich drewniane rękojeści. Z jednej piły potrafił zrobić około dwustu noży.

Kiedy w latach 90. do Polski wpuszczono Ruskich i Ukraińców handlujących tanią tandetą, z dnia na dzień ludzie przestali kupować solidne łapki na myszy, solidne grabie, solidne noże do chleba i wszystkie inne solidnie wykonane rzeczy. Dziadek Franek stracił zajęcie, ale nie stracił konceptu. Poszedł nad pobliską rzeczkę, tak zwaną „strugę”, siadł na brzegu i zanurzył nogi w wodzie. Po kwadransie miał na łydkach kilkanaście pijawek. Odkąd WC pamięta, w ten sposób leczył sobie żylaki. Tym razem zdjął pijawki ostrożnie, umieścił w słoiku po konfiturach i poszedł z nimi na bazar. Ruscy nadal handlowali tandetą, a Franciszek Cieślak zbił fortunę, sprzedając przez trzy sezony najlepszej jakości pijawki -na żylaki, nadciśnienie i kilka innych przypadłości opisanych pod hasłem „pijawki” w przedwojennej niemieckiej książce medycznej, którą jego żona dostała w posagu jako niezbędny do prowadzenia domu. Dostała też jeszcze dwie inne książki-niezbędniki: książkę kucharską oraz Biblię z przypisami, którą dzisiaj codziennie rano czyta WC.

WC był ulubionym wnukiem dziadka Franciszka. Pewnie z powodu wspólnych ciągot do biznesu. To właśnie od dziadka Franciszka dostał swój pierwszy tomahawk - dawno temu, w czasach, kiedy był jeszcze Indianinem, a nie kowbojem. Dziadek zbudował mu też najpiękniejszy karmnik dla ptaków, który kształtem i kolorami przypominał hiszpańskie świątynie Maurów.

TATO

Gdyby nie jazz i wrodzona aktywność rodziny Cejrowskich, tata Stanisław w Elblągu umarłby z nudów W założonym przez siebie „El-Clubie”, oprócz wielu koncertów, zorganizował (w 1964 roku)

pierwszy na świecie Międzynarodowy Konkurs Kopert Jazzowych*. Rozmach działalności 25-latką nie mógł ująć uwadze jazzowej centrali i rok później, za namową Romana Waschko, czołowego krytyka muzycznego i pierwszego prezesa Polskiej Federacji Jazzowej, Stanisław Cejrowski przeniósł się z rodziną do Warszawy.

Jak już wiemy, Cejrowscy od zawsze mieli smykałkę do biznesu, więc Stanisław zabrał się przede wszystkim do budowania finansowych podstaw Federacji. Zaraz po przyjeździe do stolicy założył Agencję Koncertową, znalazł się w redakcji nowo powstałego pisma „Jazz Forum”, zajął się organizacyjną stroną festiwalu Jazz Jamboree, a w 1969 roku został sekretarzem generalnym nowo powstałego Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego.

Jednak pod koniec lat 60. polska młodzież zaczęła się odwracać od jazzu w stronę muzyki rockowej, nazwanej przez socjalistycznych propagandzistów *big beatem*, czyli „mocnym uderzeniem”. Tata Stanisław od razu wyczuł zagrożenie, ale zamiast walczyć z nowym żywiołem, postanowił go oswoić. Uznał, że jeśli tłumy walą na występy szarpidrutów, to PSJ mogłoby na tym zarabiać. Plan miał chytry, ale zanim wprowadził go w życie, musiał uporać się z jazzową konserwą.

W PRL-u władzę mieli urzędnicy wydający wszelakie zezwolenia, koncesje, paszporty, a w wypadku muzyków estradowych - kategorie, od których zależało, kto ile będzie zarabiał. Polscy jazzmani, którzy w latach 50. byli synonimem amerykańskiej zgnilizny, dość szybko zostali uznani przez czerwonych towarzyszy za mało groźnych. Wynikało to z samego charakteru jazzu, który jest przede wszystkim muzyką instrumentalną, a więc nie niesie wywrotowych haseł. Wprawdzie polscy jazzmani prowadzili luźny tryb życia, ale nosili się schludnie, tak jak i ich widownia. I tak jazzman przeistoczył się z wroga w alibi dla socjalistycznej kultury. Można go było wysyłać na zachodnie festiwale, pokazując, jak liberalna jest władza zza żelaznej kurtyny. Wprawdzie za granicą muzycy dostawali liche gaże, ale po wymienieniu tych kilkuset dolarów po czarnorynkowym kursie na złotówki mieli w kraju fortunę. Już choćby z tego powodu jazz-

* Chodzi o koperty/okładki na płyty [przyp. red.]



Ojciec WC, Stanisław Cejrowski - około 1968-69

mani nie uciekali za granicę. Przyjemniej było być częścią socjalistycznej bohemy niż trzeciorzędnym muzykiem w wolnym świecie. A ponieważ w większości mieli wykształcenie muzyczne, to władza uznała, że doskonale nadają się do komisji weryfikujących umiejętności długowłosych. Szczególnie że szarpidruły zaczęły jazzmanom odbierać chleb.

Tata Stanisław miał świadomość, że nie powstrzyma kolegów od słodkiej przyjemności udupiania bigbitowców na komisjach weryfikacyjnych. Jazzmani z kategorią „S”, po poniżającym wykazaniu, że długowłosy delikwent nie tylko nie zna nut, ale też i historii muzyki klasycznej, przyznawali debilowi najniższą katego-

rię. I w ten sposób nawet najpopularniejszy szarpidrut za występ przed kilkutyśniczną widownią dostawał honorarium wielokrotnie mniejsze niż jazzman grający dla garstki widzów w podrzędnym domu kultury. Honoraria honorariami, ale wpływy z występów bigbitowców były bardzo konkretne. Stanisław nie miał zamiaru użalać się nad losem rockmanów, tylko chciał zgarnąć leżącą na ziemi poważną monetę. Żeby tego dokonać, jazzmani musieli uznać, że mocne uderzenie też mieści się w szeroko rozumianym pojęciu „jazz”.

Tradycjonałiści z PSJ kręcili nosem, ale Stanisław wyciągnął koronny argument:

- Na tych waszych trąbkach to pieniędzy raczej się obecnie nie zarobi. Natomiast jeśli uznacie, że w ramach jazzu jest miejsce dla rocka, to moja w tym głowa, by było co dzielić.

No i pod egidą Agencji Koncertowej PSJ zaczęła działać grupa Czesława Niemena Akwarele oraz wymyślony przez Stanisława zespół skiflowy No To Co.

Była jeszcze jedna, znacznie poważniejsza przeszkoda, bo natury obyczajowej. Długie włosy, których nie akceptował nikt, poza młodzieżą.

- Szczególnie w telewizji zawsze były problemy z długimi włosami u muzyków bigbitowych - wspominał Stanisław Cejrowski w rozmowie ze mną. - Przekonałem Piotra Janczerskiego, wówczas śpiewającego konferansjera Niebiesko-Czarnych, że kłopoty z włosami skończą się, kiedy powstanie zespół, który ubierze się w krajki i będzie śpiewał ludowe teksty. Zgodnie z tym pomysłem Janczerski stworzył No To Co. Grupę natychmiast wsparła telewizja i błyskawicznie stała się ona jednym z najpopularniejszych zespołów w Polsce.

Ku zadowoleniu partyjnych decydentów wyobraźnią nastolatków zawładnęły piosenki w rodzaju „Te opolskie dziouchy”, „Krowi dzwonek”, „Odpustowy kogut”, „Jare żytko” czy „Zielony mosteczek”. Dodatkowo repertuar grupy został poszerzony o piosenki wojskowe („Defilady”, „Gdy chciałem być żołnierzem”,

„Przybyli ułani”) i patriotyczne („Chlebem i solą”, „Najpiękniejsza jest moja ojczyzna”, „Plonie ognisko”). Tak powstał zespół idealny, któremu - jako jedynej grupie mocnego uderzenia - przyznano w 1969 roku Nagrodę Państwową III stopnia. Z takimi papierami to już można było jeździć zarówno na Wschód, jak i na Zachód.

- Z koncertów zagranicznych pieniądze były zdecydowanie większe niż w Polsce - kontynuował pan Stanisław - bo honorariów nie ograniczały żadne kategorie, które obowiązywały w naszym kraju. Pojechałem do Związku Radzieckiego z No To Co. Pa-gart wynegocjował 700 rubli dla zespołu za koncert. Wypełniliśmy dwanaście razy halę na Łuźnikach, a na jeden koncert przychodziło po 12 tysięcy widzów. Dyrektor GOST-Koncertu przyjął mnie jak królewicza i dał mi 1500 rubli za każdy z występów, bo -jak powiedział -jest nadwyżka.

Kiedy tata Stanisław zaczął wyjeżdżać z zespołami za granicę, a jego podopieczni występowali nie tylko w „demoludach”, ale i we Francji, Włoszech, Niemczech Zachodnich, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, obrotnym menadżerem zainteresowała się Służba Bezpieczeństwa. Zaczęło się nagabywanie, straszenie, aż w końcu Stanisław 8 września 1971 roku, w hotelu MDM w Warszawie, napisał odręcznie notatkę:

Zobowiązanie

Niniejszym zobowiązuję się do zachowania w całkowitej tajemnicy faktu udzielenia dobrowolnej pomocy służbie bezpieczeństwa w zakresie zwalczania wrogiej i przestępczej działalności skierowanej przeciwko PRL. Opracowane przeze mnie pisemne dokumenty będę podpisywał pseudonimem Łowski. Stanisław Cejrowski

Tajny Współpracownik „Łowski” był tak chętny do przekazywania informacji mogących ochronić komunistyczny kraj, że trzy lata później rozwiązano z nim współpracę. W dokumencie z dnia 19 listopada 1974 roku, uzasadniającym taką decyzję, oficer prowadzący napisał:

Tajny współpracownik został pozyskany do współpracy na zasadzie dobrowolności celem kontroli w ruchu osobowym na terenie NRF. W okresie od 1970 roku t.w. nie przekazał żadnego doniesienia mającego wartość operacyjną. Celowo unikał spotkań. Umówione spotkania zrywał. Na (L.K.) nie był wprowadzony, przez okres współpracy wynagradzany nie był. Doniesień nie pisał mimo zobowiązania. Kontrolowany przez „W”. Nie nadaje się do wykorzystania, w okresie W - NIESZCZERY.*

Mimo finansowych sukcesów Agencji Koncertowej, z którą związane były najlepsze ówczesne zespoły rockowe (Niemen, Break-out, Budka Suflera, SBB), tata Cejrowski doskonale wiedział, że bezrobotni jazzmani prędzej czy później zbuntują się przeciwko niemu. Tylko co zrobić, kiedy na początku lat 70. wszyscy chcieli słuchać rocka, a nie jazzu? Kilku najzdolniejszych jazzmanów wyrobiło sobie markę w Europie i kilka razy w roku jechało na oficjalne saksy. Nie tak dobrzy, ale za to obrotni trafili na promy pływające do Szwecji, ale masa wyborcza PSJ była wyraźnie rozczarowana.

Pomysłowy Kociewiak wymyślił zatem kilka festiwali jazzowych, odbywających się w różnych porach roku. Ulokował je w odległych od siebie częściach Polski, tak by ludność miejscowa waliła na nie spontanicznie i miała poczucie wydarzenia artystycznego. A zatem w Lublinie ruszyły „Spotkania Wokalistów Jazzowych”, w Trójmieście „Jazz Jantar”, a w Kaliszu „Festiwal Pianistów Jazzowych”. Festiwalom Jazz Jamboree i Old Jazz Meeting Cejrowski dodał rozmachu, sprowadzając gwiazdy światowego formatu. Aby jazzmani mieli gdzie grać na co dzień, doprowadził do powołania w 1977 roku pierwszego stricte jazzowego klubu w Polsce - legendarnego dziś „Akwarium”.

Jak wiadomo, muzyk bez własnych płyt nie istnieje. A co miał powiedzieć muzyk jazzowy w kraju, w którym nagrań fonograficznych dokonywano według rozdzielnika? Tata Stanisław i na to znalazł rozwiązanie. Uruchomił klub płytowy „Biały Kruk Czarnego Krążka”, który do końca lat 70. wydał prawie pięćdzie-

* Pisownia oraz wybicia według oryginalnej notatki z archiwów IPN.

siąg albumów. Nie dziwota, że pan Stanisław między rokiem 1974 a 1980 pełnił funkcję Sekretarza Generalnego PSJ - wówczas dużej ogólnopolskiej organizacji z oddziałami i biurami koncertowymi w kilku miastach.

Większość pomysłów pana Stanisława była trafiona w dziesiątkę, ale nie obyło się bez wpadek. Najbardziej kuriozalną był tryptyk płytowy nagrany przez zespoły Breakout, Budka Suflera i Skaldowie z okazji zbliżających się latem 1980 roku igrzysk olimpijskich w Moskwie. Sprawa z góry obliczona na szybki zysk, umożliwiający podreperowanie budżetów muzyków. Stanisław Cejrowski uznał, że przed tak prestiżową - z punktu widzenia komunistycznej propagandy - imprezą, płyty muszą być rozprowadzone przez władze w gigantycznym nakładzie. Niestety, i tym razem górą była socjalistyczna gospodarka. Wprawdzie nagrań dokonano jeszcze na przełomie lat 1978 i 79, ale fabryka w Pionkach, ze względu na małe moce przerobowe i brak winylu, wytłoczyła pierwszy nakład... po olimpiadzie. A to były już czasy „Solidarności” i mało kto chciał się poddać urokowi zenujących tekstów w stylu: „Nie przypuszczałem, że jesteś tak piękna ręko boksera cios wymierzająca / Łącząca siłę i precyzję razem/ Nie przypuszczałem, że jesteś tak piękna szara żrenico mierząca odległość / Strzały lecącej do dalekiej tarczy / Nie przypuszczałem, że jesteś tak piękna stopo biegacza, stopo uskrzydłona”... („Nie przypuszczałem”, Skaldowie).

- W tamtym okresie główną bazą dla polskich zespołów było Polskie Stowarzyszenie Jazzowe - wspominał w 1994 roku Romuald Lipko, lider Budki Suflera. - My byliśmy w jego centralnym, warszawskim oddziale. Dyrektorował tam Stanisław Cejrowski. Postać kiedyś szalenie znana, wpływowa. Cejrowski poprosił, a było to przed olimpiadą w Moskwie w 1980 roku, żeby stworzyć tryptyk płyt: Skaldowie, Breakout i my, do tekstów Loebła, a potem wyszło, tak jak wyszło. Olimpiada pociąga każdego. O sporcie można powiedzieć tysiące pięknych rzeczy, ale śpiewać o tym jest trochę cudacznie. Złapałem się na tym w trakcie roboty. Są tam dwa w całości udane numery idużo dobrych pomysłów muzycznych. Nie wstydzimy się tego, choć kiedyś powiedziałem, że ta płyta śmierdzi trampkiem, pozostając z całym szacunkiem dla sportu.

CINKCIARZ

Cinkciarz (z ang. *change money*, wymawianego przez cinkciarzy „cincz many”) - potoczne określenie osoby, która w czasach PRL nielegalnie wymieniała obcą walutę (głównie dolary amerykańskie) i bony dolarowe. Cinkciarze oferowali wyższy kurs niż państwowe banki, dlatego cudzoziemcy chętnie wymieniali u nich swoją walutę na złotówki. Transakcje te wiązały się jednak - jak to w obrocie czarnorynkowym - z dużym ryzykiem, wielokrotnie dochodziło bowiem do oszustw. Cinkciarze byli akceptowani przez władze, ponieważ w gruncie rzeczy wspomagali procesy gospodarcze na małą i średnią skalę, będąc np. źródłem walut zachodnich, potrzebnych na zakup zagranicznych komponentów do składanych i sprzedawanych w Polsce za złotówki urządzeń. Społeczeństwo posądzało cinkciarzy o współpracę z MO, SB i wywiadem, co w wielu przypadkach okazywało się prawdą.

CINKCIARSTWO

Kiedys ojciec zabrał WC na festiwal Jazz Jamboree. Tam roilo się od sław jazzu z całego świata, które w portfelach miały prawdziwą walutę - dolary. Raz tata wysłał syna do jakiegoś czarnoskórego muzyka i przykazał:

- Powiedz temu panu po angielsku, że chcesz od niego kupić 20 dolarów na lekarstwa dla cioci. I daj mu te pieniądze. Będzie wiedział, o co chodzi, bo powiedziałem mu rano, żeby nie wymieniał w PAGAR-cie, bo straci.

WC kupił dolary, nie oszukując jakoś zbytnio, bo przeliczał po cenie tylko trochę niższej od czarnorynkowej. Muzyk od razu za-



Licealista WC tuż przed stanem wojennym - 1981

pytał, czy przypadkiem nie potrzeba więcej. Ojciec zorganizował większą gotówkę dla jazzmana i jego kolegów. Było tego strasznie dużo, z 500 dolarów, czyli wówczas kolosalna kwota. Trzeba było jednak zwrócić złotówki, które ojciec wypożyczył z honorariów innych muzyków. WC poszedł pod bank przy ulicy Szpitalnej, gdzie rezydowali cinkciarze. Dokonał nieoficjalnej wymiany i miał już pierwszy zarobek. Następnego dnia, w reprezentacyjnym hotelu Victoria muzycy już sami podchodzili do niego. Kiedy po raz kolejny WC przyszedł do cinkciarzy ze Szpitalnej, ci zainteresowali się, skąd ma te dolary, czy one nie fałszywe. Powiedział, że od muzyków z Jazz Jamboree. Wtedy cinkciarz powiedział:

- Wiesz co? Jak następnym razem będziesz miał walutę, to do mnie natychmiast przychodź. Znajdę ci robotę.

Zawiązała się sztama. Od tego momentu liczyli dolary i zlotówek: bez sprawdzania pod światło, czy są prawdziwe. A jak się cinkciarze dowiedzieli, że następni muzycy będą dopiero za rok, to stwierdzili, że przez tyle czasu WC nie może się marnować i zrobili z niego tajnego kuriera. Ponieważ był nieletni, to dawali mu plik pieniędzy spięty banderolą, nawet nie wiedział, ile tego jest, i mówili:

- Zanieś to na Starówkę i daj malarzowi, który wystawia na rogu przy restauracji „Dzika Kaczka”

Za każde przeniesienie paczki do malarza-meliniarza WC dostawał pięć dolarów. To był świetny interes, bo wtedy pięć dolarów kosztowało w Peweksie dzinsy Rifle.

PEWEX

Pewex (skrót od „Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrznego”) – sieć sklepów i kiosków walutowych w PRL, utworzonych w 1972 roku z przekształcenia sklepów dewizowych Banku PeKaO. Oferowały towary niedostępne (lub trudno dostępne) w zwykłych sklepach, zarówno importowane, jak i krajowe, które można było kupić wyłącznie za waluty wymienne. Marka Pewex stała się więc synonimem towarów luksusowych. Racją istnienia sklepów wynikała z niewymienialności złotego oraz braku wolnego rynku, a ich celem był skup walut od obywateli przez państwo. Zysk państwa ze sprzedaży produktów importowanych pochodził z marży handlowej, która w warunkach monopolu mogła być wysoka, natomiast sprzedaż produktów krajowych dostarczała państwu dewiz (był to znacznie łatwiejszy sposób pozyskiwania dewiz niż eksport towarów na Zachód).

AMERYKA

Trudno powiedzieć, czy tata Stanisław „zaraził” syna Ameryką. WC od dziecka wiedział, nie wiadomo skąd, że Ameryka JEST. Odkąd pamięta, na dobre towary mówiło się „amerykańskie”, a na krajowe - „gówno”. Te amerykańskie pojawiały się na Pomorzu dzięki marynarzom. Na przykład taki przezroczysty plastikowy długopis BIC był nie tylko śliczny, ale do tego zawsze pisał. WC nie jest człowiekiem konsumpcji, ale dobre towary odróżniał od złych, bo towar musi być dobry, żeby się dobrze sprzedał. Poza tym papier do tyłka też musi być odpowiedni, miękki. A ten socjalistyczny miał właściwości papieru ściernego.

Angielskiego uczono w szkole, ale WC nie był w stanie się tym językiem zauroczyć. Brzmiał szorstko, wyniośle, odpychająco. Szczególnie, że uczyła go... Rosjanka. Wyszła za Polaka, przeniosła się z nim do Polski, języka polskiego jeszcze się nie nauczyła, a angielski poznała w Rosji Sowieckiej i wymawiała wszystko z ciężkim akcentem, więc mało kto się na jej lekcjach mógł czegokolwiek nauczyć. WC najlepiej zapamiętał jeden często słyszany zwrot: *Cij-rowskij, stop eating. Stop eating!* No bo na jej lekcjach zawsze jakoś tak był głodny i wyciągał kanapki.

Jakże inaczej, z jaką wielką przyjemnością słuchał WC rozmów amerykańskich muzyków. Pojął nie tylko, że istnieją dwa zupełnie różne języki angielskie, ale wręcz się zakochał w tym zza oceanu -melodyjnym, urokliwym, bezpośrednim. Wokalista brytyjski śpiewał brzydtko, a amerykański cudnie. Poza tym Amerykanie byli fajniejsi. Tacy roześmiani, a Anglicy tacy zapięci pod szyję, sztywniacy. Nawet jak czarnoskórzy bluesmani występowali w garniturach, choćby taki B.B. King, to też był jakoś tak przyjemnie wyluzowany.

Na filmie o jaskiniowcach Flinstonach WC zauważył kule do kręgli mające trzy otwory. Te, które znał z polskiej kręgielni, nie miały żadnego otworu. Ktoś mu powiedział, że w amerykańskiej bibliotece przy ambasadzie jest książka o kręglach. Są tam zdjęcia pokazujące, że w tamtejszych kręgielniach kręgle „same się ustawiają”. Nie chciał wierzyć. W Polsce wtedy kręgielni prawie nie było, a te, *co* były, w niczym nie przypominały tych amerykańskich. Poszedł do biblioteki przy ambasadzie, obejrzał książkę.

Potem poszedł do toalety, a obok niej znalazł schody prowadzące w dół. Z dołu dochodził piękny język amerykański. Lecił jakiś film. WC zszedł do niewielkiej sali kinowej. Po pokazie usłyszał, że w następny czwartek będzie kolejny pokaz. Oczywiście wrócił po tygodniu, ale okazało się, że tamto zejście jest tylko dla pracowników ambasady. Pomyślał sobie, że najwyżej go wyrzucą - zszedł na pewniaka. Nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi. Przychodził więc potem co czwartek, mówił im wszystkim grzecznie „dzień dobry” po amerykańsku - bo to byli amerykańscy pracownicy -i oglądał, co leci i jak leci. A że polskich napisów w tym kinie nie było, to, żeby coś zrozumieć, musiał się skupiać na tym, co mówią. No i na tych projekcjach wyuczył się angielskiego na tyle, że gdy potem pierwszy raz pojechał na saksy do Szwecji, to się swobodnie porozumiewał ze Szwedami po angielsku. Przepraszam - po amerykańsku.

Kiedy WC chodził do ambasady USA, ubeccja się go nie czepiała. Ale kartotekę miał już od kilku lat. W siódmej klasie szkoły podstawowej został wezwany na pierwsze w życiu przesłuchanie do Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej w Pałacu Mostowskich. Wiązało się to z jego aktywnością w Związku Walki i Sabotażu (ZWS), który założył z dwoma kolegami z podstawówki. Wspólnie, ręcznie, przepisywali ulotki o Katyniu. Byli wtedy albo bardzo głupi, albo nie bali się niczego, bo przecież pismo odręczne łatwo było rozpoznać. Najważniejszą akcją dywersyjną organizacji było niszczenie megafonów rozmieszczanych na ulicach przed pochodem pierwszomajowym. Jak się w tekturowej membranie megafonu zrobiło dziurę za pomocą kawałka drutu lub zwykłego szydełka, to następnego dnia towarzysz Edward Gierek nie mówił normalnym głosem - membrana rozrywała się coraz bardziej, aż w końcu słychać było jedynie charkot. Bojownicy ZWS nie zostali złapani na gorącym uczynku, ale ktoś na nich doniósł. Ponieważ WC był nieletni, wezwano go wraz z ojcem. Podczas przesłuchania ojciec próbował bagatelizować sprawę mówiąc: *Dzieci się boicie? Myślicie, że to przedszkole KOR-u czy co?* Jasne, że WC się bał, bo Pałac Mostowskich to była duża ubecka firma. Ojciec pokazał mu, że pod biurkiem jest magnetofon szpulowy. Trochę rzęził, więc było go słychać. No i jak pan milicjant wyszedł na siusiu, to ten

magnetofon cały czas nagrywał - widocznie liczone na to, że pod nieobecność „władzy” młody dywersant coś wypaple. W końcu nic WC nie zrobiono, nawet nikt go nie postraszył, ale teczkę założyli.

LICEUM

XVII Liceum Ogólnokształcące im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego w Warszawie WC wybrał rozmyślnie - było najbliżej domu i po drodze do szkoły teatralnej. W przyszłości chciał być bowiem reżyserem. Był jeszcze jeden ważny aspekt - w pobliżu mieścił się bar „Mirów”, gdzie można było zjeść barszcz czerwony z pasztecikiem.

Do „Frycza” dostał się bez problemu, bo miał najwyższą średnią w szkole podstawowej. Był najzdolniejszy w klasie, ale to inni otrzymywali nagrody za stopnie, złote tarcze i świadectwa z paskiem, bo był taki wymóg, że średnia średnią, ale nie można było mieć też żadnej trójki. A z polskiego WC zawsze dostawał piątkę za treść i dwóję za ortografię, co dawało średnią „trzy”. Z innych przedmiotów miał piątki, nawet z rosyjskiego, bo raz w roku uczył się na pamięć wiersza z płyty, imitując dokładnie wymowę recytatora. Pani była zachwycona, że mówił bez akcentu i tak poprawnie.

WC twierdzi, że ma zdolności językowe, ale tylko do niektórych języków. Przez dwa lata próbował się nauczyć francuskiego, bo połowa Afryki mówi tym językiem, ale nie dał rady, bo jemu ten język brzydko brzmi. Tak samo było z niemieckim, który też bezskutecznie próbował opanować. Podobna sytuacja miała miejsce z angielskim z Wysp Brytyjskich. Dopóki mama uczyła go z kaset „Bri-tish 901”, to nic mu nie wchodziło do głowy. Kiedy tylko usłyszał amerykański, taki, jakim mówiono w hollywoodzkich filmach, to nauczył się sam. I jak pojechał potem do Ameryki, to wszyscy myśleli, że on jest miejscowy. Urodzony z jakichś emigrantów, ale zdecydowanie miejscowy.

No więc w liceum WC zapisał się do klasy matematyczno-fizycznej z językiem angielskim. Przychodzi na pierwszą lekcję, a tu się okazuje, że jest przydzielony do klasy z francuskim. Niewiele myśląc, udał się tam, gdzie chciał być, usiadł w ławce z hukiem, a zdziwionemu nauczycielowi oświadczył, że jeśli nie zostanie do-



Klasowa wycieczka do Gdańska w stanie wojennym - 1982

pisany do listy, to w ogóle może do tej szkoły nie chodzić, bo on nie będzie się uczył francuskiego. A potem się okazało, że to jest najgroźniejszy profesor w liceum, wicedyrektor Andrzej Korzyb, uważany za pogromcę niewiniątek, po prostu za Heroda. I ujęła go ta niespotykana postawa ucznia, który nie miał zamiaru trząść przed nim portkami. Uśmiechnął się pod wąsem i bez słowa przepisał WC do swojej klasy z angielskim.

- Są ludzie, którzy lubią zwracać na siebie uwagę - opowiada Andrzej Korzyb. - Do takich należał Wojtek. Dla licealisty nie jest ważne, w jaki sposób to się robi, bo celem jest nieustanne podkreślanie, że nie jest się częścią tłumu. Podczas dyskusji na lekcji dochodziliśmy do wniosków, ale Wojtek musiał być zawsze odmiennego zdania. W ten sposób, oprotestowując jakiś sąd, skupiał na sobie uwagę i tym samym podkreślał: „tak twierdzą JA, Wojciech Cejrowski”. Tacy uczniowie są lubiani przez nauczycieli, bo często sami prowadzą lekcje. Jednak czasem nadaktywność Wojtka bywała męcząca, bo nie można bez przerwy zajmować się tylko jedną osobą.

Wojtek nie miał konfliktów z nauczycielami. Wręcz przeciwnie - on z nimi rozmawiał, negocjował. Szybko został członkiem samorządu szkolnego i regularnie wywieszał swoje teksty w szkolnej gazetce ściennej, którą nazwał „Libertus”. Te teksty odbijały się w szkole szerokim echem. Prezentowały nieortodoksyjne, niewar-szawskie spojrzenie na wiele spraw, a ich język był bezpardonowy. Nigdy wulgarny, bo WC nie przeklinał i nie ma zamiaru tego robić. W jednym z tekstów napisał:

Zakazy są po to, żeby je łamać. Taki właśnie nasz stosunek do świata jest przyczyną większości konfliktów młodzi - dorośli. (...) Gdyby jedna ze stron zmieniła taktykę postępowania w stosunku do drugiej strony, to liczba ostrych starć międzypokoleniowych spadłaby dość znacznie i szybko. Otóż: wystarczy, żeby rodzice przestali nam czegoś zabraniać, byśmy zaniechali tego czegoś, jako że, skoro nie ma zakazu, to nie ma również zabawy w łamaniu go.

W okresie „Solidarności” WC wymyślił i - za zgodą wicedyrektora Korzyba, który go uczył polskiego - stworzył „ścianę płaczu”. Na ścianach głównego korytarza porozwieszał kartony, na których licealiści, zamiast pisać w kiblach, mogli bazgrać, co im tylko wpadnie do łba. To miał być dowód, że w Polsce dzieje się coś nowego i możliwa jest wolność słowa. Tygodnik młodzieżowy „Na Przełaj” opisał tę historię, i to ze zdjęciem na pierwszej stronie. PISZ, CO CHCESZ, TAK JAK JA: KORZYB JEST DUPA -taki był początek tej akcji. Podpisanej z imienia i nazwiska. Niestety, akcja trwała krótko: przez pięć przerw, bo ktoś umieścił prawdziwe, żalodne historie z życia jednej nauczycielki. Popłakała się, ale zamiast stwierdzić, że chyba jednak już się nie nadaje do pracy pedagogicznej i powinna pójść na emeryturę, spowodowała zdjęcie kartonów.

W sumie jednak „ściana płaczu” zgromadziła znacznie więcej spontanicznie działających autorów i kibiców niż jakakolwiek inna szkolna inicjatywa - napisała 8 lutego 1981 roku Jolanta Kozak w artykule „Pisz, co chcesz, tak jak ja!”



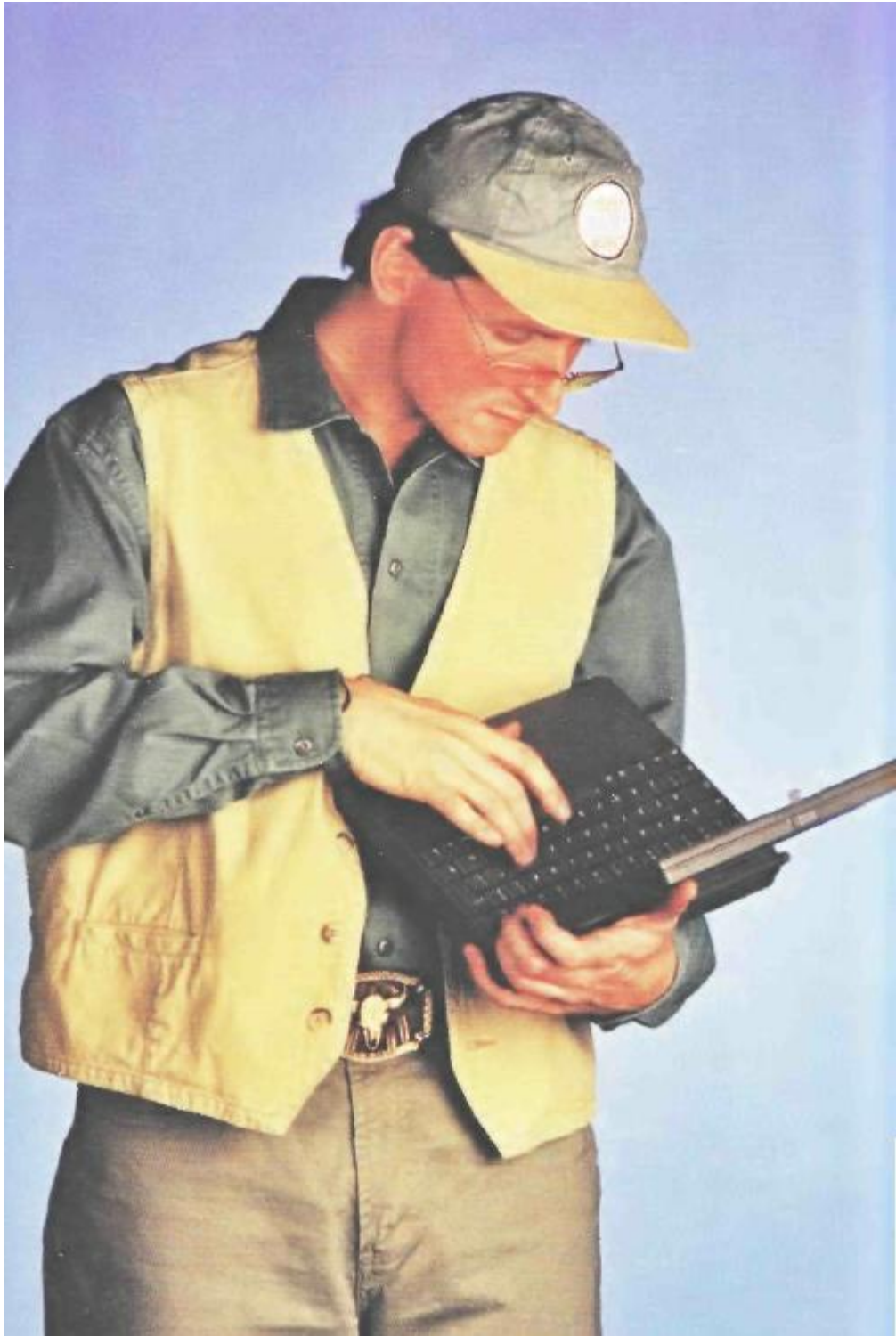
WC tuż przed maturą - 1983

Po Radzie Pedagogicznej postanowiono dać młodzieży drugą szansę i jeszcze raz powieszono czyste kartony. Rokowania co do długości życia „ściany płaczu” numer dwa były nawet niezłe, bo początkowo był miło i kulturalnie. Jednak po kilku godzinach pojawił się wierszyk: *Jeśli chcesz się nabawić kily, z (tu nazwisko nauczycielki) zadawaj się, mój miły*. No i było po sprawie.

Z dzisiejszej perspektywy, najważniejszym dla nas faktem było pojawienie się po raz pierwszy w artykule prasowym imienia i nazwiska Wojciech Cejrowski z dopiskiem: klasa II, członek samorządu. Działalność społeczna dawała WC satysfakcję, ale trudno sobie wyobrazić, by w liceum nie rozpoczął jakiejś działalności gospodarczej. Pewnego dnia poszedł do wicedyrektora Korzyba i poczęstował go pączkami.

- Panie dyrektorze, na dużej przerwie będziemy sprzedawać pączki.

Dyrektorowi zasmakowały, bo były ciepłutkie, prosto z cukierni, więc WC zapowiedział, że załatwi mu codzienną dostawę. A z zarobku zostanie sfinansowany wyjazd klasy do Gdańska. Zysk był oczywiście jego, ale honorowo pomniejszony o koszt wycieczki - wszystko zgodnie z ustną umową. Nikt, oprócz WC, nie przewidywał, że na pączkach można zarobić o wiele, wiele więcej niż na tę jedną wycieczkę do Gdańska.



Pierwszego dnia miał w sklepiku 200 pączków, ale sprzedał je błyskawicznie, więc następnego dnia w ofercie było już 650. Sprzedawał je po 1,50 zł, a od cukiernika kupował po 50 groszy. Cukiernik był zadowolony, bo nagle pojawił mu się kupiec hurtowy, więc opłacało mu się dopieć te 650 pączków do tych, które codziennie robił. Chciał jeszcze dowozić pączki do szkoły, ale WC stanowczo mu tego zabronił i zagroził zerwaniem biznesu. A chodziło o to, by towar przynosili sami licealiści. Pączki trzeba było przecież należycie zapakować, nieść ostrożnie, żeby się nie wykopyrtnąć, przejść przez jedne pasy, przez drugie - więc codziennie na lekcji matematyki dwie osoby wychodziły po pączki. WC prowadził zapisy, kto danego dnia idzie do cukierni. Był do tego celu oczywiście 64-kart-kowy zeszyt w kratkę w tekturowych okładkach, a w zeszycie - taryfikator. Jak ktoś chciał iść po pączki poza kolejnością, dopłacał parę groszy. Ale czasem ratowało się też kolegów słabych z matematyki za friko. Później dopiero zastanawiali się wspólnie, jak ten „uratowany” miałby się odwdziżyć. Czysty układ mafijny - sami wiedzieli, kiedy ten odpowiedni moment na wdzięczność wobec WC nadchodził. No i taka bonanza trwała ze dwa lata.

WC nie należał do młodzieży bananowej, choć nosił „dzwony”, czyli rozszerzane spodnie. Ubierał się też w kolorowe koszule, ale nie wiązało się to z dążeniem do wyróżniania się. Po prostu lubił turkusowy i inne jaskrawe kolory. Od dziecka nosił długie włosy, bo i ojciec miał długie włosy. I tyle. Nie było w tym cienia kontestacji - dla WC długie włosy to była rodzinna tradycja.

WC od zawsze uznawany był za „duszę towarzystwa”, zresztą tak jak każdy z jego krewnych. Do stawiania wina nie był wy-rywny. Zawsze twierdził, że jak ktoś chce się napić, niech sobie zarobi. A warszawiacy nie zarabiali, wszyscy brali pieniądze od rodziców. Przerzucali się potem: a to wranglerami, a to kurtkami z Peweksu, a to kto komu postawi. A jego nie interesowało stawianie za pieniądze rodziców. Nie smakowało mu wtedy. Więc nie stawiał nikomu, żeby i jemu nie stawiano. Mógł sobie kupić, co chciał i kiedy chciał. Miał ochotę napić się hiszpańskiego wina sangria w galonowej butelce z uchem, to szedł do Peweksu i kupował. Wymieniając uprzednio porządne dolary na główniane bony Banku PeKaO.

BON PEKAO

Bon PeKaO - zastępczy środek płatniczy z czasów PRL. Służył do „drenowania” zasobów dewizowych obywateli. Pierwotnie był emitowany przez Bank Polska Kasa Opieki (stąd nazwa PeKaO) i wydawany zamiast pieniędzy osobom, które otrzymywały przekazy pieniężne z tzw. II obszaru płatniczego (USA i kraje Europy Zachodniej). Tak więc obywatele polscy pracujący na rzecz polskich firm za granicą bądź beneficjenci przelewów zagranicznych (wypłat, spadków, darowizn, rent, emerytur itp.) nie otrzymywali należnych im dolarów, franków czy funtów, lecz ich „równowartość” w bonach. Bony te służyły wyłącznie do zakupów w sklepach Banku PeKaO, później przekształconych w sklepy Peweksu. Drugą taką siecią sklepów była Baltona, przeznaczona dla marynarzy i rybaków, emitująca nieco inną wersję bonów dolarowych. Wśród towarów sprzedawanych w sieci Pewex były np. samochody, w „normalnej” sprzedaży dostępne jedynie na przydział lub po długim okresie oczekiwania. Na czarnym rynku za jednego dolara można było dostać 1,1 dolara w bonach.

- Wojtek co pewien czas organizował akcje, które w szkołę wzbudzały ogólne poruszenie - wspomina Sławomir Makaruk „Makaron”, starszy kolega WC z liceum. - Był postacią barwną i albo się go kochało, albo nienawidziło. Podobne nastawienie mieli do niego nauczyciele. Miał wśród nich dwójkę obrońców, a do reszty strasznie podskakiwał i się wymądrzał. W towarzystwie zawsze musiał mieć własne zdanie, zupełnie inne, i to niezależnie od tego, czy miał rację, czy nie. Jego akcje były widowiskowe, ale zawsze takie hej! do przodu. Tak jakby chciał wykrzyknąć: „To znowu ja!”, bo one sprawadzały się do tego, by znowu go zauważyć. Ponieważ uchodził za aktora i prowokatora, to nie zawsze był brany poważnie. Kiedy poją-

wił się w szkole ogolony na tyso, jak twierdził, przez ZOMO, to niektórzy pomyśleli, że mógł sam się ogolić, by znowu się wyróżnić.

SOPOT

Sopot Festival (początkowo Międzynarodowy Festiwal Piosenki, później Międzynarodowy Festiwal Interwizji, od roku 1984 znowu Międzynarodowy Festiwal Piosenki, a od 1992 roku - Sopot Festival) - festiwal muzyczny odbywający się w Operze Leśnej w Sopocie. Pierwszy zorganizowano w 1961 roku w hali Stoczni Gdańskiej, a jego inicjatorem był Władysław Szpilman. W 1964 roku festiwal przeniósł się do Opery Leśnej. Największy rozkwit przeżywał w latach 1977--80, kiedy Telewizja Polska przekształciła go w Festiwal Interwizji, stanowiący konkurencję dla Festiwalu Eurowizji. Organizowano go z rozmachem: była charakterystyczna dla propagandy sukcesu telewizyjna czołówka, była imponująca, pełna światła i szkła scenografia, świetnie eksponująca las za sceną, były wreszcie zagraniczne gwiazdy i drogie nagrody (jacht pełnomorski jako Nagroda Publiczności). Najwięcej emocji wzbudził festiwal z 1979 roku, podczas którego wystąpiła ówczesna gwiazda pierwszej wielkości, zespół Boney M, z zakazaną w Polsce piosenką „Rasputin” (telewizja nadała ten występ dzień później, wycinając tę godzącą w sojusz z ZSRR piosenkę). Wtedy też Demis Roussos tańczył z prezenterką Ireną Dziedzic, a Andrzej Rosiewicz latał jako pszczoła nad całą Operą Leśną. W latach 1981-83 festiwal nie odbywał się. Jego wznowienie w 1984 roku, ponownie pod nazwą „Międzynarodowy Festiwal Piosenki”, oznaczało tzw. postępującą normalizację sytuacji w kraju. Największym wydarzeniem tego festiwalu był występ francuskiego wokalisty Charlesa Aznavoura.

SIERPIEŃ '80

WC umówił się z ojcem, że pierwszego dnia festiwalu w Sopocie w 1980 roku spotkają się w południe w hotelu „Heweliusz”.

Na tydzień przed datą rozpoczęcia imprezy wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej. Trójmiasto zostało odcięte od świata - nie kursowały pociągi ani autobusy, wyłączone zostały telefony. Kiedy jednak WC umawiał się z ojcem, to musiał być na spotkaniu, i to niezależnie od obiektywnej sytuacji. Robiąca wówczas w majty władza pozwalała na wjazd do Trójmiasta jedynie osobom posiadającym tamtejszy meldunek oraz zaopatrującym miasto w podstawowe produkty. WC umówił się zatem z kuzynem piekarzem, że ten przewiezie go do Gdańska pod workami z chlebem. Udało się. Ojca w hotelu jednak nie było, pokoju nie zajął, rezerwacji na jego nazwisko też nie było. Nagle do hallu weszła podenerwowana ekipa telewizji NBC. Amerykanie nie mogli się dogadać z taksówkarzem, który coś tam niezrozumiale dukał do nich po niemiecku. WC natychmiast zaproponował swe usługi jako przewodnik i tłumacz. Nie chciał kasy, tylko pomocy w przedostaniu się do stoczni. Zawiesił na sobie sprzęt telewizyjny i jako członek amerykańskiej ekipy przeszedł przez furtkę. Trochę potłumaczył, został na jedną noc, przespał się na styropianie, powdychał atmosferę i wrócił do siebie na Kociewie.

WC przyjął „Solidarność” z euforią. Angażował się w obalanie komuny, jak tylko mógł i umiał. W szkole było sporo ludzi z warszawskiego Żoliborza. Dzięki nim poznał inteligenckie środowisko, obracające się wokół KOR-u. Obserwował tych ludzi z bliska, najczęściej podczas częstych wizyt w kościele św. Stanisława Kostki. Osobiście nigdy nie odczuwał potrzeby zrzeszania się w jakichś organizacjach. Trzeba było spiskować, to się spiskowało. Bibułę trzeba było nosić, to się nosiło. Albo zbierało bibułę w Warszawie, skąd tylko się dało, i wywoziło na prowincję, bo tam jej brakowało. Było mu obojętne, jakie to było wydawnictwo - ważne, że pisali przeciw komunie. On był hurtownik, a nie detalista. On obalał mur, a nie rzeźbił detale.

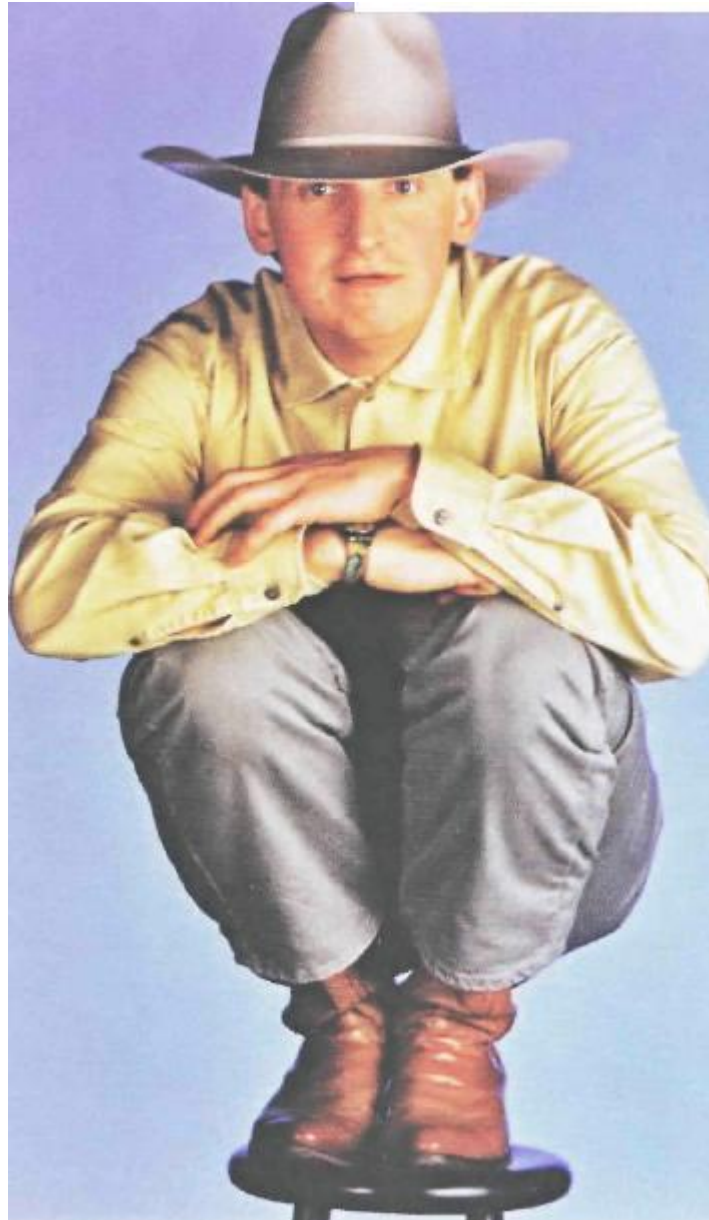
Najprostszym wyróżnikiem, kto jest po czyjej stronie, były znaczki ze słynnym logo „Solidarności”. Oczywiście brakowało

ich, tak jak wszystkiego innego. A jak brakuje, to lukę należy wypełnić, szczególnie że chodziło o słuszną sprawę. WC natychmiast wyczuł interes i namówił producenta okularów słonecznych, tego od nocników, by przestawił się na produkcję znaczków „Solidarności”:

- Robimy znaczki. Wszyscy mają na jakichś drewniakach, więc zrób pan na wtryskarce, a ja to rozprowadzę.

Pierwszą torbę znaczków zawiózł z Gdańska do Regionu Mazowsze w Warszawie. Zapłacili horrendalne pieniądze, choć WC nie podał im konkretnej ceny. W Warszawie potrzebny był zatem drugi producent, żeby nie wozić znaczków przez pół Polski i nie ryzykować złapania przez ubecję. Znalazł go przez ojca, który co roku zamawiał plastikowe identyfikatory na Jazz Jamboree. Tak więc przez kilka miesięcy WC prowadził dwie pół-legalne fabryki znaczków „Solidarności” - jedną w Gdańsku, drugą w Warszawie. Wszystkich kolegów i znajomych zaangażował do kupowania nocników, wanierek, kubłów - cokolwiek było zrobione z białego plastiku, stanowiło surowiec. Rozprowadził ponad milion znaczków - i ma to wszystko spisane, rzecz jasna, w starym zeszytcie w kratkę. Kiedy dzisiaj znajduje u kogoś jakiś znaczek „Solidarności” z tamtych czasów, ogląda go przez chwilę, a potem mówi: *mój albo chłam, lichy plastik dali*. On dbał o jakość nawet wówczas, gdy sprzedałby się dowolny towar. W myśl zasady, że *klient musi być zadbany* - tego nauczył go dziadek Antoni.





Sesja zdjęciowa do „WC kwadransa” - 1994

CZĘŚĆ DRUGA

LEKCJA



STAN WOJENNY

Idąc 13 grudnia na poranną mszę dla studentów, WC nie wiedział jeszcze nic o wprowadzeniu stanu wojennego. W kościele Św. Anny ludzie byli jacyś tacy smutni, dziwnie się modlili, a ksiądz gażał nie wiadomo o czym. Dopiero po wyjściu WC zauważył obwieszczenie Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (WRON), przyklejone na murze kościoła.

- 5 stycznia 1982 roku - opowiada dyrektor Korzyb - po przerwie spowodowanej wprowadzeniem stanu wojennego, wznowiliśmy zajęcia w liceum. Rano pojawili się dwaj oficerowie, którzy mieli przeprowadzić w każdej klasie pogadanki tłumaczące zaistniałą sytuację polityczną. W połowie dnia do pokoju nauczycielskiego wszedł podenerwowany podpułkownik i domagał się wsparcia, ponieważ został wyrzucony z jednej z klas.

- Na lekcji rosyjskiego wchodzi do nas oficer - wyjaśniał WC. - Pani Gromulska siedzi w kącie, ciężko przestraszona. My też byliśmy przerażeni. Wszystkie klasy, oprócz jednej, która miała być po nas, przelknęły pogadankę wojskowych. Facet zaczyna śpiewkę o ekstremistach z „Solidarności”, padają nazwiska, truje i truje... W którymś momencie Lipszyc nie wytrzymał i mówi: „Proszę pana, proszę nie mówić źle o osobach nieobecnych. Siedzą w więzieniach i nie mogą się bronić. To jest nieuczciwe”. Podpułkownik wrzasnął: „Nazwisko!” „Paweł Lipszyc”. „Będę mówił, co mi się podoba” - dał się oficer- „bo mam władzę i w imie-

niu władzy mam do wygłoszenia pogadankę". No to mu powiedziałem tak: „Pan nie przestanie mówić, ale my nie będziemy słuchać” i zatkałem sobie demonstracyjnie uszy palcami. Postawiłem się, żeby Paweł Lipszyc nie został sam na polu. Zatkaną uszy i patrzę na podpułkownika. On w tym momencie za kaburę. Cały zagotowany zaczynają odpinać i wrzeszczy: „Nazwisko!” A ja siedzę z zatkanymi uszami, więc nie odpowiadam. To on po raz drugi: „Nazwisko!”, a potem krzyczy: „Ze mną za drzwiami!” Siedzę cały przerażony. Wyjąłem palce z uszu, schowałem ręce pod ławkę, żeby nie widział, że mi się trzęsą, ale siedzę twardo. I on się wtedy odwrócił do tej biednej Gromulskiej i patrzy na nią. A kobieta ma męża, ma dziecko jedno, drugie. Bardzo sympatyczna była i lubiana przez wszystkich, choć uczyła rosyjskiego. Widziałem, że ona kompletnie nie wie, co ma zrobić. Patrzyła na mnie z błaganiem w oczach, w końcu zakwiliła: „Wojtek” i rozłożyła ręce. Widzę, że zaszczuty człowiek prosi mnie o ratunek i prosi, bym wyszedł, tak jak mi każe tamten żołnierz. No to wstałem i wyszedłem. Za mną wstał Paweł Lipszyc i też wyszedł. A za Lipszycem wstali wszyscy inni i wyszli. W klasie został pan podpułkownik, pani nauczycielka Gromulska i w ostatniej ławce mój przyjaciel Piotr Sacewicz. Spał ciężkim snem, bo dzień wcześniej było pite wino. Gdy już wszyscy wyszli, pan podpułkownik oświadczył Gromulskiej: „W tej sytuacji dalsze prowadzenie pogadanki uważam za bezcelowe”. Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, i poleciał na skargę do Korzyba.

Na szczęście podpułkownik nie chciał wywoływać skandalu, bo jednocześnie musiałby się przyznać przed przełożonymi do porażki, więc razem z dyrekcją szkoły potraktował całe to zajście jako niegroźny incydent.

W liceum co chwila rozchodziła się wiadomość o nowej akcji przeciwko komunie. Po lekcjach uczniowie warszawskich szkół regularnie zapełniali ulice, nosząc na plecach wielkie puste plecaki. Dzięki temu ci, którzy naprawdę przynosili ulotki i wywrotowe książki, mogli się ukryć wśród masy spacerujących plecaków. W książce „Podróżnik WC” Wojciech w taki oto sposób opisał jeden z wielu uczniowskich happeningów:

Na środku dzisiejszego placu Bankowego w Warszawie stał pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Felek to był wielki Polak, wielki obywatel sowiecki, twórca systemu tajnej policji i obozów koncentracyjnych, patron Kiszczaka i w ogóle bohater na miarę Wallenroda (w końcu żaden inny Polak nie wysłał na tamten świat więcej Ruskich niż on). Postać dramatyczna pod każdym względem.

Stał sobie na śródeczku placu, jakby celowo po drodze do mojej szkoły. Całym sobą prowokował uczniów do tego, by obrzucili jego ogromne dłonie odlane z brązu słóikami z czerwoną farbą. Efekt był bardzo widowiskowy, uzupełniał monument o niewątpliwą prawdę historyczną - ręce postaci ociekały krwią. Dnia następnego, w drodze do szkoły, z prawdziwą radością obserwowaliśmy, jak służby miejskie szorowały Dzierżyńskiemu łapy. To dopiero ośmieszało komunę, a na dodatek miało wymiar symboliczny (...)

Pomnik Feliksa Dzierżyńskiego (...) całym sobą prowokował do tego, by kiedyś upuścić u jego stóp słóik z walerianą (czyli z dostępnym w każdej aptece kocim afrodyzjakiem). Efekt był bardzo widowiskowy. Gromada dzikich kotów z całej okolicy tarzała się w seksualnej orgii dookoła wielkiego rewolucjonisty, osobistego przyjaciela Lenina. (...) Koty w amoku, wyjątkowo silnie zajęte cokołem Feliksa, nie reagowały ani na horde ujadających psów z całej okolicy, ani na kohortę milicjantów, też z całej okolicy. Pały poszły w ruch. Władza ludowa natarła na koty. Psy udzieliły wsparcia. Zaraz potem władza ludowa natarła także na psich sojuszników i zaczęła się prawdziwa wojna o cokół. (...) Obrona Feliksa trwała kilka godzin (dopóki nie wywietrzała waleriana). W tym czasie koty się tarzały, psy szczekały, pały pałowały, a tłum sterroryzowanych Polaków rozluźniał się salwami śmiechu. To już nie był dramat ani nawet komedia, to był cyrk i burdel na kółkach.

Ktoś z opozycyjnego Żoliborza rzucił, że ma być powstanie, więc Wojciech postanowił zorganizować broń. W ciągu miesiąca zdobył tylko jeden pistolet - kradziony, milicyjny, zawinięty w szmatę. Wprawdzie bez amunicji, ale sprawny. Kiedy okazało się, że powstania jednak nie ma i nie będzie, nie bardzo wiedział, co z tym pistoletem zrobić, więc dał go księdzu. Informację o posiadanej broni przekazał księdzu w czasie spowiedzi, żeby mieć pew-

ność, że zostanie zachowana tajemnica. Był rozczarowany brakiem powstania, ale depresji nie miał, w narodzie bowiem odczuwalna była ogólna mobilizacja. Hasła na murach w rodzaju „Zima wasza, wiosna nasza” dodawały wszystkim otuchy. Hasła „Junta juje” dodawały uśmiechu. Hasła „WRONa skona” lub „WRON SKON PRDLON” dodawały animuszu.

Podczas pierwszej masowej manifestacji przeciwko komunie, 1 maja 1982 roku, ZOMO wciągnęło WC do milicyjnej sukii. Na komendzie przy ulicy Piwnej (tej samej, gdzie później zabito Grzegorza Przemyska) spalowano go i ogolono na łyso, tak jak dziesiątki innych manifestantów w Warszawie. Gdyby pojawili się dwa dni później na kolejnej planowanej manifestacji - z okazji święta 3 Maja, - byłiby łatwym celem dla milicji i wtedy zostaliby już nie tylko zatrzymani, ale internowani. Każdy z ogolonych otrzymał dokument z odpowiednim ostrzeżeniem, który należało podpisać.

W dniu 3 maja 1982 roku WC został w domu, ale zamiast niego poszła protestować mama Krystyna. WC mieszkał wówczas w mrówkowcu przy Hali Mirowskiej i wraz z innymi sąsiadami zrzucił z balkonu na zomowców szklane butelki z wodą. Jak taka szklana butelka po mleku czy po „Mazowszance” spadła z IV czy V piętra, to milicyjne tarcze szły „w drebiezgi”. Oprawcy odskakiwali od wejść do klatek, dzięki czemu manifestanci mogli spokojnie chować się w blokach.

PRZEMOC

Maturę WC zdawał w roku 1983 wraz z Grzegorzem Przemyskiem, który chodził do równoległej klasy. Grzesiek raczej nie był postacią znaną w szkole. Mało kto wiedział, że jego matka, pani Barbara Sadowska, działała w Komitecie Pomocy Internowanym. WC nie tylko się z nim nie kumplował, ale nic o nim nie wiedział. Śmierć Przemyska, którego zapalowano na Piwnej, oczywiście odbiła się szerokim echem, i to nie tylko w szkole. Na schodach bez przerwy paliły się znicze i leżały kwiaty. Na nabożeństwo w kościele Św. Stanisława Kostki i pogrzeb na warszawskich Powązkach przyje-

chały delegacje z całej Polski. Tłum był ogromny i nawet ci, którzy mieli nieść trumnę, nie mogli się do niej dopchać.

Po tak wielkiej manifestacji ubecja chciała zastraszyć liceum im. Frycza-Modrzewskiego. Postanowiono porwać jednego z uczniów. Padło na WC. Dlaczego on? Gazetka szkolna, sklepik, przedstawienia teatralne, „Dziady” i „Makbet”, które wyreżyserował i zagrał w nich główne role, sprawiły, że w szkole był rozpoznawalny. Szczególnie „Dziady” mu się udały.

- Przy omawianiu twórczości Mickiewicza - wspomina dy rektor Korzyb - postanowiliśmy wystawić czwartą część „Dziadów”. Wyłoniła się grupa chętnych do wzięcia udziału w przedstawieniu. Wojtek natychmiast oznajmił, że on zrobi własną inscenizację. I zrobił, uwspółcześioną, nie mieszczącą się w XIX-wiecznej konwencji teatralnej.

Na Bazarze Różyckiego WC wypożyczył prawdziwą trumnę. Sprzedawca nie zadawał żadnych pytań, ale uprzedził: *tylko żeby nie wróciła zafajdana*. Po trumnę pojechał z kolegami. Zapłacili za wynajem na kilka dni, potem kupili tej trumnie bilet autobusowy. Dopiero trzeci kierowca zgodził się ich zabrać z takim bagażem. Jakaś pani się zainteresowała, czemu wiozą trumnę. *Wie pani, kolega prosił, żeby go ostatni raz na mecz Legii zabrać* - odpowiedział jeden z licealistów. Pani się nawet niespecjalnie zdziwiła - to była warszawska Praga, dzielnica pełna lumpów i bandytów - tylko zasugerowała, żeby kolegę postawić do góry głową, *bo tak jak stoi teraz, z nogami w górę, jest mu pewnie niewygodnie*. A potem, podczas przedstawienia, aktorzy na tej trumnie jedli i pili. WC specjalnie kociew-ską wędzonkę załatwił, żeby na sali pachniało żarciem, paliły się świece, ogryzano kości... aż nagle nieboszczyk otwierał z hukiem wieko trumny. Jedzenie, woda i świece leciały na widownię. Po-płoch. Nikt się nie spodziewał, że przez 30 minut przedstawienia ktoś może leżeć schowany w tej trumnie tylko po to, by w scenie finałowej wyskoczyć z wrzaskiem.

- Doskonale pamiętam inscenizację „Dziadów” - wspomina Łukasz Cieplowski, kolega z liceum, dziś grafik kompute-

rowy. - *Wojtek grał rolę szamana-kapłana. Miał długie włosy do ramion, był trupio umalowany, przez co wyglądał super demonicznie. Był genialny i naprawdę nie było różnicy między jego grą a grą zawodowych aktorów. Wówczas często razem chodziliśmy do teatrów, więc mieliśmy dobre rozeznanie, co i jak gra się na scenie. I tym bardziej przedstawienie zrobiło na mnie wielkie wrażenie.*

23 maja 1983 roku, w czasie między maturami pisemnymi a ustnymi, WC został porwany spod domu przez nieznaną do dzisiaj sprawców. Dwa dni później „Życie Warszawy” informowało:

W. Cejrowski, który odnalazł się po kilku godzinach, oświadczył w rozmowie z prokuratorem, iż został zatrzymany w pobliżu domu przez trzech mężczyzn, którzy wywieźli go samochodem marki Nysa w nieznanym kierunku (...) Wg informacji komendanta głównego MO, gen. bryg. Józefa Beima, służby MO nie podejmowały żadnych czynności wobec W. Cejrowskiego.

Ubegy, w pomieszczeniu wyglądającym jak zwyczajne biuro, poddali WC torturom. Wylamywano mu kolejno wszystkie palce u obu rąk. Nie łamano kości, tylko wyciągano ze stawów, a następnie wyginano je w przeciwnym kierunku niż normalnie. Jeden oprawca trzymał WC, drugi zaś bawił się jego palcami w „zmienianie biegów”. Jedyńka to był mały palec, dwójka serdeczny i tak dalej. Kiedy doszedł do czwórki, czyli palca wskazującego, zrobił przerwę. Dali WC tylko chwilę odpoczynku po to, by nie zemdleł. Okazało się, że kciuk to także bieg - „wsteczny”. Po wyłamaniu palców u jednej dłoni powtórzono całość „zmieniania biegów” u drugiej.

Po trwającej około trzech godzin „rozmowie wyjaśniającej” oprawcy odwieźli WC pod przychodnię lekarską i wyrzucili z samochodu na ulicę. W przychodni lekarz założył mu opatrunki na palce.

- Byłem chyba pierwszą osobą, która zobaczyła Wojtkę, kiedy przyszedł do szkoły z powylamywanymi palcami - opowiada Łukasz Cieplowski. - Siedziałem wtedy na schodach przed szkołą.

Nie widziałem nigdy osoby tak zdenerwowanej i tak roztrzęsionej, on dosłownie trzął się jak galareta. Miał kłopoty z chodzeniem. Widać było, że doznał niesamowitego wstrząsu psychicznego i był mocno przestraszony. Z tego, co pamiętam, to swoje pierwsze kroki po przybyciu ze szpitala skierował do nauczyciela Andrzeja Korzyba.

- Prowadziłem egzamin maturalny - mówi dyrektor Korzyb. - Weszła woźna i mówi: „Panie dyrektorze, ważna sprawa, musi pan wyjść, bo coś się stało”. Wojtek czekał na mnie w gabinecie nauczycielskim. Miał obandażowane palce. Powiedział, że jeszcze nie był ani w domu, ani nigdzie indziej i musi mi koniecznie opowiedzieć o zajściu z ubekami. To było na dzień przed jego ustnym egzaminem maturalnym z języka polskiego. Kiedy wychodził z bloku, jeszcze na klatce, podeszło do niego dwóch facetów. „Wojciech Cejrowski?” - zapytał jeden z nich. „Tak” - odpowiedział Wojtek. „Pójdiesz z nami” - oznajmił któryś z nich. Na klatce był telefon i Wojtek powiedział, że musi poinformować matkę, która jest chora na serce. Tłumaczył, że po śmierci Grzegorza Przemyka wszyscy rodzice żyli w napięciu. I oni mu pozwolili. Zadzwoił i zdążył jedynie powiedzieć: „Zatrzymują mnie”. Tajniacy wprowadzili go do nyski, wsadzili głowę między nogi i samochód odjechał w nieznanym kierunku. W, jakimś baraku przepytawali go o nauczycieli, o atmosferę w szkole, i wylamywali palce. Trwało to jakieś trzy godziny. Następnie, skrupowanego, podwieźli pod jakąś przychodnię lekarską. Usłyszał: „Tu udzielą ci pomocy”, a następnie został wypchnięty z auta. Stamtąd Wojtek przyszedł do szkoły, bo to było -jak sam twierdził - jedyne miejsce, w którym czuł się bezpiecznie. Wiedział, że nikt go nie zostawi bez pomocy. Zadzwoiłem do ojca Wojtka i powiedziałem, by przyjechał i zabrał syna, ale raczej nie do domu. Pojechali do szpitala na Solcu. Następnego dnia Wojtek przystąpił do egzaminu. Odpowiadał zdecydowanie poniżej swoich możliwości i dostał przeciętną ocenę.

WC złożył na milicji doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Zeznania składał przed prokuratorami Sochą i Szczapem, którzy wcześniej skazywali członków „Solidarności”.

„Życie Warszawy”, 2 czerwca 1983 r.:

Z dowodów tych wynika, że u Wojciecha Daniela C. występowały nieznaczne, powierzchowne otarcia naskórka na dwóch palcach dłoni lewej i prawej z lekkim obrzękiem.

Kilka miesięcy później, podczas konferencji prasowej, Jerzy Urban, rzecznik komunistycznego rządu, oświadczył:

- Pan Cejrowski dostał się do szkoły teatralnej i świetnie zagrał tę rolę, była to rola jego życia, wszystkich nas oszukał.

„Życie Warszawy”, 1 marca 1984 r.:

Młodzieniec, dziś student szkoły aktorskiej, zmyślił wprowadzenie jakąś tajemniczą furgonetką w nie wyjaśnionym przezeń celu. Do ściągającego nań uwagę fantazjowania skłoniło go kręcenie się wokół szkoły szukających sensacji korespondentów zagranicznych. Cała bujda od dawna dla nikogo nie ulega wątpliwości.

PAN REŻYSER

Po maturze WC chciał zostać reżyserem. W tym celu musiał skończyć wcześniej jakieś inne studia. Najpierw postanowił zatem zostać aktorem, do tego dobrym, żeby mu potem żaden gnojek na planie filmowym nie podskakiwał i nie mówił: *Panie reżyserze, tego się nie da zagrać albo: To się robi inaczej.* Wyobrażał sobie, że wtedy kazałby usiąść takiemu niesfornemu aktorowi na swoim reżyserskim krzeselku i pokazałby, że owszem, da się zagrać, bo on ma stosowny dyplom i coś na ten temat wie.

WC lubił chodzić do teatru. To jedyne, co mu się podobało w Warszawie. Znał doskonale wszystkie teatry stolicy. Był stałym widzem eksperymentalnego teatru „Studio” Józefa Szajny. Nie to, żeby zawsze był zachwycony, ale kilka rzeczy robiło na nim wrażenie, zwłaszcza rozwiązania techniczne. „Ferdydurke” obejrzał wiele razy. Jeśli chodzi o filmy polskie, to nie podobały mu się nigdy. Nawet te, za którymi polski naród szaleje, jak choćby „Miś” czy „Rejs”. Dla niego są durne i przede wszystkim nudne. Kilka razy próbował obejrzeć „Rejs” i albo

nie wytrzymał, poirytowany brakiem fabuły, albo zasypiał w trakcie. Kino europejskie WC odrzuca w całości. Wie, gdzie ludzie będą się śmiać na brytyjskim Montym Pythonie, ale jego to w ogóle nie śmieszy. Podobnie „Miś” czy „Rejs”, czy komedie Louisa de Funesa. Dla niego to *taka sama kaszana, co Benny Hill, i tak samo go drażni*. Z europejskiego kina podoba mu się jedynie Roman Polański, który kręci filmy w Europie, ale robi to po amerykańsku. O ile „Nóż w wodzie” jest nie do zniesienia, bo to polskie kino, o tyle „Tess” albo „Piraci” - jak najbardziej. „Chinatown” jest dla niego słabym filmem, chociaż docenia sztukę. Dlaczego „Piraci”? *Bo fajnie, kolorowo, Karaiby, jest akcja*. WC lubi natomiast kino amerykańskie, ale nie Woody'ego Allena, tylko dobre kino hollywoodzkie, zakończone koniecznie *happy endem*. Za każdym razem, kiedy ogląda „Przeminęło z wiatrem”, to się wzrusza, a nawet płacze. Uważa, że jak płaci za bilet, to chce mieć rozrywkę, a nie *kręcenie flaków na widelcu*. Dlatego chciał zostać reżyserem, żeby robić porządne kino hollywoodzkie. „Złoto dla zuchwałych” - to jest w jego oczach dobry hollywoodzki film. Bo WC jest za afirmacją. W sprawach katolickich jest za afirmacją rzeczy twardych. Jeśli chodzi o ogólne podejście do życia, to uważa, że nie należy się dołować i zajmować smutnymi rzeczami. Film ma być właśnie ucieczką od tych smutniejszych spraw. A kultura masowa ma wzbudzać pozytywne emocje i uczyć.

Do szkoły teatralnej WC zdawał zaraz po maturze. Do egzaminu przystąpiło wtedy ponad czterysta osób, a miejsc było dwadzieścia siedem. WC doszedł do wniosku, że w pierwszym etapie trzeba po prostu czymś zablysnąć, choćby złotym zębem, i już się przejść do drugiego. Wykombinował, że powinien wejść na egzamin pod koniec dnia, kiedy wszyscy będą już zmęczeni i znudzeni. A najlepiej przyjść ostatniego dnia egzaminu. No więc szacher-macher, *proszę pani, dziś nie mogę, bo idę na przesłuchanie, ubecja stoi pod szkołą*. Wszystko, żeby wejść później. I wszedł późno, komisja *zmęczona., ziewa.*, tego dnia było przesłuchiwanym sto dwadzieścia beztalenci. Tuż przed nim wchodziła dziewczyna ubrana cała na niebiesko. Paznokietki, sznurówki, skarpetki, wszystko niebieskie.

- *Co nam pani powie?* - zapytała szanowna komisja.
- *Powiem wiersz „Niezapominajka”*.

No a komisja musiała przecież trzymać powagę. Musiała też wysłuchać „Niezapominajki”...

Z regulaminu wynikało, że WC ma zadeklamować wiersz klasyczny, czyli taki, który powstał w takich to a takich latach, a poeta musiał być urodzony przed rokiem tym a tym. Poglówkował i dobrał „repertuar zaczepny”. Z regulaminu wynikało bowiem, że „Rzepka” Juliana Tuwima kwalifikuje się do klasyki. Julian Tuwim jest klasykiem, a więc wszystko, co napisał, jest klasyczne. Wszedł na salę w niezwykle pstrokatej, kwiecistej koszuli, przerobionej z bluzki mamy - trzeba było tylko guziki przesyć ze strony damskiej na męską.

- *Co pan nam powie?* - zapytała szanowna komisja.
- *Julian Tuwim...* - tu ziewnięcie komisji - ..., *Rzepka*".

Na to poruszył się Jan Englert:

- *Proszę pana, ale pan ma mówić wiersz klasyczny.*
- *Tak, jestem przygotowany. Proszę spojrzeć na stronę trzecią regulaminu, wiersz klasyczny definiuje się tam następująco...*

No i poszedł szmer, bo wreszcie coś się dzieje. Przyszedł taki i stawia się komisji, zobaczmy, co potrafi. WC odegrał tę „Rzepkę” z machaniem rąk i minami, każda postać mówiła innym głosem, przy czym trzy postacie mówiły głosem osób zasiadających w komisji egzaminacyjnej. W momencie, kiedy WC mówił głosem Piotra Fronczewskiego, a dokładniej - granej przez niego postaci Franka Kimono, spojrzął na aktora i ciągnął rzepkę. No i tak zadeklamowana „Rzepka” okazała się zwycięstwem ze *standing ova-tion*. A potem trzeba było coś zaśpiewać. Na to WC też był przygotowany. Koleżanka z liceum miała mamę w szkole muzycznej. Kilka dni wcześniej poszedł do niej, poprosił o sprawdzenie swojej skali głosu, bo trzeba odpowiednio do głosu dobrać repertuar na egzamin. Sprawdziła, stwierdziła:

- *No, śpiewa pan w gamie C, ale tylko trzy dźwięki czysto.*
- *To proszę mi dobrać repertuar w gamie C na te trzy dźwięki.*

Najpierw zaczęła się śmiać, a potem stwierdziła, że to ambitne wyzwanie i obiecała, że zapyta kolegę od teorii kompozycji. Poszła do kolegi teoretyka i zapytała, czy kiedykolwiek w historii śpiewu zdarzyło się, by śpiewano na trzech dźwiękach. Bo na pięciu - to w średniowieczu bywało. A on stwierdził:

- Tak, lata 50., pieśń masowa, produkcyjniaki.

Każda taka pieśń socjalistyczna miała być prościusia i łatwa do zaśpiewania nawet przez osoby, którym słoń nadepnął na ucho. WC zatem przygotował „Hymn traktorzystów”. Socjalistyczny produkcyjniak z 1952 roku: „Hej, wy, konie, rumaki stalowe / hej, na pola prowadźcież wy nas / niech zawarczą traktory bojowe”... Jest stan wojenny, a tu taka pieśń masowa, zaśpiewana pełnym głosem. Tak jak pierwszy guzik przy koszuli był źle przyszyty i poszedł, kiedy WC odstawił „Rzepkę”, tak drugi poszedł przy „koniach, rumakach stalowych”. Pan Bóg czuwał, bo część komisji podjęła z nim tę pieśń. Tako pierwszy zaczął śpiewać Wojciech Siemion. Ten produkcyjniak, wyśpiewany razem z komisją, już w zasadzie zapewnił WC brawurowe przejście do drugiego etapu. Jednak ktoś z komisji powiedział:

- Może pan nam powie jeszcze jeden wiersz?

już chciał zaprotestować, mówiąc, że w regulaminie jest napisane JEDEN wiersz klasyczny i JEDNA piosenka, więc na dziś nie przygotował nic więcej, ale potem pomyślał, że pewnie komisja nie będzie zadowolona z takiego tłumaczenia. No więc popatrzył na Maję Komorowską, która działała w Komitecie Obrony Internowanych przy kościele św. Marcina, i powiedział, że przed szkołą czeka na niego radiowóz. Zaraz jedzie z ubekami na przesłuchanie, jest zdenerwowany i już nic więcej nie jest w stanie powiedzieć. Przed szkołą rzeczywiście stała milicyjna suka, bo WC zdawał egzamin pomiędzy kolejnymi przesłuchaniami. No i Maja Komorowska wybroniła go, mówiąc, że podczas drugiego etapu go przemaglują i zobaczą,

czy potrafi być tylko ekspresyjny, kolorowy i wesoły, czy także liryczny. Poprosiła, by koniecznie przygotował jakiś wiersz Norwida.

WC wprawdzie wiedział, że w drugim etapie będzie „lirycznie”, ale nijak nie był w stanie dobrze zadeklamować Norwida. Wszedł na egzamin i zaczął się tłumaczyć, że nie może przecież dobrze powiedzieć wiersza, którego nikt nie rozumie.

- Ze wstępu do dzieł Norwida - tu pokazał komisji pięciotomowe wydanie „Dzieł” - wynika, że nikt nie rozumie Norwida. Tak tu napisał jeden pan profesor, a ja jestem dopiero świeżo po maturze.

Komisja widocznie uznała, że sama też nie rozumie Norwida, bo poproszono go, żeby jeszcze raz zaśpiewał tę swoją piosenkę o traktorach, tylko lirycznie, tak jakby był zakochany w tych traktorach. Przy fortepianie siedział koleś, *taki ciotowaty, w różowym szaliku, jak ten z kabaretu Olgi Lipińskiej*. WC usiadł koło niego i zaczął go podrywać. Ten z przyjemnością zaśpiewał lirycznie razem z WC i w ten sposób zdał za niego egzamin.

Potem była część praktyczna. Trzeba było pukać, powtarzając zadane sekwencje rytmiczne, a że WC słuch ma dobry, więc „wypu-kał” każdą bezbłędnie.

Na zakończenie był egzamin z pantomimy. Jego konkurenci szli w dosłowność, a ponieważ nie byli szkoleni z pantomimy, wychodziło im to kiepsko lub kiczowato. Jeśli ktoś ma pokazać okno, a nie ma umiejętności pantomimicznych, to pokaże to okno źle. Dlatego WC poszedł w greps. Dostał hasło: „otwórz”.

I zamiast, jak inni, pokazywać otwieranie okien, zamków i drzwi, pokazał palcami ruch otwierania butelki z piwem, a następnie niewidoczny browarek przekazał jednemu z członków komisji. Wyciągnął rękę po zapłatę i czeka. Pan z komisji podał mu nieistniejący pieniążek. WC popatrzył z pogardą na swoją pustą dłoń i zabrał piwo. Podał następnemu członkowi komisji i znowu zażądał pieniędzy. Wreszcie ktoś mu dał prawdziwą monetę. WC uklonił się dumnie, schował pieniądze i wyszedł. Chwilę później został studentem.

STUDENT

Na zajęciach aktorskich Aleksandra Ślaska prosiła WC, żeby powiedział wiersz. Mówił więc wiersz, dostawał dobrą ocenę i po dwóch minutach miał wolne. Z następnym delikwentem pani profesor spędzała pół godziny, bezskutecznie próbując wydobyć z niego choć trochę talentu. WC większość czasu na zajęciach siedział w kącie znudzony i niczego nowego się nie uczył. Mimo to pani Aleksandra nauczyła go kilku rzeczy, które do dziś mu się przydają w biznesie. Na przykład to, że *rolę buduje się na butach*. Już wtedy krnąbrny Kocie-wiak chodził latem boso, a zimą w drewniakach. Raz pani profesor kazała mu iść do magazynu, wypożyczyć skórzane buty do tańca na porządnym obcasie i powiedzieć ten sam tekst jeszcze raz. No i okazało się, że miała absolutną rację: rolę buduje się na butach. Tekst mówiony z obcasa brzmiał inaczej niż powiedziany boso oraz inaczej niż w drewniakach. I teraz, kiedy WC idzie na negocjacje handlowe albo skopać komuś tylek w ostrym programie telewizyjnym, to obowiązkowo zakłada kowbojki. Natomiast wesoły niedzielny program podróżniczy realizuje boso.

Jak wspomina WC, Wojciech Siemion uczył pięknie. Wykładał teorię wiersza - rzecz, wydawałoby się, nudną jak flaki z olejem. Ale robił to przepięknie i bardzo plastycznie. Miał lekko gwarowy, wiejski, charakterystyczny sposób mówienia. Na jego wykładach była zapalona tylko mała lampka, ale nie zasypiało się, a wręcz przeciwnie, słuchało się w napięciu całe 45 minut. Pan profesor rozkładał na czynniki pierwsze teksty pisane staropolszczyzną. Tłumaczył, co, z czego i dlaczego. Kiedyś WC słuchał w radiu, jak Siemion deklamował utwory Jana Kochanowskiego i Mikołaja Reja - trudna, archaiczna polszczyzna, ale w jego wykonaniu to były bukiety kwiatów. I wszystko zrozumiałe!

Na tym samym roku studiowała Jolanta Pieńkowska. Ona i WC wspólnie siadywali na parapetach i dużo czytali. Parą nie byli i nigdy się na to nie zanosilo. Bardziej iskrzyło między WC a Agnieszką Pilaszewską (tą z serialu „Barwy szczęścia” czy „Miodowe lata”). Lubili się, czubili i grali wspólne scenki. Teoretycznie może by i *coś* z tego wyszło, ale każde z nich miało już kogoś, więc nie przyszło im do głowy, żeby się umawiać.

Jola Pieńkowska, zamiast po studiach występować na scenie, wylądowała w ambasadzie amerykańskiej jako sekretarka pani ambasadorowej. WC spotykał ją tam, kiedy pracował jako tłumacz Amerykanów, którzy przyjeżdżali na rozmowy z opozycją. Tłumaczył m.in. Kurta Vonneguta, kiedy ten spotkał się z podziemnym Pen Clubem. Później zobaczył Jolę Pieńkowską, jak czytała propagandowe, SLD-owskie „Wiadomości”. Teraz czasami spotykają się w TVN, w którym oboje mają programy. W szkole - jak twierdzi WC - Jola nie wybijała się, pożyczali sobie książki. To ona przyniosła mu angielskie wydanie „Śniadania mistrzów” Vonneguta, jedną z jego ulubionych książek.

Pierwszy semestr WC zaliczył celująco, w drugim już zaczął rozumieć, że Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna jest zwykłą pomaturalną zawodówką. Właściwie nikt oprócz niego nie chodził na wykłady teoretyczne, takie jak historia teatru czy historia dramatu. Okazało się, że aktor może nie mieć pojęcia o literaturze, a ma tylko umieć odgrywać literaturę na scenie. WC stwierdził:

- Niestety mało który aktor po szkole teatralnej jest inteligentem. To maszyny do odtwarzania ról.

Szybko uznał, że dla osoby z ambicjami intelektualnymi ta szkoła to strata czasu. Spędzał na zajęciach po 18 godzin, uczył się pantomimy, impostacji głosu i tym podobnych rzeczy, czyli ćwiczył ciało, a nie rozum. I tak miało być przez kolejne cztery lata, a to przecież są najlepsze lata na rozwój intelektu. Pewnego dnia wyszedł ze szkoły teatralnej, zadzwonił z budki telefonicznej do mamy i powiedział, że już nie chce tam być.

FIKUŚNY

W 1981 roku WC, w wieku 17 lat, otrzymał po raz pierwszy paszport. Pojechał do Szwecji do Bo Johnsona, który współpracował z tatą Stanisławem i dzięki któremu do Polski przyjeżdżali światowej sławy jazzmani. Szwed mieszkał w Malmö i za jego wstawiennictwem Wojciech wykonywał przeróżne prace ogrodnicze, na któ-

rych się znalazł jak każda osoba wychowana na wsi. Ojciec pożyczył mu na ten wyjazd 200 dolarów, które WC miał zwrócić po powrocie. Tatusz nigdy nie fundował wakacji, gdyż w rodzinie Cejrowskich nikt nikomu niczego nie fundował. Oczywiście syn zwrócił pożyczkę, przywożąc ze Skandynawii nie tylko zarobione dolary, lecz także chodliwy w Polsce towar - szampon „Zielone jabłuszko”. Sobie nie przywiózł niczego - żadnych pamiątek, figurek, dupereli - bo i po co? Dla kapitalisty liczy się tylko towar i waluta.

W drugiej połowie lat 80. regularnie jeździł do Szwecji. W miejscowości Varberg na południu miał stały kontrakt ciesielski. Zarabiał lepiej od miejscowych, gdyż nie musiał odprowadzać podatków, a ponadto szef dodawał mu za dobrą pracę połowę tamtejszego ZUS-u. To było spore przedsiębiorstwo, złożone z kilku farm, pastwisk oraz stadnin, w których hodowano konie wyścigowe - kłusaki. Po wyborach w 1989 roku WC pojechał do Szwecji po raz ostatni, by zdać tam egzamin na czeladnika ciesielskiego. Dziadek Antoni zawsze podkreślał, że na ciężkie czasy należy mieć jakiś konkretny fach w ręku, więc WC wymyślił sobie, że dobrze byłoby umieć budować... trumny. Popyt na trumny wzrasta, gdy nadchodzą ciężkie czasy, a w dodatku klient, któremu potrzebna trumna, raczej nie wybrzydza i nie ma głowy do targowania się o cenę. Na egzamin czeladniczy WC wykonał więc trzy trumny. Jedna była dla katolika, druga dla protestanta, a trzecia dla ateisty. Trumna protestancka jest prosta i składa się zaledwie z ośmiu desek. Płaska u góry, płaska na dole, rozszerzana w ramionach. Trumna katolicka ma potężne, wypukłe wieko. Trumna dla ateisty to oczywiście był żart, ale zrobił wrażenie na komisji. WC wytłumaczył, że skrzynia na szczątki osoby, która nie wierzy w życie pozagrobowe, powinna być schludna, ale jednocześnie w jakiś sposób wyrażać stosunek zmarłego do ciała po śmierci. Zbudował więc zwykłą, prostą skrzynię.

Kontakty ze Szwedami WC miał bardzo dobre. Chłopak w wieku poborowym budował płoty wokół pastwisk dla koni, a sezonowe pracownice - szwedzkie dziewczyny o niebieskich oczach i blond włosach - malowały te płoty specjalną smołą, żeby żadne pleśnie drewna nie zżerały, jak również, by nie obgryzały go konie. No i można było dostać od WC do malowania płot od strony mo-

rza, gdzie wieje, i potem dziewczyna miała w tych ślicznych włosach czarną farbę, albo kawałek od strony pola, w zacisznym miejscu pod lasem. Również za granicą istniał kociewski taryfikator i zeszyt w kratkę w tekturowych okładkach.

W kraju ojczystym WC miał się przeróżnych zajęć. Najbardziej widowiskowe było rejestrowanie przez niego ślubów i wesel kamerą wideo, które to urządzenie było wówczas w Polsce niebywałą rzadkością. Firmę producencką założył Jacek Olechowski, młodszy brat nieustającego kandydata na prezydenta RP, Andrzeja, który w Stołecznej Estradzie współpracował ze Stanisławem Cejrowskim.

- Wojtek był jednym z moich trzech operatorów - wspomina Jacek Olechowski. - Bardzo sumienny, nie pił, nie kombinował i jak się umówił, to zawsze był. Raz tylko, kręcąc wesele, nie włączył mikrofonu i była chryja. Próbowaliśmy podłożyć dźwięk z innego wesela, ale zleceniodawcy szybko to odkryli. Na jednym z wesel teściowa pana młodego przezwała Wojtka „fi-kuśny” i ta ksywka na długo przy nim pozostała.

Raz, 1 maja, w największe święto klasy robotniczej, przebijaliśmy się na zlecenie przez centrum Warszawy - kontynuuje Olechowski. - Miałem peugeota, rzęcha, ale posiadał jedną fajną rzecz - latarkę na zwijanym kablu. Spieszyliśmy się, a tu wszystkie ulice zablokowane i nie było jak przejechać. No to Wojtek wyciągnął tę lampkę i udawał, że coś nadaje przez ten niby mikrofon od radiofalówki. Z tyłu kolega wystawił przez szybę kamerę i milicjanci byli tak zdezorientowani, że nas przepuścili bez problemów przez wszystkie kordony. Innym fortelem było wkładanie za szybę samochodu otwartego dowodu osobistego z widocznym zdjęciem. Każdy porządkowy myślał, że to jakaś poważna ekipa i, nie chcąc podpaść komuś ważnemu, wpuszczał nasz samochód, gdziekolwiek chcieliśmy wjechać.

Innym razem ekipa wideo-specjalistów została wynajęta przez hinduską firmę, która miała prezentację na targach w Poznaniu. Chodziło o zaprezentowanie polskim kontrahentom reklamowego filmu wideo. Ponieważ film trwał półtorej godziny, z przerwą na przełożenie kasety, to WC błyskawicznie dogadał

się z agentem pobliskiego barku na świeżym powietrzu. Zbierał butelki po piwie i czyścił stoliki. No bo po co miał tracić czas? Taki był pan Wojtek.

PRZYPADEK

Po porzuceniu szkoły teatralnej WC nie miał pomysłu, co chciałby dalej zrobić. Poszedł na spacer w stronę Uniwersytetu Warszawskiego i tam na bramie zobaczył ogłoszenie: „Pilnie poszukiwany tłumacz na wyprawę speleologiczną do Meksyku”. Zdarł je, minął bramę i znalazł tych, którzy dali ogłoszenie.

- *Podobno potrzebujecie tłumacza na wyprawę do Meksyku.*
- *Oj, tak. Możesz jechać?*
- *Mogę, tylko załatwcie paszport. Mam teczkę na UB.*

Załatwili. Klub speleologiczny jechał na wyprawę naukową do Meksyku. Na Jukatan. Wprawdzie WC nie znał hiszpańskiego, ale w ogłoszeniu nie było napisane „tłumacz języka hiszpańskiego”, tylko „tłumacz na wyprawę do Meksyku”. A tłumaczem był, owszem, tyle że angielskiego. Pomyślał zatem, że skoro potrzebują tłumacza „pilnie”, to pewnie ich tłumacz zachorował i pali im się grunt pod nogami. Miał nadzieję, że nie będą sprawdzać, z jakiego języka tłumaczy. Tak jak przypuszczał, kierownictwo wycieczki pochłonięte było sprawami organizacyjnymi - załatwianiem paszportów, wiz i biletów - i było zachwycone, że trafił się tłumacz. Widocznie założyli, że jak ktoś się zgłosił na wyprawę do Meksyku, to musi znać hiszpański. A WC po hiszpańsku znał tylko jedno słowo: „Zorro”.

Kiedy wyprawa speleologów dotarła na miejsce, WC rozmawiał z Meksykanami po angielsku, udając akcent hiszpański. Tubylców poprosił, by go nie wsypali, bo resztę grupy stanowią komuniści, i gdyby jego mistyfikacja się wydała, to on nieuchronnie trafiłby do więzienia. Wówczas, w 1984 roku, Polska była na topie światowych newsów, a w Mieście Meksyk działały komitety wsparcia dla „Solidarności”, więc miejscowi szybko złapali, o co chodzi. Kryli

go przez dwa tygodnie, a po tym czasie WC mówił już dość sprawnie po hiszpańsku. Do końca miesięcznego pobytu nikt z grupy nie połąpał się, że coś jest nie tak.

W samolocie powrotnym uczciwie przyznał się do wszystkiego, ale nikt mu nie uwierzył. Mimo to, a może tak na wszelki wypadek, ktoś jednak na niego doniósł i kiedy oddawał paszport, pani naczelnik wydziału paszportowego powiedziała:

- *Wiem, jak nas pan oszukał.*

WC zmartwił się, bo zdał sobie sprawę, że już raczej nieprędko wyjedzie za granicę.

- *Wie pan, czemu w ogóle wydałam panu ten paszport? Bo myślałam, że pan tam zostanie. I teraz będę miała problem, żeby wytłumaczyć to moim szefom.*

- *Ale czemu pani tak otwarcie ze mną rozmawia?*

- *Boja też urodziłam się w Skórczu.*

Jak wiemy, to nie WC, ale jego ojciec urodził się w Skórczu, czyli pani naczelnik musiała dobrze znać teczkę „tłumacza”. Po kilku miesiącach WC ponownie stanął przed obliczem pani naczelnik, a ta powiedziała:

- *Ma pan mocne papiery. Bardzo mnie to cieszy. Mam nadzieję, że tym razem będzie to paszport tylko w jedną stronę.*

Tym razem „mocne papiery” na wyprawę klubu nurkowego załatwił kolega z liceum, Sławek Makaruk, zwany „Makaronem”. Tak jak WC, „Makaron” jest człowiekiem, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. Jeśli pasjonował się nurkowaniem, to zamiast moczyć się w chłodnych, mętnych wodach mazurskich jezior, pragnął penetrować wybrzeża przepięknego, meksykańskiego Jukatana. Problem polegał na tym, że depresyjne czasy, kiedy sukcesem było zdobycie rolki papieru toaletowego, nie sprzyjały takim marzeniom. Ale to nie dotyczyło „Makarona”. Znalazł dojście do towarzysza Aleksandra Kwaśniewskiego, który wówczas działał w jakiejś instytucji do spraw

sportu, i ten wydał zgodę na wyprawę oraz podpisał listę uczestników. Znalazł się na niej również WC, bo nie tylko był już na Jukatanie, ale dodatkowo świetnie opanował język hiszpański. Wprawdzie nigdy nie nurkował, ale przecież mógł zacząć. Należało zdobyć zaświadczenie lekarskie o braku przeciwwskazań do nurkowania i sprawa załatwiona. O dziwo, wydał je, i to bez jakiegokolwiek zachęty, ten sam lekarz, który rok wcześniej na komisji wojskowej uznał, że WC jest niezdolny do służby w armii. Tym razem okazało się, że brak jednego płuca wcale nie uniemożliwia badania oceanicznych głębin.

Niestety, ze względów logistycznych wyjazd ekipy nurków znacznie się opóźniał, więc tym razem WC poleciał do Meksyku sam. Kiedy poszedł oddać paszport, powiedział do pani naczelnik:

- *No i, niestety, znowu nie udało mi się zostać. Spróbuję następnym razem.*

No i pani naczelnik zmiękło serce.

MEKSYK

Meksyk natychmiast oczarował WC. Wszystko mu się tam podobało. Najbardziej to, że w Polsce było -17, a tam +38 stopni Celsjusza w cieniu. On od dziecka nienawidzi śniegu i zimna, a jego motywacją do podróżowania nigdy nie były książki Fiedlera czy Halika ani filmy o Galapagos, tylko to, że w Ameryce Południowej zimą jest ciepło. Kiedy po 14 godzinach lotu wysiadł z samolotu na Kubie - tam była przesiadka - i poczuł gorące, karaibskie powietrze, zrozumiał, że jest w innym, wspaniałym świecie. A w Meksyku było jeszcze lepiej.

U nas stan wojenny, ubecy chodzą za człowiekiem, milicja bije, wyłamuje palce, a tam - *dolce vita*. U nas wszystko szare, tam - kolorowe. U nas zimno i ponuro, tam - ciepło i jasno. U nas nic nie wolno, tam - wolno wszystko. No i jak człowiek wyszczerzy do Meksykanina zęby w uśmiechu, to od razu jest *amigo*. A meksykańskie jedzenie! Cudowne, doskonałe, wreszcie ostre. Nigdy po nim nie miał problemów żołądkowych. Upodobanie do pikantnego smaku WC przejawiał już w wieku pięciu lat. Ojciec przywiózł z USA sos *tabasco*. Ten prawdziwy



Wyprawa speleologiczna do Meksyku - 1985



Tabasco Pepper Sauce, firmy Mcilhenny. Postawił w kuchni na stole, a Wojtusiowi spodobała się buteleczka. *Zabrał* ją, schował się pod zlew, bo wiedział, że robi coś złego, i spróbował. Zaczęło piec w język, ale niebywale przyjemnie. No i tam, za koszem na śmieci, wypił całą buteleczkę *tabasco*, kropla po kropli, delektując się pieczeniem w język. Rodzice wezwali karetkę, ale lekarz zobaczył roześmiane dziecko i uspokoił mamę mówiąc, że gdyby coś miało być, to dziecko by wymiotowało, a tak - nic mu nie będzie, bo młode śluzówki są odporne. No i od tamtej pory *tabasco* i ostre żarcie - to jest to. A tak przy okazji *trzeba*, dodać, że od *tabasco* ostrzejszy jest tylko sos *habanero*.

TABASCO

Tabasco - rodzaj ostrej przyprawy, otrzymywanej z jednej z odmian papryki chili, zwanej *tabasco*, mającej owoce o długości 3-5 cm. Jej nazwa pochodzi od meksykańskiego stanu Tabasco, co oznacza „kraj o gorącej i wilgotnej ziemi”. Nazwa TABASCO jest zastrzeżona dla rodziny Mcilhenny co., mającej wyłączność na produkcję owego sosu od połowy XIX w. Sos *tabasco* powstaje wyłącznie z naturalnych składników. Zgodnie z recepturą, opracowaną przez Edmunda Mcilhenny w 1868 roku, dojrzałe papryczki miażdży się z solą, następnie zostawia się je, aby dojrzewały w dębowych beczkach przez trzy lata, po czym miesza z octem winnym.

Habanero należy do najostrzejszych papryk. Zawdzięcza to wysokiej zawartości kapsaicyny - w gnieździe nasiennym może ona wynosić nawet 1500 ppm (kapsaicyna jest odczuwalna jako ostra już w stężeniu 0,5 ppm w roztworze wodnym). Jej smak przypomina morele lub brzoskwinie. W Brazylii i Peru *habanero* jest elementem tradycyjnej kuchni. Uprawia się ją głównie na Jukatanie

w Meksyku (żółte i pomarańczowe odmiany) oraz na Karaibach (czerwone), chociaż - wbrew nazwie („habanero”, czyli „pochodzący z Hawany”) - na Kubie występuje bardzo rzadko.

Juz podczas pierwszego wyjazdu WC odebrał Meksykanów jako sympatycznych, wiecznie uśmiechniętych ludzi. Z czasem przekonał się, że są, tak jak on, niezłymi cholerykami, ale po dwóch minutach wściekłości natychmiast przechodzą do żartów:

- Najpierw strzelą komuś między oczy - wyjaśnia WC - a po tem strzelają na wiwat.

I za to ich kocha. Nigdy nie miał problemów z otwartością wobec Latynosów. W ogóle nie ma barier wobec ludzi. Jak kogoś nie lubi, to mu to okazuje całym sobą, jak kogoś lubi - tak samo. Pewnie jest w stosunku do Latynosów cieplejszy, weselszy, bardziej rozluźniony, ale oni też tacy są. Zupełnie inni niż Polacy. W Polsce nie ma tyle radości, tylu gestów, tyle uśmiechu. Jeśli na polskiej ulicy zaczniesz się uśmiechać po latynosku, to pomyślą, że jesteś pijany albo wariat.

- U nas słowiańska czy ułańska dusza pojawia się czasami, kiedy akurat mamy ochotę się bawić, a u Latynosów chęć do zabawy jest obecna bez przerwy, nawet we śnie - twierdzi WC.

A poza wszystkim Meksyk jest idealnym miejscem do robienia interesów. Przed pierwszym wyjazdem speleolodzy poinstruowali go, że najlepiej tam „chodzą” świecące trzema kolorami latarki enerdowskie, ruskie aparaty fotograficzne marki Zenit oraz kompasy. WC ma zachowane z tamtego wyjazdu notatki zawierające rozliczenia finansowe. Wynika z nich, że kompasy sprzedawał z ponaddwudziestokrotnym przebicciem. Podczas jednej z pierwszych wypraw do Meksyku postanowił wywieźć dwanaście zenitów. Zszokowana celniczka zapytała go:

- *Co to jest?*
- *Aparaty fotograficzne.*
- *Aż dwanaście?*
- *Tak, bo ja jestem z wyprawy astronomicznej z uniwersytetu - tu machnął pani legitymacją - a teraz, w lutym, nad Meksykiem będzie przelatywać kometa Kohoutka. Muszę ją sfotografować na długim czasie naświetlania, tak by mieć cały ogon komety. Dlatego jeden aparat musi być nastawiony na trzy minuty, drugi na dwie, trzeci na pół sekundy.... Muszę mieć sekwencję dwunastu zdjęć, żeby kometa pięknie wyszła.*

Celniczka pojęła oraz zaakceptowała te brednie. W Polsce aparat Zenit kosztował w przeliczeniu 12 dolarów, a w Meksyku „schodził” za 200. Na bazarze Meksykanin pyta:

- *To canon?*
- *Nie, ale za to ruski...*

A dla Meksykanów Ruscy byli największym mocarstwem świata, więc musieli robić najlepszy sprzęt fotograficzny. Poza tym canon był lekki, bo zrobiony z plastiku, a zenit swoje ważył, bo był żelazny. Za 200 dolarów zarobionych na aparacie można było kupić wór bawełnianych koszulek z kolorowymi nadrukami, na które WC miał stałych odbiorców na bazarach w Rembertowie i Różyckiego w Warszawie. Handlarz z Rembertowa, kuzyn kolegi ze studiów, ma teraz sklep tekstylny w Nowym Jorku i to on sprowadza na zlecenie WC hawajskie koszule, sprzedawane pod marką Wojciech Cejrowski Collection.

W Meksyku WC po raz pierwszy targował się, sprzedając ener-dowski zegarek Ruhla. Facet nie wiedział, jak ma go założyć, bo zegarek był zrobiony z przezroczystego plastiku i od spodu widać było ruszające się trybiki. Zastanawiał się, czy dla większego szpanu nie lepiej byłoby tymi trybikami do wierzchu... A zatem Meksykanin chciał kupić zegarek, a WC potrzebował hamaka, by nie płacić dwunastu dolarów za hotel. Chodziło o najlepszy hamak, czyli mający na końcu trzysta cieniutkich, splecionych sznureczków. Najpierw WC zbił cenę z dwustu dolarów na trzydzieści, a potem uparł się, że chce policzyć, czy aby na pewno jest w ha-

maku 300 linek. Kiedy po długim czasie doliczył się wszystkich linek, postanowił sprawdzić, ile ich jest na drugim końcu.

- *Też jest ich trzysta, bo przecież przechodzą na drugą stronę - jęknął sprzedawca.*
- *A jak giną gdzieś po drodze, to co ja potem zrobię?*

Ostatecznie zmęczony handlarz wziął zegarek, dając w zamian hamak, i dopłacił jeszcze dwanaście dolarów.

Wyjeżdżając po raz trzeci do Meksyku WC nie miał żadnego konkretnego celu. Chciał tak po prostu pojechać, zobaczyć, pobyc, pożyć. Żył z tego, co tam zarobił. Pierwszą noc spędził na kratkach od metra, bo Miasto Meksyk leży na wysokości 2200 m n.p.m., więc noce są zimne i na ulicy spać jest raczej trudno. Na hotel nie było go stać, a hamaka w stolicy nie pozwalali rozwieszać. Więc tak jak wszyscy włóczędzy i bezdomni przytulił się do kratki od metra na głównym placu miasta. Meksykańscy kłozardzi byli bardzo ciekawi, co biały robi wśród nich.

- *Ano, śpię tak jak wy - odpowiedział WC.*
- *Ale przecież biali mają pieniądze i śpią w hotelach. -*
- Ja nie mam pieniędzy.*
- *Ojej, to kto ty jesteś?*
- *Przyjechałem z Polski.*

Dla meksykańskich włóczęgów biały człowiek z Europy był niebywałą atrakcją. Zaopiekowali się więc WC. Nauczyli go, że istnieje kilka gatunków tektury. Że inna jest pod pupę, inna od deszczu, inna do tego, żeby się w nią zawinąć... Pokazali mu, gdzie się można umyć i gdzie zjeść za darmo. Powiedzieli, że może popracować jako przewodnik i wyjaśnili, jak to robić. Od czasu do czasu na placu pojawiała się bowiem jakaś para turystów z Ameryki. Należało do nich podejść, uklonić się i zaproponować, że się ich zaprowadzi do katedry, do pałacu prezydenckiego. Nowo poznani koledzy opowiedzieli WC, co i gdzie jest do pokazania. Po kilku dniach WC zarabiał 200 dolarów dziennie - po 20 lub 25 od pary. Czasami bywał też zapraszany na jakiś obiad. Żył dobrze, bez ograniczeń, był wolny.

Kiedy zebrał nieco gotówki i znudziło mu się już Miasto Meksyk, pojechał na wycieczkę do Acapulco. Po drodze też pracował. Raz kierowca, z którym podróżował jako autostopowicz, wysadził go w miejscu, gdzie rodzina meksykańska miała właśnie kukurydzę. WC zaproponował gospodarzowi, że będzie siał razem z nim, tylko żeby go potem nakarmił i przenocował. Meksykański chłop był tak zaskoczony, że dał WC kij i do pomocy córkę oraz jakiegoś szkraba. Sianie kukurydzy polegało na rytmicznej współpracy między taką trójką. Na czele szedł Kociewiak, który kijem drążył dolki. Za nim kroczyła córka gospodarza, która do dolków wrzucała po trzy ziarenka kukurydzy, a na końcu dreptało dziecko, które zadeptywało dolki. I tak WC pracował z nimi do wieczora, potem dostał jeść i mógł się przespać, a następnego dnia pojechał dalej.

Teraz WC mówi: *Polska - moja matka, Meksyk - moja żona*. Nadal kocha mamusię; jak mamusia w potrzebie, to się przyjeżdża, albo na święta, albo pranie zrobić, albo po prostu, żeby sprawdzić, jak mamusi się wiedzie, no ale ma też swój dom i swoje życie gdzie indziej. Wybrał Meksyk, bo jest tam doskonała muzyka, doskonała kuchnia, doskonały klimat, doskonały pejzaż i doskonali ludzie. Wszystko, absolutnie wszystko mu się tam podoba.

MEKSYKANIE

W 1985 roku Dorota, 20-letnia siostra stryjeczna* WC, zapragnęła pojechać do USA. Nie dostała wizy, a ponieważ w Meksyku, w Ensenadzie, mieszkała siostra babki ze strony ojca, a do tego przysłała zaproszenie, to - niewiele myśląc - Dorota wsiadła do samolotu i poleciała. W Meksyku poznała przyszłego męża, Humberto Romero Loisa, i pozostała w kraju, który rok wcześniej tak oczarował

* WC konsekwentnie skrywa wszelakie informacje dotyczące jego rodziny i spraw osobistych, dlatego trudno było mi ustalić, ile ma rodzeństwa. Wiem na pewno, że miał młodszego brata Mikołaja, który zginął w wypadku komunikacyjnym. Jednak jeszcze o co najmniej czterech osobach WC mówi „brat” lub „siostra”. W momencie kiedy niektóre z nich pojawiają się w tekście, piszę o nich jako o braciach lub siostrach ciotecznych albo stryjecznych.

wal WC. Polsko-meksykańskie małżeństwo kwitnie do dziś, a jego owocami jest dwójka wspaniałych dzieci. Syn ma urodę po mamie i wygląda jak typowy Europejczyk, natomiast córka jest stuprocentową Meksykanką, zarówno z urody, jak i temperamentu.

WC jest częstym gościem u swojej siostry i dziś uważa Meksyk za swój drugi dom. Dotychczas zorganizował 16 wypraw do tego kraju, a w stolicy jest stałym bywalcem. Ma tam swoje mieszkanie oraz drewniany domek pod palmami na Jukatanie. Krótko mówiąc, zna Meksyk jak własną kieszeń oraz rozumie i w pełni akceptuje panujące tam obyczaje. Jak podkreśla, w Meksyku spotykają go tylko dobre rzeczy, ale raz nieźle się spocił... Sięgnijmy po raz drugi po fragment książki „Podróżnik WC”:

Zostałem napadnięty jeden jedyny raz. Wszystko zaczęło się klasycznie. Niepozornie wyglądający człowieczek ze złotym wizerunkiem Ojca Świętego na szyi przystawił mi do brzucha nóż myśliwski (doskonały do wybebeszania flaków) i powiedział całkiem głośno i spokojnie:

- No gringo, wyskakuj z portfela, bo cię kujnę.

Popatrzyłem na niego, zaskoczony, oczywiście z góry (sięgał mi lekko powyżej łokcia), i chciałem parsknąć śmiechem, wydawało mi się, że to żarty. Robić napad w wagonie pełnym ludzi, bez żadnej możliwości ucieczki. (...) Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu sojuszników wśród współpasażerów. Zupełnie bez sensu - wszędzie znajdowałem jedynie plecy osób, bardzo zaabsorbowanych różnymi czynnościami. (...) Zaobserwowałem jeszcze coś - dookoła mnie i mojego napastnika zrobił się luz!!! Chyba jakieś czary. Całe dwa metry kwadratowe wolnej przestrzeni w wagonie, do którego na poprzedniej stacji nie udało się wepchnąć szpilki. Cud. Najwyraźniej metro działa na niektórych wyszczuplająco.

Tu krótka dygresja. Mario, wyglądający jak niedźwiedź brat szwagra, kilkakrotnie zabierał WC na balangi do różnych akademików. Zanim pierwszy raz udali się na wspólny wypad, Wojciech został pouczony:

- Zapewne kiedyś zatańczysz z niewłaściwą dziewczyną, ktoś będzie chciał dać ci w ryj, dlatego musisz umieć się odszczeknąć. Nauczę cię zatem

bardzo mocnej wiązanki. Jak wypowiesz ją szybko i z pewnością siebie, to uratuje ci tylek.

WC kilkakrotnie głośno ją powtórzył tak, by wryła mu się głęboko w pamięć. No i wtedy, w tym metrze, WC posłał słowną bombę uzbrojonemu napastnikowi. Powróćmy do książki:

- Vete, cabrón! No me sale de los cojones verte mas por aqui. Vete chingar a su madre. Pendejo flojo y roto! Coño! Hijo de puta! Mierda de maricón!...

Cały tekst, złożony dokładnie z 44 słów, wypowiedziałem jednym tchem, głośno i wyraźnie. Nawet trochę za głośno... Prawdę rzekłszy, końcówkę wykrzyczałem na cały wagon. Ze strachu.

Napastnik pobladł. Następnie odrobinę cofnął nożysko. Spodziewałem się, że bierze zamach, by głębiej dźgnąć. Zmartwiałem.

Nóż został jednak bardzo sprawnym ruchem ukryty w rękawie, a bandyta chwycił mnie oburącz za policzki. Pomyślałem wtedy, że zdecydował się rozwalić mi głowę własnym czołem albo trzasnąć nią o kolano. Ku mojemu zaskoczeniu uśmiechnął się szeroko pokazując wszystkie sześć zębów w kolorze wskazującym na uzależnienie od nikotyny.

- Disculpe, amigo mio! (Wybacz, przyjacielu) - ryknął, ziejąc z apachem używanej ścierki do podłogi. Potem pocałował mnie po meksykańsku, czyli w usta. Tak jeden koszmar zastąpił drugi. -Amigo, ja myślałem, że ty jesteś gringo, więc chciałem cię puknąć na parę groszy za wszystkie te krzywdy i upokorzenia, które cierpieliśmy i cierpimy z rąk białego człowieka. No skąd miałem wiedzieć, że ty jesteś Mex, tak jak ja. Z takim wyglądem to masz prawdziwe nieszczęście. Przekaż swojej Matce wyrazy współczucia.

- ???

-Jakbym dorwał tego amerykańskiego skurczybyka, który zbalamucił naszą kobitę, a tobie przy okazji rasę poprawił, to żywy by nie wyszedł.

- Dziękuję.

- Lepiej dziękuj Bogu, żeś sam dzisiaj żywy uszedł. Gdyby nie ta wiązanka błuzgów, to bym cię puknął, już mnie ręka świerzbila. Ale ty masz gadane, amigo, słać takie ciężkie joby to rzadka umie-

jętność. Pewnie pracujesz w gazecie albo w polityce, co? Te bluzgi ci, formalnie, życie uratowały.

Wiązanka była w miejscowym slangu i nie ma możliwości, by można byłoby nauczyć się jej na lekcjach dla cudzoziemców. *Ca-brón*, czyli „rogacz”, to bardzo ostre słowo. Trzeba być z drugim mężczyzną na baaardzo przyjacielskiej stopie, żeby zmienić zabarwienie tego słowa i żeby zabrzmiało jak „kumpel” czy „stary”. WC może sobie pozwolić na to w Meksyku tylko z jednym facetem. I nie jest to jego serdeczny przyjaciel Mario, który nauczył go wiązanki, tylko starszy od niego o trzynaście lat przewodnik, Gustavo Gómez, którego zawsze bierze do pomocy, kiedy prowadzi wycieczki po Meksyku. Kręcili kiedyś jakieś lewe interesy razem. A potem, gdy WC zaczął przyjeżdżać z wycieczkami, kilka razy tak kombinowali, żeby polska grupa się nie zorientowała, że właśnie chce ją obrabować grupa tubylców. Ludzie są na wakacjach i nie mogą się bać. *Klient musi być zadbany, a tu - napad rabunkowy.*

Kiedyś w Chiapas partyzanci Marcosa zatrzymali autobus z wycieczką kierowaną przez WC. Drogę zastawili kamieniami i oznajmili, że do wodospadów nie puszczają.

-A dlaczego?

- Bo nie! -

A za ile?

- Dziś za nic. Nie i już!

Wtedy Gustavo powiedział do WC po angielsku, bo wiedział, że napastnicy go nie rozumieją:

- Wścieknij się na mnie i zbluzgaj mnie po polsku, ale tak, że bym się popłakał.

WC nie zastanawiał się ani chwili - wstał i zaczął wrzeszczeć na Gustava, wplatając co jakiś czas meksykańskie przekleństwo typu *cabrón* albo *cojones*. Wtedy on zaczął lkać do partyzantów.

- *Panowie, ja mam żonę i dzieci. Yo les ruego, ja was błagam... Ta wycieczka to moja szansa, pierwsza od dłuższego czasu, i on mi ją dał. I ja mu obiecałem, że zawiozę tę jego grupę bezpiecznie do wodospadów i bezpiecznie wrócimy. To już nie jest sprawa dotycząca tamtych gringos w autobusie. Tu chodzi o złożoną przede mną meksykańską obietnicę.*

I wtedy nagle Meksykanin-oprawca zaczął trzymać sztamę z poniżonym Meksykaninem. I udało się. Autobus bez szwanku pojechał do wodospadów i wrócił. Żadnego innego nie przepuścili. Taka sytuacja miała miejsce dwa razy. Za drugim razem WC już wiedział, że trzeba też między wrzaski wpleść meksykańskie słowo *promesa*, obietnica.

WC i Gustavo są jak dwuosobowa mafia: załatwiają rzeczy legalnie niemożliwe. W dodatku bardzo ich to cieszy. Dlatego WC może sobie pozwolić na powiedzenie do Gustavo *cabrón* i vice versa.

USA

Pod koniec 1988 roku, dzięki współpracy z ambasadą amerykańską, WC poznał panią Jane Carry, profesor nauk społecznych. Pani profesor zorganizowała wymianę studencką między Uniwersytetem Warszawskim a Uniwersytetem Santa Clara, najstarszą katolicką uczelnią na Zachodnim Wybrzeżu. Wówczas WC studiował socjologię na UW, więc „załapał się” na wyjazd do Kalifornii. Po zakończeniu miesięcznej wizyty grupa polskich studentów wsiadła do samolotu, a WC postanowił gruntowniej poznać kraj swoich marzeń.

W Stanach zaskoczyło go, że wszystko jest piękniejsze, cudowniejsze niż sobie wyobrażał. Że Amerykanie ładniej mówią niż na filmach, że pozytywniej przyjmują obcego niż można się było spodziewać, że wolny rynek jest bardziej wolny niż mógł sobie przedstawić. Na przykład zadzwonił do firmy zajmującej się przyczucaniem prywatnych aut z Zachodniego Wybrzeża na Wschodnie i zaoferował swoje usługi. Był tak sugestywny, że dostał pracę, ale pod warunkiem, że dogada się z właścicielem auta. Zadzwonił do faceta i powiedział, że przeprowadzi mu auto, ale będzie jechał zyg-

żakiem, *zwiedzając* po drodze różne miejsca, więc to potrwa nieco dłużej niż wynikało z kontraktu z firmą. Ten się od razu na to zgodził i choć nigdy się nie widzieli, zawarli umowę przez telefon - w Polsce, a nawet w Szwecji to było i jest nie do pomyślenia. No i WC wyruszył z San Francisco do Doliny Śmierci, a następnie odwiedził Las Vegas, zobaczył Wielki Kanion...

Już na początku podróży miał niezłą wpadkę, która mogła zakończyć jego wymarzoną podróż w poprzek Ameryki. Droga z San Francisco do Death Valley prowadziła przez pustynię. Wszędzie płasko, nie ma zakrętów, żadnej góry aż po horyzont. Pierwszy raz w życiu Wojciech miał samochód z potencjałem 150 mil na liczniku (240 km/h). Mitsubishi Galant. Rozejrzał się na prawo i lewo, stwierdził, że nie ma nikogo i postanowił sprawdzić, jak to jest, tak szybko jechać. Rozpędził się, aż poczuł drżenie kierownicy, zorientował się, że nie wie, jak szybko jedzie, bo nie umie przeliczyć mil na kilometry, a do tego nie było żadnych punktów odniesienia, bo nigdzie nie rosły drzewa. Nagle zobaczył w oddali gościa w kapeluszu. Bał się zahamować, żeby nie zacząć tańczyć po rozgrzanym asfalcie albo żeby tamten nie wyskoczył mu nagle przed maskę z lizakiem... Pozwolił samochodowi wytracić prędkość, zatrzymał się, dał na wsteczny i podjechał do faceta.

- *Dzień dobry... eee... panie władzo.*

- *Dzień dobry. Jak szybko pan jechał?*

- *Ile się dało. Jestem z Polski, pierwszy dzień w trasie, chciałem zobaczyć, jak to jest, tak szybko jechać samochodem. U nas najlepsze samochody jeżdżą maksymalnie 60 mil na godzinę.*

- *Muszę cię aresztować, bo jechałeś 110 mil (176 km/h), a takie przekroczenie może ocenić i wymierzyć ci karę tylko sędzia pokoju.*

- *Ale skąd pan wie, ile jechałem, skoro tego nawet ja nie wiem?*

- *Z helikoptera cię namierzyli i to oni mnie tu przywołali. Przecież sam, z własnej woli, nigdy bym nie sterczał na pustyni w tej temperaturze. Tu nie ma żywej duszy, mogłeś co najwyżej zabić siebie i rozbić samochód, tylko też nie bardzo jest o co.*

Tamci z helikoptera to była inna policja. Ten na ziemi był szeryfem lokalnym. Zabrał polskiego kierowcę do siebie i „przechował”

przez trzy dni, dopóki nie przyjechał sędzia pokoju. W tym czasie WC jeździł z nim na patrole, chodzili razem do knajp, a szeryf wszystkim się chwalił, że chłopak z Polski 120 mil jechał (192 km/h). Pozwolił mu nawet przejechać się swoim radiowozem, żeby WC poczuł prawdziwą prędkość, bo radiowóz był szybszy od tego mitsubishi. W końcu przyjechał sędzia pokoju. Zasądził uniewinnienie, ponieważ WC nie był mieszkańcem Ameryki, nie miał tamtejszych dokumentów, i do tego „uciekł z miejsca wypadku”, a szeryf „nie zdążył zanotować” numerów rejestracyjnych jego wozu. Sędzia był z sąsiedniej miejscowości, więc wszyscy się znali i nikt nikomu nie chciał robić kłopotów.

Prawdziwy mandat WC dostał dopiero w Teksasie. Jechał w nocy, więc też trochę przycisnął, bo wiedział, że najbliższe miejsce, przy jakim policjanci mogą się schować, to wiadukt, który miał być za 20 mil. Aż tu nagle kolorowe światelka. Minął go radiowóz, WC zatrzymał swoje mitsubishi i czekał grzecznie bez wysiadania - tak jak to widywał na filmach. Tym razem policjant nie był miły, kazał wysiąść, położyć ręce na dachu. WC bał się go korumpować, bo to w końcu nie był Meksyk. Dostał mandat za 100 dolarów i następnego dnia musiał go zapłacić na pocztę.

Zapłacił z wielką radością, wiedział bowiem, że w USA ten, kto płaci, ma też prawo wymagać, nawet jeśli płaci karę. Tym mandatem posłużył się potem, gdy załatwiał sobie amerykańskie papiery.

- Uznaliście mnie za rezydenta - argumentował w urzędzie imigracyjnym. - Wasz przedstawiciel zrobił to pisemnie, na urzędowym druku. Mam tu mandat, a w rubryce „adres” wpisano słowo „Texas”. Uznaliście, że jestem z Teksasu, to teraz poproszę o amerykańskie dokumenty.

POŁUDNIE STANÓW

W Arizonie WC z ciekawości zjechał z drogi i po kilkunastu kilometrach dotarł do przypadkowego rancza. Gospodarzowi powiedział, że naoglądał się westernów, jest zafascynowany Ameryką i chętnie u niego popracuje. Może pojeździć konno, pozaganiać krowy, bo umie,

lub porobić cokolwiek mu każą. Okazał się dla nich takim samym „kinem objazdowym”, jakim stał się dla meksykańskich kloszardów. Zjawiskową postacią z kraju, o którym nie wiadomo, czy leży jeszcze na tej planecie, czy może już nie. Dostał miejsce w bunkhouse, konia i siodło, gospodarze pokazali mu, jak się rozciąga drut kolczasty... Do supermarketu się jeździło z dubeltówką, która zawsze wisiała w aucie na tylnej szybie, a pod siedzeniem była paczka naboju.

W Arizonie WC kupił 200-akrowe rancho. Z ułańską fantazją, za 200 dolarów. Rzadko bywa na tym swoim kawałku ziemi, ale skrupulatnie płaci podatek gruntowy i to jest jego przywilej, bo amerykańskie władze nie mogą mu odmówić wjazdu do Stanów. Nawet gdyby nie miał paszportu żadnego państwa, to od USA musi dostać jakiś dokument uprawniający do poruszania się po kraju, w którym jest właścicielem ziemi. WC od zawsze wiedział, że trzeba w różnych miejscach mieć swoje posesje. Tak by zawsze można było uciec z miejsca, w którym jest się aktualnie. W Europie wali się stary porządek i WC jest przekonany, że w każdej chwili może zostać uznany za kryminalistę. Nie dlatego, że coś zrobi, tylko dlatego, że prawo się zmienia. Uważa, że za parę lat zaczną karać za publiczne wyznawanie swoich poglądów i religii, więc woli być przygotowany do nagłego wyjazdu. Dlatego ma swoje kawałki ziemi i domy zarówno w Polsce, Meksyku, jak i Ekwadorze oraz Stanach Zjednoczonych.

Południe jest dla WC ulubioną częścią USA. Mieszkają tam fajni ludzie, często pogardliwie nazywani *red-neckami* („czerwonymi karkami”). Nie są wcale głupolami, chociaż niewątpliwie różnią się od nowojorczyków. Kim jest *red-neck*? Tym, kim był pan Cejrowski w programie telewizyjnym „WC kwadrans”. Pochodzisz z Ciemnogrodu! Proszę bardzo, mówcie tak, ale ja jestem z tego dumny. *I'm proud of it.* Jesteś zaściankowy! Tak, i jestem z tego dumny. Uważasz, że mężczyzna powinien mieć jedną żonę? Tak właśnie uważam. Chodzisz do kościoła co niedziela? Tak, i jestem z tego dumny. Czy jesteś za tym, żeby sklepy były zamknięte w niedzielę? Tak powinno być. Czy jesteś za tym, żeby w klasach wisiały krzyże? Żądam tego. Czy jesteś za tym, żeby kreacjonizm był jedną z możliwych opcji stworzenia świata obok ewolucjonizmu? Tak, i jestem z tego dumny. Uważam, że świat został stworzony przez Pana Boga w ciągu siedmiu dni. Taka jest mniej więcej filozofia *red-necka*.

Religijność w Stanach przypomina tę, która u nas występowała w XIX wieku. Wiadomo, że w niedzielę się nie pracuje, że przed jedzeniem zjawia się modlitwę, że we wszystkim, *co* się robi, przestrzega się dziesięciorga przykazań. Na Południu jest nawet takie pojęcie: *good business*. Bo są pewne rzeczy w biznesie, których się po prostu nie robi ze względu na przekroczenie dziesięciu przykazań. Trudno sobie wyobrazić, ale w najpotężniejszym państwie świata życie wciąż może rozgrywać się według reguł ustanowionych przez Pana Boga.

WC przejechał Stany Zjednoczone od oceanu do oceanu sześć razy. Cztery razy sam, a dwa razy z ojcem, kiedy po zdjęciu z anteny programu „WC kwadrans” występował przez dwa lata w amerykańskich klubach polonijnych. W ciągu tych podróży odwiedził 34 stany, a także był w większości dużych miast Kanady. Jego fascynacja Ameryką jest ugruntowana. Nie jest to turystyczne zauroczenie po kilku wycieczkach, tylko dojrzała miłość do grobowej deski.

WYBORY 1989 ROKU

Będąc na stypendium na Uniwersytecie Santa Clara, WC przegapił Okrągły Stół. Po powrocie natychmiast zaangażował się w kampanię wyborczą Andrzeja Celińskiego, który był doktorem socjologii i wykładał na Uniwersytecie Warszawskim, kiedy WC tam studiował. Wcześniej Celiński prowadził harcerską „Czarnąjedynkę”, był członkiem KOR-u i osobistym sekretarzem Lecha Wałęsy.

Ale po kolei. Gdy WC odszedł ze szkoły teatralnej, pojechał na wyprawę do Meksyku. Po powrocie zaczął studiować historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Tu też nie zagrał miejsca, bo został wyrzucony za samowolny wyjazd na kolejną wyprawę do Meksyku. Co prawda zaliczył wcześniej wszystkie egzaminy z sesji, ale spóźnił się potem dwa tygodnie na zajęcia w nowym semestrze. Dziekan miał pretensję, że WC nie zgłosił mu oficjalnie tego wyjazdu. I nie pomogło wyjaśnianie, że przecież pojechał po to, żeby zobaczyć na własne oczy piramidy i zabytki Majów, czyli to, o czym się na zajęciach z historii sztuki uczy z książek. Za niesubordynację został wywalony od razu po pierwszym semestrze.

Dziesięć lat później, kiedy Wojtek był ogólnie znany dzięki programowi „WC kwadrans”, dostał zaproszenie od studentów KUL-u do odwiedzenia swojej starej uczelni. Ojciec Stanisław zareagował na to tak:

- Skoro cię kiedyś wyrzucili i nie zrobiłeś magistra, to niech ci teraz senat studentów KUL-u przyzna tytuł magistra honoris causa KUL-u. Bo skoro senat uczeni złożony z profesorów przyznaje doktoraty honoris causa, to senat studentów może sobie zrobić taki żart i nadać magistra honoris causa, nie?

Niestety, studenci bali się swojej uczelnianej władzy i do niczego konkretnego nie doszło. Był rok '95, może '97. Pomysł ojca był jednak tak dobry, że został zrealizowany kilkanaście lat później: w marcu roku 2009, w czasie uroczystości połączonej z gościnnym występem w głównej auli uczelni, Wojciech Cejrowski otrzymał z rąk studentów KUL dyplom i tytuł magistra honoris causa.

Po tym jak został wyrzucony z KUL-u, WC zapisał się na Uniwersytet Warszawski, gdzie zaczął studiować socjologię. Socjologia była wówczas mocno nasycona myślą amerykańską. Mimo że wykładał tam komunista Jerzy J. Wiatr, to jednocześnie było tam wielu niezależnie myślących ludzi opozycji antykomunistycznej, jak choćby Paweł Śpiewak i Andrzej Celiński.

WC tak sobie ustawiał zajęcia, że w poniedziałek, wtorek i część środy był na uczelni, a przez resztę tygodnia - pracował. Sztuczka polegała na tym, że zazwyczaj były trzy grupy na roku. Jesteś w grupie pierwszej, ale to grupa druga ma w „poręcznej” porze jakieś zajęcia. Idziesz na pierwsze zajęcia tej grupy, protestujesz, że nie zostałeś wpisany na właściwą listę, wykładowca cię dopisuje ręcznie i już jesteś tam, gdzie chciałeś być. Na końcu pierwszego roku okazywało się, że pan Cejrowski ustawił sobie indywidualny tok studiów. Natomiast na drugim roku wypełniał czas pomiędzy zajęciami uczęszczając na przedmioty ze starszych lat i zaliczając je przed terminem - i tak to szło.

Tak naprawdę WC chciał zostać specjalistą od antropologii kultury, ale takiego kierunku w Warszawie nie było. A zatem postanowił dodatkowo uczęszczać na wybrane zajęcia na archeolo-

gii. No i skoro zaliczał zajęcia na archeologii, to chciał, żeby mu je uwzględniano w indeksie, bo to przecież ten sam uniwersytet.

- *W tym celu powinien pan poprosić o indywidualny tok studiów - powiedzieli w dziekanacie.*
- *No to proszę.*
- *Ale to trzeba było zrobić dwa lata temu.*
- *Ojej, nie wiedziałem. A ja już tyle pozaliczałem, dureń jeden, to nie dałoby się jakoś teraz załatwić?*

I dawało się załatwić.

W czasie studiów socjologicznych WC przyjaźnił się z Jakubem Wygnańskim, który współpracował z KOR-em. Wcześniej spotykali się dość często w stanie wojennym, ale niewiele o sobie wiedzieli poza tym, że są godni zaufania w pracy konspiracyjnej. Kiedy WC przyjechał z Ameryki na czerwcowe wybory, Kuba zaangażował go w organizację kampanii wyborczej Andrzeja Celińskiego, ich wspólnego wykładowcy. Pan profesor startował w Płocku, a w tamtych okolicach mieszkała babcia WC, więc chętnie podjął się zadania. Dostał kontakt do „Solidarności” w Petrochemii Płock. Przez dwa tygodnie rozwieszał plakaty i siał terror wśród czerwonych. Terror polegał na tym, że przyjeżdżał małym fiatem do urzędu gminnego, otwierał z hukiem drzwi i groźnie pytał:

- *Gdzie jest sekretarz partii?*

albo:

- *Gdzie jest naczelnik urzędu?*

A to był przełom, więc władza miała pełne portki ze strachu.

- *„Solidarność” przyjechała, dawać klucze do tych gablot na ze wnątrz, ale już!! My tu teraz będziemy robić rewolucję!*

I zrywał z gablot to, co tam wisiało, a potem wyklejał je plakatami „Solidarności”. Kazał zamknąć gabloty i plakatów pilno-

wać, a w razie gdyby zniknęły - dzwonić. Przez tydzień wszystko było ok, ale potem najwyraźniej ubecja musiała interweniować, bo zaczęli te plakaty zdejmować. Wtedy WC przyjeżdżał drugi raz, tym razem z dwoma albo trzema osiłkami z Petrochemii, którzy jechali za nim drugim samochodem, i jeszcze raz była akcja:

- Klucze do gabloty, a jak nie, to wybiję szyby i swoich ludzi tu postawię. Zmieniły się czasy. Ostrzegalem, że robimy rewolucję!!

Do rozwieszania plakatów potrzebny był klej, którego oczywiście nigdzie nie dało się kupić, jak to w gospodarce komunistycznej było ze wszystkim. Nie chodziło o zwykły klej, ale taki, dzięki któremu deszcz nie zmyłby plakatu ani nikt by go nie zerwał. WC wiedział, jak się robi odpowiedni klej, bo przeszedł przeszkolenie u gościa, który rozwieszał plakaty jego ojcu na festiwal Jazz Jamboree. Robił ten klej z suszonych, potłuczonych kasztanów, które rozgotowano w wodzie. Przyklejony już plakat spryskiwał dodatkowo aku-tolem, czyli opatrunkiem na rany w sprayu, dzięki czemu na papierze robiła się nieprzemakalna powłoka. No i tak zabezpieczony plakat był nie do zerwania. Andrzej Celiński został senatorem.

Następnego dnia po tym, jak dzięki „pomocy” parlamentarzystów „Solidarności” wybrano Wojciecha Jaruzelskiego na pierwszego prezydenta wolnej Rzeczypospolitej, WC, zupełnie przypadkiem, spotkał się z Celińskim na parkingu w centrum Warszawy. Popatrzyli na siebie i profesor zaczął się niewyraźnie tłumaczyć, chociaż nie padło jeszcze żadne pytanie. W tym momencie WC zrozumiał, że Okrągły Stół to była jedna wielka ściema. Zrozumiał, że wybór Jaruzelskiego został wcześniej ustawiony. Karty zostały rozdane pod stołem, a Polska podzielona między koleśków. Od tego dnia WC znowu zaczął śpiewać „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie” i tak śpiewa do dziś.

Dla WC Andrzej Celiński, który uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu, a potem zapisał się do SLD, jest zdrajcą ojczyzny i zdrajcą jego samego. Z kolei Celiński cały czas ciepło wypowiada się o WC, czego ten sobie nie życzy. Facet kupił jego serce „Czarną Jędynką”, KOR-em, prośbą o zrobienie kampanii, obietnicą obalenia komuny, po czym natychmiast po przewrocie zdradził ojczyznę.

PREZYDENTJARUZELSKI

Dziewiętnastu parlamentarzystów z „Solidarności”, skupionych w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym, przyczyniło się do wyboru Wojciechajaruzelskiego na prezydenta RP. Nieważne głosy oddali: posłowie Wiktor Kulerski, Andrzej Miłkowski, senatorowie Aleksander Paszyński, Andrzej Stelmachowski, Stanisław Stomma, Witold Trzeciakowski, Andrzej Wielowieyski. Nie uczestniczyli w głosowaniu: posłowie Paweł Chrupek, Adela Dankowska, Marek Jurek, Lech Kozaczko, Jerzy Pietkiewicz, Maria Stępnia, Henryk Wujec; senatorowie Zdzisław Nowicki, Krzysztof Pawłowski, Andrzej Szczepkowski, Mieczysław Ustasiak. Senator Stanisław Bernatowicz głosował za wyborem Wojciechajaruzelskiego na prezydenta.

STAND-UPER

Na początku 1990 roku WC po raz drugi pojechał do San Francisco. Miał do zaliczenia egzaminy w Szkole Biznesu i Administracji, do której zapisał się podczas poprzedniego pobytu. Studiował zaocznie według indywidualnego toku nauczania, więc mógł jednocześnie studiować w Warszawie. W San Francisco zamieszkał na Polk Street, w samym sercu dzielnicy gejowskiej. Niewiele wiedział o tym środowisku. Co ciekawe, na Polk Street mieszkał z kolegą, a o tym, gdzie mieszkali i jakich mieli sąsiadów, obaj dowiedzieli się dopiero po wyprowadzce. Chłopakom z Polski po prostu takie rzeczy, jak istnienie dzielnicy homoseksualistów, nie mieściły się w głowie. Dopiero po pewnym czasie WC skojarzył, że radiowozy krążące po dzielnicy Castro miały napisy „Gayway Patrol”, a nie „Highway Patrol”.

Bardzo podobało mu się życie w San Francisco. Na Fishermens Wharf za osiem dolarów mógł zjeść porządny, pikantny obiad. Siadywał sobie na molo, machał nogami nad zatoką, a przed nim roz-

pościerał się tonący we mgle Golden Gate. Snuł się po mieście, wieczorami chodził na koncerty do klubów. Występował tam między innymi Bobby McFerrin. Koleżanka WC знаła go osobiście dzięki starszej pani, u której McFerrin wynajmował mieszkanie i jadał obiady. Znaczący, wynajmował górne piętro w drewnianym domu, a *landlady* mieszkała na dole i gotowała obiady. I koleżanka zaproponowała, że pozna WC z McFerrinem przez tę *landlady*, a potem pójdą razem na koncert. Czyż nie pięknie?

Skromne stypendium sprawiło, że WC rozpoczął w San Francisco całkiem nowy rozdział swego życia - występy w roli komika, i to komika *stand-upera*.

STAND-UP

Stand-up - komediowa forma artystyczna w postaci monologu przed publicznością. Nie jest to jednak kabaret -w *stand-upie* ważniejsza jest charyzma wykonawcy i kontakt z publicznością niż wartość artystyczna. *Stand-uperzy* za główny cel stawiają sobie rozbawienie publiczności, przywiązując mniejszą wagę do kwestii artystycznych (na przykład piosenek i dekoracji znanych z kabaretów). Nazwa *stand-up* pochodzi z USA. Istnieją tam specjalne kluby ze sceną oraz miejscami do siedzenia i stolikami. Podczas tzw. *open mike* prawie każdy może wejść na scenę i rozpocząć swój występ - dzięki takiej formule ten gatunek jest niezwykle przyjazny dla początkujących artystów.

Stand-up należy w Ameryce do narodowych rozrywek. Trzeba jednak mieć niezwykłą pewność siebie, by wyjść na scenę, będąc uzbrojonym jedynie w mikrofon, przykuć uwagę podchmielonej publiczności i nie zostać wygwizdanym. Kociwiak poszedł do knajpy, w której czasem obowiązywała reguła *open mike*, czyli mi-

krofon dla każdego, i z wrodzoną pewnością siebie oznajmił, że chce spróbować. Od razu też zapytał, ile mu zapłacą.

- *Jak rozśmieszysz salę, dostaniesz michę* - oznajmił mu właściciel lokalu, choć debiutanci nie otrzymują honorariów.

- *Dziękuję, dziś jestem najedzony. Co pan proponuje?* - nie zrażając się, brnął WC.

- *No, dwadzieścia, dwadzieścia pięć...* - miękł boss.

WC miał przygotowane kilka gagów, w których udawał ruskiego imigranta. Grał durnego gościa, który w Ameryce nie tylko niczego nie pojmował, ale wręcz potykał się o własne sznurówki. Wojciech miał z tych występów podwójną frajdę, bo mówiąc z ciężkim akcentem przekonał widzów, że jest autentycznym rosyjskim imigrantem, a jednocześnie niemilosiernie ośmieszał Ruskich.

Jednym z wielu talentów WC jest błyskawiczne wychwytywanie miejscowych slangów. Podróżując po Stanach, w sposób perfekcyjny przyswoił południowy akcent wraz z poprawnym używaniem tzw. *cowboy twang*, czyli specyficznego nosowego intonowania pewnych fraz, ścinania końcówek wyrazów itd. W północnej części Stanów Zjednoczonych *twang* jest synonimem bu-ractwa, głupoty... Tamtejsi *stand-uperzy* notorycznie żartują sobie z tego sposobu mówienia. WC uwielbia tego typu gry językowe oraz bawienie się wszelkimi stereotypami. Dlatego w USA jest często brany za Tekszańczyka. Może nie rodowitego, ale takiego z meksykańskimi korzeniami.

W *stand-upie* podobało mu się to, że wchodzi do knajpy, dostaje mikrofon i występuje. Nikt go nie pyta o ZUS, o uprawnienia, zezwolenia. Nawet o pozwolenie na pracę nikt nie pyta. Wchodzi się na czarno, jak właściciel ma chęć, to z własnych opodatkowanych pieniędzy płaci. Tam nikt się nie wtrąca w drobne rzeczy. No i na *stand-upach* WC zarobił znacznie lepszą kasę niż się spodziewał, więc postanowił wybrać się w podróż do Hondurasu. Problem polegał na tym, że Polakom nie wydawano wtedy wiz, więc musiał skorumpować urzędnika w honduraskim konsulacie. Następnie już bez problemu otrzymał prawo wjazdu do Kostaryki i do Salwadoru.

A TAK NAWIASEM (1)

Czym zatem jest *stand-up*? Zacznijmy od tego, czym nie jest.

Przede wszystkim nie jest teatrem. Weźmy choćby jakiś minimalistyczny pod względem wykorzystywanych środków monodram. Na pierwszy rzut oka jest nieodróżnialny od występu komika: oświetlony punktowym światłem, samotny człowiek na pustej scenie, bez scenografii, rekwizytów, specjalnych efektów, muzyki, niczego poza mikrofonem w dłoni i wcześniej przygotowanym tekstem. Naprzeciwko ukrytej w mroku publiczności.

Zasadnicza różnica dotyczy podstawowej zasady konstrukcyjnej świata przedstawionego. W każdej formie stricte teatralnej obowiązuje konwencja „czwartej ściany” - niewidocznej granicy, ustanawiającej scenę i wszystko, co się na niej odbywa, jako autonomiczny obszar, oddzielną rzeczywistość, podporządkowaną własnym regułom, których nic z zewnątrz nie może podważyć. W odróżnieniu od trzech widocznych ścian scenografii, czwarta ściana jest niematerialna. Jej realność jest jednak w pewnym sensie „twardsza” i bardziej namacalna niż ta, która przysługuje fizycznym obiektom tworzącym mimesis sceny. Widzialna scenografia może być w jakimś stopniu umowna, niewidzialna czwarta ściana jest zawsze tą samą, absolutnie dosłowną konstrukcją. To właśnie ona pozwala aktorom „grać”: budować iluzję rzeczywistości, stwarzać alternatywne światy. Aby ich zabiegi były skuteczne, aktorzy muszą udawać, że nikt na nich nie patrzy. W świecie przedstawionym teatralnego spektaklu widz nie istnieje, bo czwarta ściana jest przezroczysta tylko w jedną stronę, niczym doskonale weneckie lustro.

A teraz wyobraźmy sobie: Richard Pryor pojawia się z za kulis, czemu towarzyszy dziki aplauz publiczności. Wita wszystkich jak starych znajomych i od razu nawiązuje kontakt wzrokowy z widzami w pierwszym rzędzie: „Macie wyjątkowe miejsca. Bo jak mi coś nie wychodzi i nie jestem śmieszny, to wyciągam fiuta i leję na pierwszy rząd. Te miejsca to jest tzw. grządka”. (Dostrzeźmy całą subtelność tego, skądinąd wulgarnego, otwarcia: po pierwsze, komik nawiązuje bezpośredni kontakt z publicznością; po drugie, robi to w taki sposób, żeby od razu odnieść się do zawsze gorącej, politycznej kwestii: część publiczności zajmuje lepsze i droższe miejsca. Reszta skazana jest na pośledniejsze usytuowanie, reprezentujące ich niższą pozycję. Pozornie egalitarna wspólnota widzów koduje więc hierarchiczne relacje, które zostają natychmiast obnażone i wysmiane. Maestria błazna polega na tym, żeby nie wykluczać nikogo - pierwszy rząd zostaje dostrzeżony i wyróżniony poświęconą mu uwagą; reszta śmieje się z tego, że oto uprzywilejowani stali się przedmiotem żartu).

Ten fragment ilustruje założycielski akt *stand-upu*: zburzenie czwartej ściany. A dokładniej -przesunięcie jej daleko poza granicę sceny, tak by świat przedstawiony objął całą publiczność, wchłonął widzów i wszystko, z czym przyszli. *Stand-up* jest samym życiem. Komik nie odgrywa żadnej roli, nie buduje scenicznej postaci, nie używa kostiumu. Zwraca się do widzów wprost, oczekuje ich reakcji i bezpośrednio się do niej odnosi. Rzeczywistość sceny jest tu rzeczywistością przedstawienia. Czas świata przedstawionego to „teraz” dzielone z publicznością, a więc czas najdosłowniej rzeczywisty. Tzw. podmiot liryczny i sceniczny jest tożsamy z autorem i wykonawcą, który wygłasza własny

tekst zamiast czyjegoś scenariusza. Fachowy termin opisujący tę figurę, to „acting in one” - czyli niczym niezapośredniczona jedność. Twórcy, wykonawcy, czasu i przestrzeni.

Zburzenie teatralnej iluzji i zaproszenie publiczności do udziału w spektaklu jest ryzykowną strategią. Między ukrytym w mroku, anonimowym tłumem na widowni a samotnym, stojącym w pełnym świetle sceny komikiem wytwarza się bardzo silne napięcie. Samo ustawienie tej sytuacji sugeruje jakiś fundamentalny antagonizm i jest obciążone mnóstwem symbolicznych znaczeń - światło (prawdy) i ciemność (ignorancji), słowo (kultura) i śmiech (instynkt), jednostka (prorok) i tłum (motłoch).

W dużo większym stopniu niż porozumieniem nadawcy i odbiorcy *stand-up* jest więc konfrontacją, i to taką, która zawiera w sobie możliwość autentycznej przemocy. Komicy notorycznie stają się przedmiotem werbalnego ataku, jest nawet specjalny termin opisujący tę sytuację: *heckling*. Ktoś z publiczności wykrzykuje obraźliwy, agresywny komentarz, przerywając występ. Może go przerwać, dlatego że, zgodnie z konwencją, należy do świata przedstawionego spektaklu w tym samym sensie, co występujący na scenie artysta. I dlatego też *heckling* nie może być zlekceważony, komikowi nie wolno udawać, że nic się nie stało, i kontynuować monologu. *Heckler* (przeszkadzacz) rzuca wyzwanie, na które trzeba odpowiedzieć: pokonać uzurpatora, upokorzyć go błyskawiczną ripostą, odebrać mu głos i odzyskać panowanie nad opowieścią. Konflikt ten ma nierzadko taką dynamikę, że doprowadza do jak najbardziej realnej, fizycznej agresji. Nieżyjącemu mistrzowi konfrontacyjnego *stand-upu*, Billowi Hicksowi, widzowie kiedyś połamali nogi, a innym razem, na głębokim Południu, obrażony chrześcijanin wyciągnął broń (Bill skomentował to

lakonicznym: „Jesteś chrześcijaninem? Więc może mi wybaczysz?”).

Zawodowy żargon *stand-upu* wiele mówi o ostatecznym charakterze tej konfrontacji: udany występ to taki, podczas którego komik „zabija.” widzów („I killed them!”). Porażka z kolei, to ni mniej, ni więcej, sama śmierć - ten, któremu nie udało się zapanować nad tłumem i wywołać śmiechu, na scenie „umiera” („Tough crowd. I died out there”).

Co robi komik? Komik rozśmiesza.

Robi także inne rzeczy - może zmuszać do myślenia, obrażać, prowokować, uwodzić, zachwycać, oburzać, demaskować, oświecać, bluźnić itd., itd. Jednak robi to wszystko wzbudzając śmiech, to warunek konieczny. Jeśli komik nie śmieszy, przestaje być komikiem.

Śmiech publiczności jest wyjątkowo bezwzględny kryterium. Bo jest reakcją, nad którą nie mamy władzy. Można zaindukować w sobie wzruszenie - wystarczy przywołać w pamięci jakieś bolesne doświadczenie, obciążony tragicznym wspomnieniem obraz, i pojawi się autentyczna, nieudawana emocja. Natomiast do śmiechu nie można się zmusić.

Być może dlatego, że jego warunkiem jest zaskoczenie. Formalnym wyrazem tej zasady jest idea puenty -retorycznego urządzenia, które gwałtownie zmienia sens wypowiedzi, wytwarzając nagle napięcie między zbudowanym wcześniej kontekstem a jego wypełnieniem.

Według zawodowców konstruowanie żartu odbywa się w trzech krokach: ustanowienie, wzmocnienie i właśnie - zaskoczenie (z repertuaru Tony'ego Allena: „Znacie tych skurwieli, którzy blokują środkowy pas, wlokąc się 40 na godzinę? Bo prowadzą łokciami opartymi o kierownicę, próbując zrolować skręta podczas jazdy?” - ustanowienie. „A potem nagle zjeżdżają na lewo, bo trawa wysypała im się na kolana

i próbują zebrać każdy listek, w ogóle nie patrząc, gdzie jada? Znacie ich? Wiecie, o kim mówię?" -wzmocnienie. I zaskoczenie: „No więc ja właśnie jestem jednym z tych skurwieli”).

Klasyczna, wywodząca się od Arystotelesa definicja komedii w kontraście, nieprzystawalności, nieoczekiwanym zderzeniu heteronomicznych elementów widzi istotę efektu komicznego. Kiedy wysokie nagle styka się z niskim, podniosłe z trywialnym, ludzkie ze zwierzęcym itd. To także zderzenie intencji jakiegoś działania z kompletnie nieprzewidywalnym i odwrotnym od oczekiwanego skutkiem, o ile nie jest źródłem prawdziwego cierpienia i nie wytwarza sytuacji tragicznej. Każdy, kto czyta arystotelesowską definicję czuje od razu, że komizm jej się wymyka. Bo w dalszym ciągu nie wiadomo, dlaczego pewne nieprzystawalności są śmieszne, a inne nie.

Inaczej opisują śmiech teorie sięgające głębokiej psychologii naszych atawizmów. Wedle tej wykładni komizm ufundowany jest na schadenfreude: śmiejemy się zawsze z czyjejś porażki, poniżenia, upadku. Śmiech byłby zatem jakimś ubocznym efektem ewolucji, której jedynym i niczym nieograniczonym prawem jest bezwzględna konkurencja; odruchem towarzyszącym wyobrażonemu zwycięstwu nad rywalem, któremu się nie powiodło. Ten moment okrucieństwa w swoim eseju o komizmie podkreślał Bergson: śmiech jest zaprzeczeniem empatii, wymaga dystansu, czyli zajęcia całkowicie zewnętrznej pozycji wobec przedmiotu żartu. Albo, mówiąc inaczej, nie możemy współczuć komuś, kto nas śmieszy. W tej perspektywie odsłania się diaboliczny wymiar śmiechu i jego tajemne powinowactwo ze złem tego świata. Szatan często się śmieje, diabelski chichot jest jego atrybutem równie oczywistym, jak ogon i rogi. Bóg nie śmieje się nigdy. (F.J.)

FOTO

W 1984 roku, w czasie pierwszej - i do tego naukowej - wyprawy WC pierwszy raz wyjechał do dżungli, do lasów Jukatanu. Jak przystało na turystę z Polski, wcześniej sprzedał przywiezione w tym celu Zenity, ale jeden sobie zostawił, by niedowiarkom udowodnić, że był w dżungli. W Polsce zdjęć nie robił, bo nie czuł takiej potrzeby. Oczywiście przed powrotem do kraju sprzedał także ten ostatni aparat, którym robił zdjęcia, bo po co miał go targać ze sobą, skoro mógł przywieźć same zdjęcia? Plecak też sprzedał, bo już mu nie był potrzebny. Nie wrócił z niczym, z czym wyjechał, bo w Meksyku wszystko, co było z Polski, było zagraniczne, czyli doskonałe na handel.

Dwa lata później po raz pierwszy zarobił na zdjęciach. Uniwersytet Warszawski dofinansował, w kwocie 120 dolarów, jego „jednoosobową wyprawę naukową” w zamian za zdjęcia, a dokładniej slajdy ruin, o których mówiono na zajęciach. Sto dwadzieścia dolarów to było wówczas sześć pensji jego mamy.

W 1988 roku WC sprzedał zdjęcia nie Polakom, lecz Meksykanom. Do warszawskiego muzeum archeologicznego przyjechała wystawa przygotowana przez meksykańskie muzeum antropologii. Normalnie te eksponaty stoją za grubymi szybami i nie wolno ich fotografować, ale gdy przyjechały gościnnie do Polski, stały zwyczajnie na stołach w magazynie. Wystarczyło dać strażnikowi dwie flaszki wódki. W nocy WC obfotografował wszystkie eksponaty, a strażnik trzymał mu lampę błyskową. Pojechał z tymi zdjęciami do Meksyku i sprzedał je agencji fotograficznej na pocztówki. Chciał 500 dolarów za około 70 zdjęć. Stańło na 300 dolarach.

Z podróży do Kostaryki WC wrócił do USA przez Florydę, bo chciał zobaczyć Disney World. Przeznaczył tysiąc zielonych na pobyt oraz na bilety w parkach rozrywki. Jedna stówka poszła na wynajęcie samochodu, druga na benzynę, noclegi w „Motel 6” (osiemnaście dolarów doba), a więc nie tak znowu dużo wydał. Nie spodziewał się jednak, że wywołanie slajdów z Kostaryki będzie w Stanach aż tak kosztowne. W laboratorium, gdzie wywoływali zdjęcia, zapytał:

- Mam 200 rolek Kodaka. Niech mi pan powie, dokąd pan to wozi, bo widzę, że tu nie ma pan maszyny do slajdów.

- *W Fort Lauderdale jest FotoLab of Florida.*

Pojechał tam. Ogromna hala w szczerym polu pomiędzy innymi podobnymi halami. Tam zwożono rolki filmów ze wszystkich małych zakładów. Zażyty sobie wywołania klisz, pocięcia, ponumerowania i zapakowania slajdów w ramki. Zaśpiewano mu za to wszystko 1500 dolarów. Potargował się trochę i zamówił usługę. Pojechał do Orlando, obejrzał parki rozrywki, za kilka dni wraca, żeby odebrać slajdy. Rzeczywiście, w ramkach, ponumerowane, z jego nazwiskiem, copyright W: Cejrowski. Podchodzi do niego człowiek.

- *Skąd jesteś?* -

A bo co?

- *A czasem nie z Polski?* - pyta facet już po polsku. - *A bo co?*

No i pogadali chwilę, facet okazał się Żydem ze „ściany wschodniej”, który wyjechał po 1968 roku i osiedlił się na Florydzie. Facet mówi tak:

- *Może zrobimy interes? Ja bym kupił od ciebie te wszystkie zdjęcia.*

- *A bo co?*

- *Bo jak ktoś przyniósł tyle zdjęć, to ja się zainteresowałem, obejrzałem, a tam kamień po kamieniu obfotografowane są jakieś ruiny.*

Rzeczywiście, WC nauczył się od pana profesora, że jak się fotografuje wykopaliska, to właśnie tak, kamień po kamieniu, dokładnie. A udało mu się wejść na trzy stanowiska w Hondurasie, na które poza archeologami nikt nie miał wstępu. Smithsonian Institution prowadził tam prace i wpuścili go, trochę nielegalnie, jako studenta z Polski.

- *A co pan z tym zrobi?*

- *Jeszcze nie wiem, ale mam agencję fotograficzną. Wpuszczę twoje zdjęcia w obieg uniwersytecki, może ktoś się zainteresuje. Ile za nie chcesz?*

- *Zróbmy inaczej. Pan mi zrobi kopie za darmo, bo ja coś muszę zabrać do domu, a oryginały zostaną tutaj, tylko pamięta pan: one*

są moje! Ja tu przyjadę za rok albo półtora, wtedy pogadamy o pieniądzach, bo dziś obaj za mało wiemy.

No i podali sobie ręce, a kiedy WC przyjechał następnym razem, to się okazało, że zarobił na zdjęciach osiemnaście tysięcy dolarów. No i ten facet do końca swoich dni kupował u niego zdjęcia. WC przywoził z wyprawy wszystko, co sfotografował, robili kopie, a jak się pojawiły skanery, to już żadnych kopii nie było trzeba i oryginały przyjeżdżały do Polski.

Facet sprzedawał prawa do zdjęć uniwersytetom w Stanach -wydziały antropologii kupowały na przykład jego zdjęcia do ilustrowania podręczników. A potem zaczęły przychodzić konkretne zamówienia i kontrakty: *Pan profesor odwiedził trzydzieści lat temu plemię Wai Wai. Chce, żeby ktoś tam pojechał i zrobił mu dokumentację, kadr po kadrze, bo chce wiedzieć, co się z tymi Indianami teraz dzieje.* Więc WC dostawał skrypt od pana profesora z jego wyprawy sprzed trzydziestu lat, uczył się go na pamięć, jechał we wskazane miejsce, robił zdjęcia i cały materiał szedł do pana profesora za dobre pieniądze - dziesięć, dwanaście, czternaście tysięcy dolarów.

Przez kilka lat WC był tańszy od Amerykanów, bo oni, żeby zorganizować wyprawę, muszą mieć ubezpieczenie, i musi jechać ich przynajmniej dwóch. A WC był wolnym strzelcem i jeździł na własne ryzyko - nie uda się, to jego strata, uda się, to przybędzie 25 tysięcy dolarów...

ZARABIANIE W PODRÓŻY

Skąd WC po kilkumiesięcznej wyprawie do Ameryki Środkowej miał kasę na wywołanie slajdów? Ano, bo każdy wyjazd jest dla niego miejscem pracy. Nawet wtedy, kiedy jest na wakacjach. Można powiedzieć, że nigdy nie jest na wakacjach albo że zawsze jest na wakacjach, tylko przy okazji zarabia. Po prostu czas, kiedy nie robi interesów lub o nich nie myśli, uważa za stracony.

W Kostaryce WC wziął taksówkę z lotniska, fiata 125p, i nawiązał z facetem rozmowę, że to auto z kraju, z którego on po-

chodzi i tak dalej. A facet chciał go za to *zabić*. Okazało się, że kiedyś, za czasów Gierka, przyplłynął do Kostaryki jeden jedyny transport fiatów 125p, zamówiła je korporacja taksówkarska, ale nacięli się, bo nigdy nie sprowadzono do tych aut części zamiennych. No i jak gość usłyszał, że wiezie kogoś z tego podłego kraju, *co* wystawił go do wiatru, to się wściekł.

A potem stwierdził, że Polacy to są bogaci, bo kontrolują handel nad granicą z Panamą. Okazało się, że byli polscy marynarze, którzy uciekli po stanie wojennym ze statków przepływających Kanał Panamski, przerzucali za pośrednictwem miejscowych tragarzy elektronikę ze strefy wolnocłowej znad Kanału Panam-skiego. Więc WC pojechał na granicę i znalazł tych Polaków - początkowo myśleli, że ubek jakiś, no ale po '89 roku, to cóż by mógł im zrobić? Po zmianach chcieli do Polski wrócić, ale w zasadzie dobrze im było w Kostaryce: po dwa domy, po dwie żony... Wytłumaczyli WC, na czym polega ich biznes. Otóż ze statków w Kanale Panamskim znosi się towar. Tubylcy przenoszą go przez granicę, przez las, a Polacy go odbierają w Kostaryce. I większość towarów w kostarykańskich sklepach to te „bezcłowe”, znad Kanału. Dobra, czysta robota. WC znał hiszpański, a to był atut. Biznesy między Polakami załatwiano się po polsku, a z Latynosami trzeba było dogadać się po hiszpańsku. Chodziły mrówki przez granicę. I żeby żadnej z nich nie podkusiło sprzedać na własną rękę telewizor czy inne urządzenie, to nasi rodacy nadzorowali przerzut. WC przejmował towar po stronie kostarykańskiej. Dziennie przez granicę przechodziło kilkaset osób. Na każdym moście granicznym stał łapacz i przejmował „swoje” paczki, które rozróżniał dzięki specjalnym oznaczeniom. Łapacz zatrzymywał tragarza i mówił:

- Ty niesiesz dla mnie telewizor.

No i gość się kłaniał, odbierał swoje pięć dolarów i zawracał. Sprzęt składowano na kupę, potem przyjeżdżał samochód i zabierał go, dokąd trzeba. Policja ich nie ruszała, bo jak wiadomo, policja nie żyje z walki, tylko z kolaboracji. WC odbierał swoją działkę w gotówce, ale też i w kliszach Kodaka, na których później uwieczniał wykopaliska.

W podróży można było handlować byle czym, nawet nic niewartą polską, socjalistyczną walutą, za którą nie można było niczego kupić nawet w Mongolii. Dla WC nie była to żadna przeszkoda. Po prostu musiał stworzyć popyt na polski pieniądz. W weekend, w wybranej miejscowości, najlepiej nie posiadającej banku, chodził po kantorach, dopytując się o złotówki. W latach 80. w Ameryce Południowej Polska była bardzo popularna. Wszyscy wiedzieli o naszym papieżu i o Lechu Wałęsie. „Solidarność” była wszystkim znana, bo w krajach latynoskich związki zawodowe bez przerwy buntują się przeciwko władzy. A kiedy na nasze ulice wyjechały czołgi, to Ameryka Łacińska utożsamiała stan wojenny z przewrotem któregoś z rodzimych junt wojskowych. Wszystko to sprawiło, że na kontynencie południowoamerykańskim zwykli ludzie jeszcze długo kojarzyli nasz kraj. Kiedy przyjeżdżał facet, który szukał polskich pieniędzy, to wieści o zapotrzebowaniu na naszą walutę szybko rozchodziły się po okolicy. Po kilku dniach WC bez problemu wymieniał złotówki na pesos, i to po bardzo dogodnym kursie.

Szczególnie cenne były banknoty o nominale 50 złotych z wizerunkiem komunistycznego generała Karola Świerczewskiego. Po pierwsze, na obrazku był wojskowy, a w Ameryce Południowej na prawie każdym banknocie jest jakiś oficer, po drugie, banknot był w cenionym kolorze zielonym. By zanęcić rynek, WC dawał w knajpach napiwki naszymi pięćdziesiątkami. Mawiał:

- Wiesz, stary, dolary mi się skończyły, to dam ci w swoich.

Pięćdziesiątka była dobrym nominałem, bo tubylcy tłumaczyli sobie, że zapewne złotówka ma się jak 5:1 do dolara. Setka dana jako napiwek świadczyłaby, że polska waluta nie ma wartości. Pięćdziesiątka za to mogła świadczyć o hojności ofiarodawcy.

Innym idealnym terenem do zanęcania „świerczewskimi” były miejsca historyczne. W Ameryce Południowej przy ruinach zawsze kręcą się samorodni przewodnicy, którzy wymuszają na turystach swoje usługi. Jak się takiego nie wynajmie, to będzie chodził za tobą i przeszkadzał. Bez finansowej rekompensaty nie ma szansy, by dał ci spokój. WC z niezłym grany rozdrażnieniem w końcu da-

wał takiemu 50 zł. Jak kilku gości dostało „Świerczewskiego”, to stworzenie w takim miejscu popytu na złotówki było już dziecinnie proste. Wystarczyło pójść do kantoru, gdzie tubylcy byli wcześniej ze złotówkami, a właściciel pogonił ich mówiąc:

- Nie wiem, czy ta waluta jest wymiennalna, bo dzisiaj bank jest zamknięty.

WC z pewnym opóźnieniem szedł do takiego kantoru i pytał:

- Czy czasem nie ma pan polskich pieniędzy? Nie miałem waszych pesos i dałem kilku facetom złotówki, a teraz chętnie bym je odkupił.

Banknoty ze Swierczewskim zyskiwały dla WC na wartości wraz z wzrostem inflacji w Polsce. Kiedy w pierwszej połowie lat 90. kraj ogarnęła hiperinflacja, chodził do banków i wymieniał przykładowo banknot miliona złotych na kilka kilogramów paczek z pięćdziesiątkami. W Meksyku przebicie na jednym „swierczewskim” było jakieś 200 tysięcy razy, bowiem w 1994 roku dolar kosztował w Polsce około 23 tysięcy złotych.

COUNTRY MUSIC

Zanim ekipa polskich studentów wyjechała na staż do Uniwersytetu Santa Clara, do Polski przyjechali Amerykanie. WC gościł Jima, który był pół-Indianinem z plemienia Siuksów i pół-Ja-pończykiem, czyli po prostu Amerykaninem. Wymienili się kasetami do walkmana. WC dał koleźce album Jacka Kaczmarskiego, a w zamian otrzymał drugą płytę Randy'ego Tralisa „Always & Forever”, wówczas absolutny hit w Stanach. To było country, ale zupełnie inne od tego, co WC słyszał wcześniej. Żadne pitolenie na gitarkach i śpiewanie, jakby się miało cytrynę w ustach. WC chwyciło od razu. Ma tę kasetę do dziś.

Kiedy wylądował po raz pierwszy w San Francisco, najpierw odwiedził plaże hippisowskie - bo przecież jego ojciec był hip-

pisem - i podobało mu się. Jednak Travis *wciąż* brzmiał mu w uszach, więc poszedł do sklepu z płytami i poprosił o „dziesięć albumów wykonawców grających tak jak Randy Travis”. Facet dał mu to, *co* miał z tak zwanego *new country*: Clinta Blacka, Dwighta Yoakama, The Judds... WC zapłacił, i to bez targowania. *Żeby wyjąć, trzeba włożyć*, jak mawiał dziadek Antoni przed rozpoczęciem nowego biznesu.

Na początku lat 90. ojciec wziął WC na festiwal muzyczny w Cannes. Wojciech trochę popracował (w roli tłumacza), ale większość czasu włożył się między stoiskami najróżniejszych firm płytowych z całego świata. W końcu wpadł na amerykańską sieć ABC oferującą prawa do audycji radiowych, m.in. Amerykańskiej Listy Przebojów Country - American Country Countdown. Po krótkim, niezwykle ekspresyjnym zagajeniu oświadczył Amerykanom:

- W Polsce jest nowo otwierający się rynek, do tego 38-milionowy. Muszę od was dostać licencję. Pierwszy rok za darmo, a po tem porozmawiamy o pieniądzach.

Z licencją przyjechał do Polski, odnalazł Korneliusza Pacudę, który uważany był za największego specja od country w Polsce. Wówczas, poza fascynacją *new country*, WC o samej muzyce niewiele wiedział. Poszedł do gwiżdzy publicznego radia i przedstawił swój pomysł:

- Mam licencję na Listę Przebojów Country, amerykańską. Pan dajesz głos, ja daję music, rozmnażamy to siedemnaście razy i sprzedajemy jako syndicated show do wszystkich rozgłośni regionalnych Polskiego Radia. Jeśli nie mają pieniędzy, bierzemy od nich czas reklamowy, który sprzedajemy sami.

Pacuda obiecał, że przedstawi sprawę na zebraniu dyrektorów rozgłośni regionalnych w Białymstoku. „Teraz jest okres przełomu, wchodzą stacje komercyjne, może to kupić” - głośno pomyślał pan Korneliusz. No i kupili. W ten sposób Wojciech Cejrowski został producentem radiowym. A jak Pacuda się lenił albo był chory, to WC zastępował go na antenie. W ciągu 11 lat WC wyprodukował ponad 500 wydań Listy Przebojów Country.



Z Korneliuszem Pacudą na Pikniku Country w Mrągowie - 1994

Kiedy lista country na dobre zaistniała na antenie radiowej, WC namówił Korneliusza Pacudę, by podczas Pikniku Country w Mrągowie zrobić jej wersję koncertową. Krajowi wykonawcy mieliby zaśpiewać polskie wersje największych w tamtym momencie przebojów country. Panowie zamówili tłumaczenia u sprawdzonych tekściarzy, a orkiestrę towarzyszącą wokalistom powierzyli do zorganizowania Jackowi Wąsowskiemu, gitarzyście zespołu Maryli Rodowicz. WC wydał mu rozporządzenie:

- Pan, panie Wąsowski, musisz tych naszych wokalistów nauczyć zawodowo śpiewać. Jak czegoś nie dadzą rady uciągnąć, to niech im pan wymieni piosenkę na inną albo niech ich pan zagłuszy orkiestrą, w każdym razie to ma się nadawać do zarejestrowania na taśmie i słuchania w samochodzie.

Kolejny chytry plan WC polegał na tym, że następnego dnia po koncercie chciał sprzedawać kasety z nagraniami z poprzedniego wieczoru. W piątek w nocy, zaraz po koncercie, taśmy pojechały do fabryki, gdzie produkowano kasety z muzyką disco--polo. W sobotę rano dwa tysiące kaset z zapisem koncertu znalazło się na stolikach przed mrągowskim amfiteatrem. Okładki WC miał wydrukowane wcześniej, a umowy z artystami były tak skonstruowane, że zrzekali się oni praw finansowych do nagrań w zamian za odrobinę wyższe honoraria za koncert. Wprawdzie ojciec Stanisław nie uczestniczył w tych produkcjach, ale WC miał w pamięci jego jazzowy klub płytowy „Biały Kruk Czarnego Krążka”. Szanowny tata podpisywał wówczas umowy z zagranicznymi artystami mówiąc:

- Chcielibyśmy ci wydać płytę, tu, za żelazną kurtyną, ale musisz się na to zgodzić na papierze, żeby później ambasada amerykańska nas nie ścigała, że twoją płytę wydaliśmy nielegalnie.

Zanim jednak doszło do mrągowskiego koncertu, WC mógł zniknąć z Mrągowa zaraz po swym debiucie w roli konferansjera. Bowiem tuż przed jego wejściem na scenę, kiedy stał z Korneliuszem Pacudą na zapleczu, podszedł do nich facet z kartką, na której byli zapisani sponsorzy festiwalu. Traf chciał, że głównym sponsorem były papierosy Mars. Pacuda, który nie pali i nienawidzi papierosów, oddał kartkę WC i mówi:

*- Młody, o, ty to przeczytasz.
- Stary, sam sobie przeczytaj, gdyż ja też nie palę.*

No i nie wiedzieliśmy, co z tym śmierdzącym jajem zrobić - wspomina WC. - Wyszliśmy na scenę, zostałem przedstawiony jako współautor Listy Przebojów Country. Wszystko pięknie i kulturalnie, a następnie Korneliusz zaczął wymieniać sponsorów. W końcu doszedł do firmy tytoniowej i mówi: „Mamy tutaj kłopot, bo żaden z nas nie pali, a głównym sponsorem są papierosy, więc wpadliśmy na pomysł, że poprosimy państwa o pomoc”. Przejąłem mikrofon i mówię: „Proszę państwa, mam propozycję, żeby osoby niepalące, i tylko

niepalące przeczytały nazwę naszego sponsora napisaną na tym oto wielkim bannerze". I rozległo się: MARS! „A teraz - kontynuuję - proszę osoby palące, by przeczytały tę nazwę od tyłu". I gruchnęło: SR A A AM! Natychmiast przyleciał dyrektor festiwalu plus Nina Terentiew, by wyrzucić mnie z pracy, a Pacudę częściowo zrugać za to, że dopuścił do takiego ekscesu. Przyleciał również szef firmy tytoniowej z... podziękowaniami za tak widowiskową reklamę. Mówił, że się uśmiał i zaczął mnie obdarowywać kartonami papierosów.

Po sukcesie koncertu z polskimi wersjami Listy Przebojów Country WC postanowił sprowadzać do Mrągowa prawdziwe gwiazdy amerykańskiej muzyki country, a nie europejskich imitatorów. W tym celu pojechał do Nashville, gdzie otworzył firmę pod nazwą Country Cousins Inc. Kiedy już miał biuro w stolicy muzyki country oraz konto w amerykańskim banku, to dla tamtejszych artystów stał się postacią wiarygodną. Muzycy w większości nawet nie za bardzo wiedzieli, gdzie ta Polska jest. Natomiast jak usłyszeli zapewnienie, że po koncercie przelew zrobi im amerykański bank albo dostaną w Polsce do ręki czek tego banku, to czuli się bezpiecznie. Natomiast czeków z tak poważnego banku, jak polski Bank Handlowy, z jakiegoś powodu nie chcieli przyjmować. WC zatem przelewał środki z polskiego konta na swoje konto amerykańskie, wystawiał sobie czek i wręczał go artystom. Sprowadził tak m.in. Brady'ego Sealsa i Kathy Matteę.

Kolejną inicjatywą WC na polu propagowania muzyki country był program telewizyjny „Stajnia WC". Zapraszał do niego polskich wykonawców, by ci mogli szerzej zaistnieć. Mimo popularności Pikniku Country, krajowa scena country praktycznie nie miała gdzie występować. A tu muzyków nie tylko mogła zobaczyć szeroka widownia, ale jeszcze dostawali oni honorarium za pokazanie się w telewizji. WC cieszył się z takich rzeczy, lubi być patronem. Jego ojciec też dawał pracę muzykom i specjalnie pod nich wymyślał imprezy. Miał taką zasadę:

- Zbuduj wokół siebie własne, silne środowisko, które będzie jadło twój chleb; kiedy przyjdą ciężkie czasy, to to środowisko nakarmi ciebie - zjedli twój chleb, dadzą ci trochę swojego.

To jest ta sama strategia, jaką stosował dziadek Antoni, kiedy za złotówkę sprzedawał ziemię chłopom i miał przyrzeczony worek kartofli zawsze, gdy oto poprosi. No więc WC we wszystkich swoich biznesach pamięta o tym, żeby swoim ludziom dać dobrze zarobić.

- Ludzie mają się cieszyć robotą - zaznacza.

Zazwyczaj nie bierze od nich potem chleba, ale ma lojalnych współpracowników, którzy są przy nim przez wiele lat. Jak Łukasz Ciepłowski, który jest przy WC od początku liceum, czy „Makaron”, z którym podróżują po świecie już od ponad ćwierć wieku, albo Krzysztof Praszkiwicz, z którym współpracuje od czasów Radia Kolor, czyli od prawie 20 lat. Takich bliskich ludzi WC ma wokół siebie więcej - około 20 osób.

RADIO KOLOR

Korneliusz Pacuda występował w telewizyjnym programie „Non Stop Kolor”. Jako miłośnik i znawca muzyki country był łatwym celem dowcipów ze strony prowadzących, Wojciecha Manna i Jana Chojnackiego. Inna sprawa, że zapewne też w tym celu został wybrany do tego programu muzycznego. Kiedy po raz kolejny z niego zażartowano, zrezygnował. Na swoje miejsce zaproponował pana Cejrowskiego. WC poszedł na rozmowę sprawdzającą do Trójki, gdzie spotkał duet dowcipnisiów.

- To ty jesteś ten, którego przysłał Pacuda?

- Tak, dzień dobry panom.

-Aaa, Cejrowski... Masz coś wspólnego z tym Cejrowskim od jazzu?

- To mój ojciec.

-Aha.

Następnie pan Wojciech Mann zwrócił się do swojego telewizyjnego kolegi:

- Radiowa uroda, do telewizji się nie nadaje.

WC poczuł się nieco urażony, bo nie był przyzwyczajony do takich dowcipów. Nie słuchał programów prezentera radiowej Trójki, *bo puszczał brzydką muzykę*, więc zezłościło go określenie „radiowa uroda” i odparł:

- A pańska uroda jest kinowa. Tylko film musi być panoramiczny.

Mann popatrzył na niego.

- Ooo! Umie się odszczeknąć. Nadaje się.

Następnego dnia wspólnie pojechali do Łodzi, gdzie nagrywany był „Non Stop Kolor”. WC wiedział, że jego nowi partnerzy nie są zwolennikami country i robią sobie z tej muzyki jaja. Dlatego podczas nagrania wyjął najnowszy numer „Billboardu”, najważniejszego pisma branży muzycznej na świecie, i powiedział:

- To jest najnowsza, amerykańska lista przebojów. Sto najchętniej słuchanych piosenek. Tak wygląda po wykreśleniu wszystkich utworów country.

I pokazał do kamery szpaltę pisma, prawie w całości pokrytą czarnymi paskami, wyglądającą jak tekst rapowej piosenki po ocenzurowaniu wszystkich wulgaryzmów. A od lat amerykańska lista przebojów w dużym stopniu składała się z przebojów muzyki country. I oni na chwilę zamarli. I to się nagrało, ta cisza, kiedy dwóch facetów nagle coś sobie uświadomiło. I to było „wpisowe” WC do „Non Stop Kolor”. Nagrali tylko dziesięć odcinków, bo telewizyjna Dwójka zaprzestała robienia tego programu. Sam program WC fajnie wspomina. Był nagrywany w dziwacznych miejscach - a to na szrocie samochodowym, a to na lotnisku, a to na basenie (Manna się do wody wrzucało).

Kiedy na początku 1993 roku Wojciech Mann z Krzysztofem Materną założyli warszawską rozgłośnię Radio Kolor, WC został zaproszony do projektu. Od wielu miesięcy był z Chojnackim i Mannem po imieniu, więc przestał się ich bać i uważać za żywe

legendy. Jak przyszedł do radia, to już „miał śmielsze oko”, ale *wciąż* był bardzo grzeczny.

Na początku jego audycje radiowe były zbudowane na kontrze do słuchacza. Większość osób była i jest przekonana, że nie znosi muzyki country, ale dzięki umiejętnemu doborowi utworów oraz opowiadanym przez WC historiom okazywało się, że słuchacz, wbrew sobie, nie mógł oderwać się od radioodbiornika. Poza tym WC układał piosenki w „węża”, czyli z jednego utworu musiał wynikać następny i w ten sposób z audycji muzycznej robiły się słuchowiska. Dodając do tego teatralny, momentami mocno ekspresyjny sposób prowadzenia audycji, WC szybko zaczął się wyróżniać na tle innych prezenterów. Nie było tak, że od razu wszyscy go pokochali, raczej większość słuchaczy potwornie drażnił. Najważniejsze jednak, że wzbudzał emocje.

W końcu wszyscy, łącznie z właścicielem radia, Pawłem Obrębskim, jego piękną żoną Elżbietą, Wojciechem Mannem i Krzysztofem Materną przychodzili popatrzeć na WC jak na zjawisko. Pan Wojtek za mikrofonem, a za szybą w reżyserce stało stado ryczących ze śmiechu ludzi. On zapowiadał, a oni w śmiech, aż się za brzuchy trzymają. Nie wiedział, dlaczego - czy dlatego, że jest takim durniem, czy dlatego, że takie śmieszne jest to, *co* mówi. I do tej pory nie wie.

Po pewnym czasie dostał propozycję poprowadzenia sobotniego bloku od 6.00 do 10.00 rano. A to była już zupełnie inna historia, gdyż w programie nie-muzycznym należało nawiązać kontakt z przypadkowym słuchaczem. Pan Cejrowski poprosił o grafik, policzył, ile ma wejść antenowych, zanotował, o której jest przegląd prasy, kiedy przychodzi gość od sportu, a kiedy wypada pogadanka Karoliny Korwin-Piotrowskiej o kinie. Zapowiedział Mannowi, że skoro już prowadzi godzinną audycję country, to sam chce dobierać muzykę. Postawił warunek:

- Albo dacie mi grać country, albo pocałujta w dupę wójta.

Początkowo Mann brał piosenki wcześniej do przesłuchania, ale po dwóch tygodniach mu się znudziło i stwierdził, że WC ma dobry gust.



Z Wojciechem Mannem i Janem Chojnackim w programie „Non Stop Kolor” TVP2-1992

Było wiadomo, że od 6.00 do 7.00 ludzie śpią, więc WC wygłaszał wtedy krótkie spicze na różne tematy. Mann już na wstępie go ostrzegł:

- Tylko się nie przejmuj że najpierw będą cię nienawidzić, bo masz irytujący głos i strasznie irytujący sposób mówienia. Potem będą cię kochać właśnie za to, że ich irytujesz.

I przez pierwszy miesiąc przez telefon leciały same joby, ludzie błagali, żeby go zdjąć z anteny. A wtedy jeszcze nie było „WC Kwadransa” i nikt go nie znalazł z telewizji. Raz WC wpadł na pomysł, żeby zorganizować konkurs pod tytułem: „Jak wygląda pan Cejrowski?” I wyszło na to, że ma 60 lat, jest łysy z „pożyczką”, na

włosy w uszach, obleśny typ. W końcu zdradził słuchaczom, że pan Cejrowski *ma 29 lat, jest przystojny, i do tego opalony...* Nie było Internetu, więc słuchacze nie zaakceptowali tego obrazu. A potem, stopniowo, zaczęli kochać WC.

Wśród młodego radiowego personelu WC nie cieszył się sympatią. Inna sprawa, że sam nigdy nie dążył do zaprzyjaźniania się. Pan Wojtek (tylko z dyrekcją był po imieniu) miał wśród kolegów z radia opinię prawicowego oszołoma od kretyńskiej muzyki country. On natomiast uważał „małolatów” za degeneratów, narkomanów i lewackie ścierwo. Szczególnie nie znosił tych, którzy mieli program przed jego audycją country. Nienawdził ich, bo jarali w studio szlugi. WC raz nawet doniósł na młodszych kolegów do dyrekcji domagając się, by ich usunięto z radia. Rzecz była w tym, że między oponentami istniały przede wszystkim napięcia ideologiczno-obyczajowe. Czasem na siebie wrzeszczeli, ale, nie wiedzieć czemu, mieli do siebie szacunek. Raz pan Wojtek mimochodem rzucił:

- To, co panowie zrobili, było zabawne.

Chodziło o konkurs, w którym słuchacze imitowali nietypowe odgłosy. Na przykład wyciskania resztek ketchupu z tubki, na szczoteczkę do zębów zresztą. Konkurs wygrał Hubert Urbański, ten od „Milionerów”, który niebawem sam zasiadł za mikrofonem Radia Kolor.

Za rządów Manna i Materny Radio Kolor było absolutnie zjawiskowym przedsięwzięciem. Inna sprawa, że z punktu widzenia biznesowego była to całkowita klapa. Klasyczne zarządzanie praktycznie nie istniało, natomiast po korytarzach radia przewijały się dziesiątki młodych ludzi, którzy tam tworzyli, ćpali, kochali się, wymyślali, spali - po prostu tam żyli. Panowała atmosfera szaleństwa, totalnego zaangażowania i wolności. Nie było żadnego formatowania, fokusów, a playlista była złożona z piosenek, które kochali Wojciech Mann i szef muzyczny Grzegorz Brzozowicz. Przez antenę przewinęło się wiele postaci, które tworzyły i tworzą oblicze polskich mediów. Przede wszystkim śp. Marcin Pawłowski, który był jednym z twórców „Faktów” w TVN. Poza nim na antenie debiuto-

wali: Michał Olszański (TVP2 i Trójka), Beata Pawlikowska (Radio Zet, pisarka), Max Cegielski (TVP Kultura, pisarz), Konrad Piasecki (TVN), Katarzyna Sławińska (TVN), Lucyna Płużyczka (Radio Zet), Beata Sadowska (TVP2), Tomasz Gorazdowski (Trójka), Jacek Czarnecki (Radio Zet), Paweł Gadomski (TVP1), Karolina Korwin-Piotrowska (TVN Style), Grzegorz Kalinowski (n-Sport) i wielu innych. W tym towarzystwie WC nie był wyjątkiem, tylko regułą, ale niewątpliwie zakreconą w inną, prawą stronę.

Oprócz tego, że utrzymywał chłodne relacje z pozostałymi radiowcami, WC co pewien czas przysparzał poważnych kłopotów kierownictwu stacji. Największą zadymę wywołał, wystawiając za drzwi przedstawiciela tygodnika „Polityka”. Nie wiedział, że Radio Kolor miało podpisaną umowę barterową z tym pismem. I kiedy do studia wszedł dziennikarz, żeby opowiedzieć, co będzie można przeczytać w następnym numerze, to WC wykrzyknął:

- Won! Nie wpuszczam komuchów do mojej audycji.

Innym razem znalazł na biurku kartkę z obowiązkami na dany poranek. Jednym z nich było zaproszenie na degustację papierosów Camel, która miała się odbyć na warszawskich Polach Mokotowskich. WC zadzwonił do ówczesnej pani dyrektor, a było to już po odejściu Manna i Materny, informując, że nie reklamuje papierosów, bo czuje do nich obrzydzenie. Pani dyrektor poinformowała go, że czas reklamowy został wykupiony i jego obowiązkiem jest zaproszenie słuchaczy na imprezę. Cóż zatem WC mógł zrobić? Jako osoba niepaląca i zwalczająca palenie przeczytał, nie bez bólu, ogłoszenie, a następnie postanowił w imieniu słuchaczy dokonać degustacji papierosów Camel. Wyjął jednego papierosa z paczki nabytej w okolicznym kiosku i zaczął go zajadać, barwnie opowiadając o swoich doznaniach:

- Papierek jest mdły, i do tego klei się do podniebienia, a sam tytoń?...

I tu nastąpiła chwila ciszy, po czym z radiowych głośników można było usłyszeć przerażające plucie, wycie, charczenie, kasła-nie, a na koniec odgłosy wymiotne.



Wśród fanów na Pikniku Country- Mrągowo 1997, fot.
Krzysztof Kucharczyk

Natychmiast, jeszcze w trakcie antenowej degustacji, był telefon od wkurzonej osoby z agencji reklamowej, która oznajmiła, że zrywa kontrakt. Po chwili zadzwonił ktoś inny z tej samej firmy tym razem informując, że w dowód wdzięczności chce panu Wojtkowi przekazać karton cameli. Okazało się, że program był słuchany w agencji przez większą grupę osób, łącznie ze szwajcarskim szefem. Facet niczego nie zrozumiał, bo nie znał polskiego, ale strasznie mu się podobała reakcja jego współpracowników, którzy się zaśmiewali, a do tego w ciągu półtorej minuty 27 razy usłyszał słowo „camel”.

Innym numerem WC było zapraszanie podczas audycji do studia pani sprzątaczkii. Kobięcina nigdy nie mogła posprzątać, bo radio „szło” na żywo 24 godziny na dobę. W soboty o 7.10 WC zapraszał ją do cuchnącego studia, wcześniej przepraszając słuchaczy że będzie słyszeć odkurzacz.

- U państwa w domu przecież też czasem słyszeć odkurzacz - tłumaczył przez mikrofon - a i tak państwo słuchają radia, więc teraz będziemy wspólnie słyszeć nasz radiowy odkurzacz.



Pani Cela była tak zadowolona, że może wreszcie posprzątać, że kompletnie nie zdawała sobie sprawy, że jest na antenie. WC z nią konwersował, a do niej nie docierało, że te ich pogaduszki idą w eter.

WC prowadził audycje w Radiu Kolor profesjonalnie. Każda była przemyślana i zaplanowana od A do Z. Nie zastanawiał się jednak, czy z tej pracy będzie wynikało coś na przyszłość, bo on nie kalkuluje przy żadnej nowej robocie. Radio nie było głównym przedsięwzięciem WC. Jego życie było gdzie indziej, a to była dla niego tylko dodatkowa frajda. Po pierwsze: nie słuchał radia. Po drugie: nie wiedział, kto to jest Jan Chojnacki lub jakkolwiek inny prezenter. Po trzecie: nie wiedział, co to jest Lista Przebojów Programu Trzeciego, bo gównianej muzyki pop nigdy nie słuchał. Radia w Polsce w ogóle nie słuchał, bo lubił tylko swoje country. Dlatego do Radia Kolor miał letni stosunek. Zarabiał gdzie indziej. Więc kiedy chciał jechać na wyprawę, to jechał. Mann mówił:

- Ale wiesz, że jak wrócisz, to może tu nie być dla ciebie miejsca? A

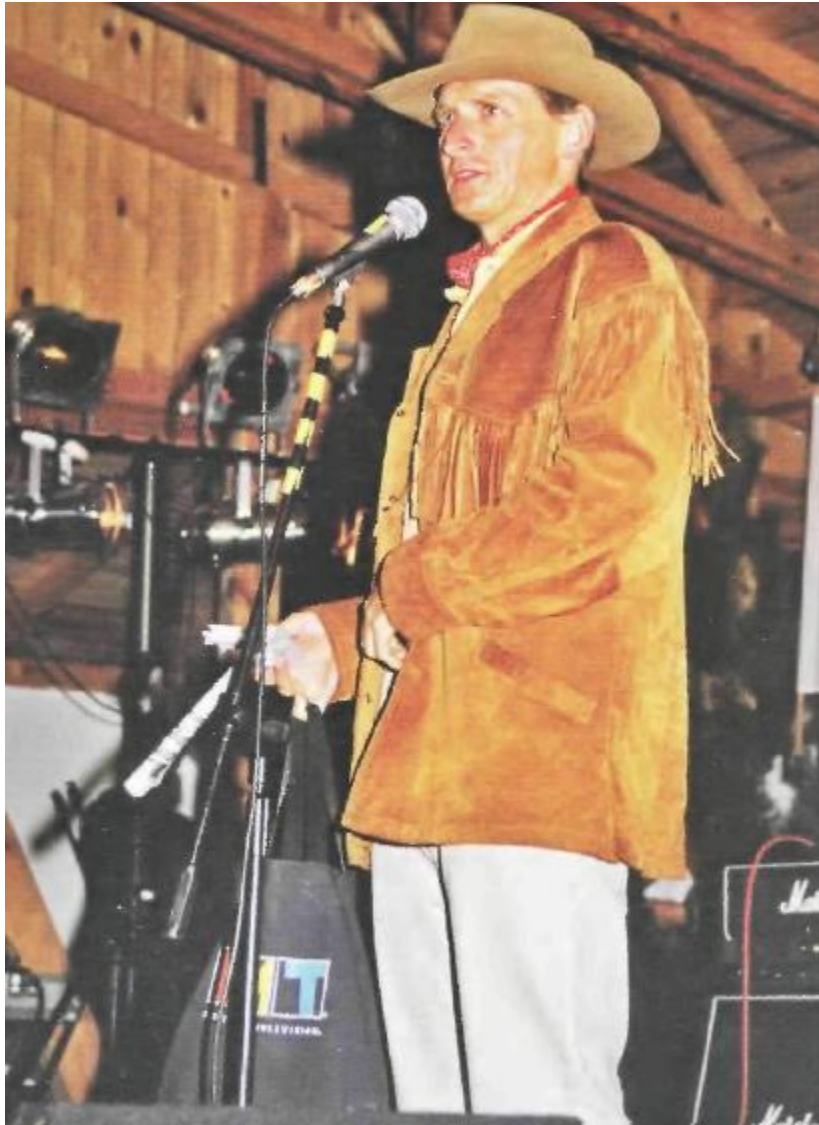
on z twarzą dziecka odpowiadał:

- No to nie będzie.

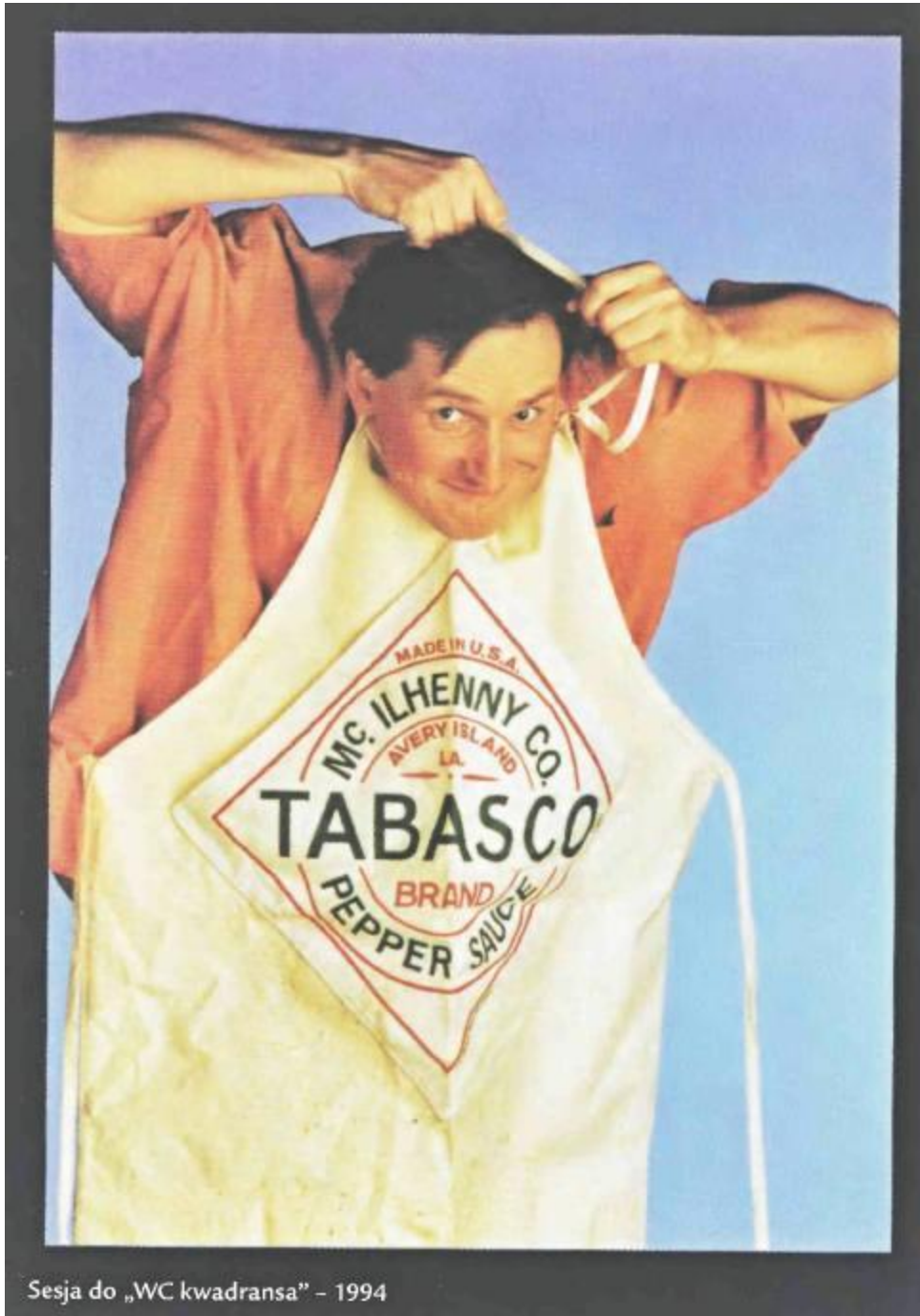
A Mann nie rozumiał, jak to tak, jak radio może nie być marzeniem. Za pierwszym razem, kiedy WC wyjeżdżał na wyprawę, Mann się trochę obraził, za drugim też, ale za trzecim powiedział:

- To nagraj kilka audycji, żebyśmy je puszczaali, kiedy ciebie nie będzie.

No i WC nagrał, na przykład, że nadaje audycję z wyprawy, z samolotu. Mikrofon wstawił do wentylatora, więc buczało i robiło wrażenie, że rzeczywiście leci w przestworzach. Do audycji wykorzystywał materiały przywiezione z poprzedniej wyprawy, więc wszystko, co opowiadał, zdarzyło się naprawdę, tylko czas się nie zgadzał.



Stand-up w czasie Złotu „Ciemnogród '96"



Sesja do „WC kwadransa” – 1994

SPÓR



WC KWADRANS



Na wiosnę 1994 roku do WC zadzwonił Waldemar Gasper, prawa ręka ówczesnego prezesa TVP Wiesława Walendziaka. Okazał się wiernym słuchaczem sobotnich radiowych poranków w Radiu Kolor. Szczególnie rozbawił go komentarz WC do pomysłu nowej ekipy z Woronicza stworzenia telewizji dla ociemniałych.

- *Genialne!* - naśmiewał się Cejrowski. - *Telewizja, której nikt nie zobaczy. Jakie to stwarza możliwości przekrętów. Kasa pójdzie na programy, których i tak nikt nie zobaczy!*

Gasper, zamiast oburzyć się na krytykę, rozśmieszony do łez zaproponował Wojciechowi, by ten zrobił telewizyjny przegląd prasy.

- *W programie musi być jeszcze piosenka country* - postawił się WC.
- *Ok, ale wtedy chcemy program 45 minutowy.*
- *To zdecydowanie za długo, przecież nigdy nie prowadziłem własnego programu w telewizji.*
- *Ale my płacimy za te 45 minut.*
- *Zapłaćcie komuś innemu. Ja mam pomysł na kwadrans i za tyle chcę dostać godziwą zapłatę.*

Zgodzili się. Miało być tak: pięć minut przegląd prasy, pięć minut rozmowa z gościem, a na koniec pięć minut piosenka country. Pierwsze dwa programy nie nadawały się do niczego, poszły do kosza.

PAMPERSI

Pampersi - określenie młodego środowiska dziennikarskiego, skupionego wokół Wiesława Walendziaka w okresie, gdy pełnił on funkcję szefa Telewizji Polskiej (połowa lat 90.) Pampersi wprowadzili do TVP programy traktujące światopogląd konserwatywny na równi z liberalnym (publicystyczny „Puls Dnia”, satyryczny „WC kwadrans”, „Fronda”, cykl „Kultura duchowa narodu”). (...) *Prezentujący umiarkowanie prawicowe poglądy Walendziak oraz jego współpracownicy (nazywani ironicznie pampersami) stali się - kontrolując najważniejszy środek masowej komunikacji w Polsce — istotną przeciwwagą dla dominującej w rządzie i parlamencie lewicy.* (Antoni Dudek „Pierwsze lata III Rzeczypospolitej 1989-1995”)

WC znał telewizję amerykańską. Wiedział, czym przykuwa się uwagę widza i jak powinien zachowywać się prowadzący. Nie znał jednak realiów polskiej telewizji. Podczas pierwszego przeglądu prasy wypadło mu z ręki jabłko-rekwizyt; nie tracąc wątku, schylił się po nie, kontynuując wypowiedź. Tyle że na montażu ten fragment został wycięty.

- *Wypowiedź nie ma sensu, kiedy pan wytnie to zdanie, które mówię, schylając się po jabłko.*
- *Ale pana wtedy nie widać.*
- *Ale mówię, i słychać, co mówię!*
- *W telewizji liczy się obraz, a nie to, co pan mówi.*

W związku z tym ten odcinek nie poszedł.

Pierwsze odcinki z ramienia TVP reżyserował Paweł Pitera, twórca m.in. popularnego serialu „Na kłopoty... Bednarski” i mąż posłanki Julii Pitery. Ponieważ ekipa z telewizji i WC rozmawiali różnymi językami, do programu został następnie przydzielony

producent zewnętrzny, Jerzy Zalewski (reżyser min. filmów dokumentalnych „Tata Kazika” o ojcu piosenkarza Kazika Staszewskiego i „Obywatel poeta” o Zbigniewie Herbercie). Jednakże, jak mówi WC, *okazał się oszustem: nie zapłacił honorariów za dziewięć odcinków*. Nie zapłacił też gościom, więc WC wypłacił im należności z własnej kieszeni, bo *przecież to on ich zaprosił*. Po tych dziewięciu odcinkach oznajmił, że dalej programu nie robi, bo *ma gdzieś taką robotę, za którą nie płacą*. No to dyrektor Gasper uznał, że jedynym wyjściem jest, by WC sam został swoim producentem.

Przy niedzielnym obiedzie WC zakomunikował swojemu ojcu, że ten ma się zająć nową branżą. Całe życie był menago różnych artystów, to teraz będzie menago własnego syna. Organizował różne imprezy i potrafi zarządzać masą ludzką. Do tego umie zarządzać masą telewizyjną, bo przecież Jaz Jamboree było transmitowane. I zna wszystkich potrzebnych ludzi.

Tata Stanisław zaczął od podpisania umowy z TVP, z której wynikało, że:

Pan Wojciech Cejrowski ma w programie prezentować swoje osobiste poglądy polityczne, społeczne, obyczajowe, religijne oraz swoje osobiste irytacje, związane z tym, co znajdzie w gazetach (...)

Następnie papa Stanisław wziął zeszyt w kratkę, poszedł na Woronicza, porozmawiał z trzema kierownikami produkcji, dowiedział się, jak to się robi w TVP, a potem zrobił wszystko po swojemu. No i to była najlepsza, wzorcowa produkcja, o której mówiono później na zebraniach.

Przede wszystkim w studiu panował reżim jak w Ameryce. Ojciec pojawiał się o 6.00 rano, by uczestniczyć we wstawianiu dekoracji. Światło było ustawione na dublera podobnego wzrostu, co WC, a ten przychodził przygotowany o 9.45. O 10.00 ruszały kamery, o 16.00 były zatrzymywane. Jeżeli o 10.00 kamery nie mogły ruszyć, bo na przykład taśma nie była załadowana, ojciec WC kasował od studia horrendalne kary. Ekipa na początku bardzo się burzyła, ale po dwóch nagraniach sami już byli zdyscyplinowani, bo wiedzieli, że to jedyny program, przy którym mogą się umówić z żoną, że o 16.30 na sto procent będą w domu.

Do 16.00 szły taśmy, a potem bezwzględnie koniec. Jak to możliwe? Ano, bo pan Wojciech Cejrowski ćwiczył w domu przed lustrem. Nie przychodził na plan z kartkami i niewiedzą na temat tego, *co* będzie robione, tylko ze stoperem w rękę ćwiczył każde swoje wejście. Przegląd prasy to było pięć do ośmiu wycinków. Najpierw czytał, potem komentował, potem znowu czytał, znowu komentował, pomiędzy wstawiał powymyślane dowcipy i puenty, a na koniec pojawiały się gadzety. Pierwszy dubel był po to, żeby kamerzyści nie trzęśli kamerami ze śmiechu, potem było dziesięć sekund przerwy i drugi dubel, który w całości szedł do telewizji, właściwie bez montażu. Potem była rozmowa z gościem i tu WC znowu miał przećwiczoną strategię. W telewizji amerykańskiej widział, jak kandydat na prezydenta przygotowuje się do debaty telewizyjnej z drugim kandydatem. Wymyślał zatem wszystkie możliwe warianty odpowiedzi, jakich gość może mu udzielić w danej sytuacji. Zakładał, że na jego pytanie A gość może odpowiedzieć B, C lub D. Miał przygotowane drabinki: *co* robić, kiedy odpowie D, a *co* - kiedy odpowie C. Więc rozmowa z gościem trwała maksymalnie dwanaście minut, *włączając* w to puentę.

Również kiedy WC sam jest gościem w innych programach, jest zawsze przygotowany. Do występu w „Wieczorze z wampirem” Wojciecha Jagielskiego przećwiczył wcześniej trzy anegdoty i odgrywał je w odpowiednich momentach w taki sposób, jakby to właśnie przyszło mu do głowy. W Ameryce tak się robi *talk-shows*. Ustawia się je, bo *show* znaczy przedstawienie. Ustala się z gościem, co fajnego chciałby powiedzieć albo ustawia się dialog na zasadzie: najpierw ja się podłożę i ty zrobisz ze mnie durnia, a potem na odwrót. Bo chodzi o show i o publiczność, a nie o dobre samopoczucie gości. Dopiero potem, kiedy WC z Alicją Resich-Modlińską uczestniczył w programie „Piękny i Bestia”, to z przerażeniem zobaczył, jak się robi takie programy w polskich mediach. Tu traciło się czas na zebrania redakcyjne, gładzenie o niczym, a do tego nikt za ten czas nie płacił. Dlatego nigdy nie chce znaleźć się w sytuacji, w której to nie on będzie producentem własnych programów. U niego jest reżim jak w Hollywood. Tak jest teraz, w „Boso przez świat”, tak było wcześniej, w „Z kamerą wśród ludzi”.

SKANDAL

„WC kwadrans" od początku wzbudzał kontrowersje. Jednym z pierwszych gości był Andrzej Lepper, który chodził z obstawą i bawił się wtedy w blokady dróg. Został błyskawicznie odpytany:

- Proszę pana, wziął pan kredyt?

- Tak.

- W banku spółdzielczym? -

Tak.

- A wie pan, co to jest bank spółdzielczy?

- No tak, to jest taki bank, gdzie wszyscy spółdzielcy składają pieniądze do kupy, czyli taka kasa zapomogowo-pożyczkowa.

- Czyli co? W pańskim banku spółdzielczym są pańscy sąsiedzi zza płotu, tak?

- Tak.

- I nie oddał pan tego kredytu?

- Nie.

- I nie ma pan zamiaru oddać?

- Nie, bo to były lichwiarskie kredyty, więc nie powinno się ich oddawać.

- Jak się nazywa ktoś, kto pożyczył pieniądze i nie chce oddać?

- Złodziej.

- Jest pan złodziejem, który okradł własnych sąsiadów?

- Tak.

- No to won ze studia, bo ja ze złodziejami nie rozmawiam, a zwłaszcza z bezczelnymi, którzy jeszcze namawiają innych do tego, żeby pożyczać i nie oddawać. Won!

No i Lepper wstał i wyszedł.

W innym odcinku, robionym jeszcze przez Zalewskiego, była rozmowa o stopie Murzyna. Skandal wielki, za który chcieli od razu WC z telewizji usuwać. Otóż jak się weźmie rzetelne książki antropologiczne, to można w nich wyczytać, że badania wykazują, iż stopa czarnych ludów afrykańskich z sawanny jest genetycznie inna niż Europejczyków. Dźwignie, które w stopie działają przy skokach lub podczas biegu, są u Murzyna bardziej wydajne, dla-

tego Murzyni na krótkich dystansach biegają lepiej niż biali. Pan z AWF, ortopeda, generalnie zgadzał się ze wszystkim, aż doszło do ostatniej tezy, że to nieuczciwe, żeby się Murzyn z taką wydajniejszą stopą ścigał z białym człowiekiem, który po prostu nie ma szans, bo używa innego narzędzia. Skoro stopa Murzyna jest bardziej wydajna i nawet da się wyliczyć, o ile, to może tak jak kobiety się nie ścigają z mężczyznami, tak i czarni ludzie nie powinni się ścigać z białymi na krótkich dystansach? Na długich dochodzą inne czynniki - wytrzymałość, pojemność płuc, trening i tak dalej, ale na krótkich - ledwo taki wystartuje i już po sprawie. Wtedy ortopedzie włączyła się w głowie polityczna poprawność, bo zobaczył ten obraz jako segregację rasową w biegach. I chociaż z punktu widzenia fizjologii powinna mieć miejsce, to przecież jest niedopuszczalna. I rozpętała się po tym programie afera, że WC to rasista. A on przecież tylko zadawał logiczne pytania. No ale wszyscy poprawni politycznie w mediach od razu zareagowali, że jak można było w ogóle o Murzynach... To, że został uznany za rasistę zaskoczyło go. Odkrył zabawny greps ze stopą i spodziewał się owacji na stojąco. Wzorem Sokratesa, posługując się żelazną logiką sprawił, że gość, który na początku zdecydowanie mówił „TAK”, na koniec przyznawał, że jednak „NIE”.

WC od początku wiedział, że gra na krawędzi. Tak jak u Manna przy pierwszym przeglądzie prasy w Radiu Kolor. Było wiadomo, że to krawędź, ale w rozrywce ludzi interesuje tylko krawędź. Nie interesuje nudny pan, który mydłanym głosem opowiada pierdoły. Interesuje Wojciech Mann, bo jest błyskotliwy i błysnie czymś, co nam nie przyszło do głowy. Interesują ekstrema, wyraziste postacie. Polityka może być rozrywkowa. Każdy amerykański prezydent, nawet w najbardziej poważnych przemówieniach dotyczących wojny w Afganistanie, używa elementów zaczerpniętych ze *stand-upu*, by przemówienie było dobrze zapamiętane. Muszą być przerwy, musi być kilka dowcipów wpisanych w najpoważniejszy temat właśnie po to, żeby uwaga ludzi mogła się na tym skupić. To jest amerykańska tradycja, a Wojciecha Cejrowskiego interesuje robienie w Polsce amerykańskiej rozrywki, bo uważają za najlepszą.

Widzowie „WC kwadransa” często go zaskakiwali. Na przykład historia z bananem, która wzbudziła poruszenie w mediach, została wy-

wołana przez rodziców. Chodziło o to, że dyrektorka pewnego warszawskiego liceum zgodziła się, by lekcję na tak delikatny temat, jak życie płciowe człowieka, przeprowadzili studenci z piątego roku psychologii. No i studenci zrobili wykład na temat tego, do czego służy prezerwatywa. Nie mieli uprawnień nauczycielskich, nie znali tej konkretnej młodzieży, nie było przy nich nauczyciela z tej szkoły. Jedna ze studentek pożyczyła banana od uczennicy i założyła na niego prezerwatywę. Dla jednych to było śmieszne, dla innych szokujące, bo nigdy wcześniej tego nie widzieli. Dzieciaki opowiedziały o zdarzeniu rodzicom, a ci skontaktowali się z WC i pani dyrektor została zaproszona do programu. Oto zapis całej rozmowy jaka została przeprowadzona przed kamerami:

- *Pani do swojej szkoły zaprosiła fachowców z MONAR-u. Skąd ten pomysł?*

- *Po prostu ani biolog, ani wuefowiec, ani inny specjalista nie jest specjalistą od wychowania seksualnego.*

- *Czy rodzice byli pytani przed tymi ćwiczeniami, czy mają ochotę, by ich dzieci w sprawach seksu były kształcone przez dwudziestolatków z MONAR-u?*

- *Rodzice w ogóle są pytani o różne sprawy na początku roku szkolnego i są zdania, że ludzie przeszkoleni powinni się tym zajmować. Akurat to nie byli dwudziestolatkowie z MONAR-u, troszkę pan tu ma przekłamane informacje, to byli ludzie z komitetu do spraw walki z AIDS, ludzie po psychologii, więc nie dwudziestolatkowie, tylko po studiach...*

- *Dwadzieścia trzy, to nie dwudziestolatkowie tylko...*

- *No nie, bo dwudziestolatków to ja mam w szkole u siebie.*

- *Czy uważa pani, że w każdym człowieku są granice wstydlivości i dobrego smaku?*

- *Ależ oczywiście.*

- *A gdzie u pani jest granica wstydlivości?*

- *To zależy, wie pan...*

- *Ja uważam, że przekroczono granicę dobrego smaku i wstydu.*

- *Być może.*

- *I zaraz postaram się to udowodnić. Niech pani trzem milionom naszych telewizorów opowie o swoim pierwszym razie. To jest to samo ćwiczenie, które zadano uczniom w pani szkole.*

- *Proszę pana, mogę opowiedzieć o moim pierwszym razie, tylko że problem nie do tego się sprowadza.*
- *Ja myślę, że do tego, bo postawiła pani dzieci, powierzone sobie na wychowanie, przed takim zadaniem.*
- *Zgoda, ale to zadanie nie stanęło nagle przed nimi. Najpierw była rozmowa, najpierw było kilka kolejnych zajęć przygotowujących i ktoś, kto nie chciał, nie życzył sobie, mógł napisać: nie odpowiadam na to pytanie.*
- *Proszę się zmusić, poczuje pani, jak czuli się ci uczniowie. Proszę się zmusić i opowiedzieć, jaki był pani pierwszy raz, publicznie.*
- *Proszę pana, wspomniały... po prostu.*
- *A tak bardziej technicznie.*
- *Nie chodzi o technikę, chodzi o odczucia. Wszystkie sprawy seksu możemy sprowadzić do dwóch dziedzin: albo jest to miłość wysublimowana, czyli uczucia i nic więcej, albo technika.*
- *Oto drugie ćwiczenie, jakie zostało przeprowadzone w czasie tych lekcji. Tu są przerwy, tu jest banan - proszę nałożyć jedno na drugie.*
- *Ćwiczenie, które zgodnie z regułami, jakie się propaguje w niektórych środkach masowego przekazu, ma za zadanie sprawić, że młodzież wie, do czego jest używana przerwa.*
- *Szesnastoletniej młodzieży proponowano ten rodzaj prezentacji, prosząc zresztą tę młodzież o banana, bo pani, która przyszła z MONAR-u, nie była przygotowana pod tym względem.*
- *Nie, nie była.*
- *No to proszę teraz publicznie założyć jedno na drugie i poczuć ten wstyd i ten niesmak, który się musi pojawić u każdego normalnego człowieka w takiej sytuacji.*
- *Wstyd może nie - tylko niesmak.*
- *Tego niesmaku doświadczyły dzieci, powierzone pani opiece.*
- *Owszem, zgadza się.*
- *No i...*
- *Takich sytuacji nie da się uniknąć, kiedy zaczyna się poruszać tego typu tematy.*
- *Sytuacji niesmaku? Nie można powiedzieć elegancko, nie można podać na wykwinnym talerzu? Trzeba jeść kaszankę na gazecie?*

- *Można i tak, i tak. Wszystko zależy od smaku.*
- *Smacznego. Niech pani spróbuje, poczuje się pani na pewno nieprzyjemnie.*
- *Z pewnością ma pan rację.*
- *A jest pani bardziej przygotowana od tamtych szesnastolatków, którzy w większości nigdy nie widzieli tej paczki [z przerwy] po rozpakowaniu.*

No, ale zamiast dostać Order Uśmiechu albo Order Orła Białego, WC dostał bęcki od wszystkich środowisk w Polsce. I to było dla niego kolejne zaskoczenie. Widzowie, głównie rodzice, w większości uważali, że to była dobrze przeprowadzona rozmowa. Natomiast media uznały, że obraził panią nauczycielkę. Wszyscy zapomnieli o meritum sprawy, że niegrzeczne zachowanie WC wobec tej pani skądś się wzięło. W Ameryce rozłożono by ten problem na czynniki pierwsze.

Do innego odcinka WC zaprosił Marka Kotańskiego. Kazał ustawić pomiędzy sobą a gościem szybę oraz podał Kotańskiemu rękę w rękawiczce.

-I Kotański w 15 sekund zrozumiał, co jest grane. Nie miał cienia pretensji, bo graliśmy w tę samą grę - uważa WC.

Pan Wojtek wyjaśnił mi, że szyba symbolizuje strach przed zarażeniem HIV, a z takimi reakcjami ludzi Kotański spotykał się bez przerwy. W połowie lat 90. mieszkańcy wiosek, w których zakładał ośrodki, domagali się ich zamknięcia. Dochodziło nawet do podpaleń. Rozmowa była o strachu. O tym, czy WC ma prawo się bać i *co* Kotański miałby do powiedzenia osobie odczuwającej lęk. Terapeuta nie miał jednoznacznych odpowiedzi, ale przyznawał innym prawo do strachu.

Niestety, wątek „prawa do strachu”, głoszony przez WC, jednocześnie wzmacniał szkodliwy i fałszywy stereotyp na temat sposobów rozprzestrzeniania się choroby. Można powiedzieć, że on grał pod swoją publiczność w sposób kompletnie nieodpowiedzialny, i robił to z premedytacją. Nie wiem, czy wywiad z Kotańskim nie był jednym z najbardziej skandalicznych epizodów w historii „WC kwadransa”.

POPULARNOŚĆ

W ciągu kilku miesięcy WC stał się postacią nie tylko kontrowersyjną, ale też niezwykle popularną. Do programu przychodziły setki listów tygodniowo. Oto fragmenty trzech, dość szczególnych listów:

9.11.1995

(...) Ma Pan podobno czteromilionową widownię, która jednak, niestety, nie załatwi nic. Czteromilionowa organizacja załatwi wszystko; no, prawie wszystko. Proponuję Panu założenie Towarzystwa Przyjaciół Ciemnogrodu. Jeżeli to Pana zainteresuje, proszę o telefon i spotkanie. Trochę przemyślałem, jak to zrobić.

Łączę pozdrowienia

Janusz Pawłowski

/herbu Kospath/

13.02.1996

Wielce Szanowny Panie,

(...) Od siebie pragnę dodać, że uważam program Pana za świetny i bardzo potrzebny. O to jestem skłonny, mimo że jestem starzec nadgrobem stojący, kruszyć kopie. Jest pan chyba jedynym niezbędnym i odważnym głosem coraz bardziej topniejącej liczby Rodaków, zalewanych nonsensem, chamstwem i iście sowiecką arogancją za pośrednictwem telewizji.

Proszę zatem przyjąć wyrazy podziwu dla Pana odwagi, konsekwencji i uporu

Łączę wyrazy poważania

Zbigniew Herbert

18.03.1996

Naczelny Kapelan Więziennictwa RP i Pasterz Parafii św. Józefa w Warszawie zgłasza Naczelnemu Kowbojowi RP swoje owieczki do Rejestru Ciemnogrodzian.

Naczelny Kapelan Więziennictwa Rzeczypospolitej Polskiej

ks. dr Jan Sikorski

Wielu dziennikarzy, opisujących fenomen popularności „WC kwadransa”, porównywało WC do amerykańskiego, ultrakonserwatywnego showmana Rusha Limbaugh.

LIMBAUGH

Rush Limbaugh, właściwie Rush Hudson Limbaugh III (12.01.1951), to amerykański komentator polityczny. Znany jest przede wszystkim jako prowadzący amerykański program radiowy „The Rush Limbaugh Show”, najpopularniejszy pod względem słuchaczy w Stanach Zjednoczonych. Limbaugh uważany jest za osobę mającą wielki wpływ na ruch konserwatywny w Stanach Zjednoczonych. Jego wielka popularność rozpoczęła się 1988 roku wraz z prowadzeniem przez niego programu radiowego w ogólnokrajowej stacji WABC z siedzibą w liberalnym Nowym Jorku. W latach 90. jego popularność osiągnęła poziom gwiazd estrady. Wydał dwie bestsellerowe książki i prowadził telewizyjny show. W 2003 roku został oskarżony o nielegalne zdobywanie leków przeciwbólowych, dostępnych wyłącznie na receptę. Na antenie swojego programu ogłosił, że idzie na 30-dniowy odwyk. Zakończył się on niepowodzeniem, co nie zmniejszyło jego popularności wśród konserwatywnych Amerykanów. Limbaugh sprzeciwia się m.in. ochronie środowiska, w tym prawom zwierząt, odpowiedzialności człowieka za dziurę ozonową i zjawisku globalnego ocieplenia. Wspiera natomiast wojnę z terroryzmem, wolność jednostki, kapitalizm, jest za ograniczaniem ingerencji państwa w życie jednostki i gospodarkę, wierzy w prawo i Boga.

O dziwo, Rush Limbaugh nudzi WC. Kiedy mieszkał w USA, dużo ciekawszy był dla niego ultraliberalny Howard Stern. Słuchał jego programów, wkurzał się, by na koniec móc stwierdzić: „Cholera, znalazł moją słabą stronę”. Słuchał kilka razy programów amerykańskiego prezentera, kiedy uznano, że jest jego polskim odpowiednikiem. Ale nudził go, bo mówił to, co on sam już wie. WC nie ma potrzeby słuchania Rusha Limbaugh, tak jak nie ma potrzeby słuchania polityczno-filozoficznych wynurzeń Radia Maryja. Pasma modlitewne - to co innego. Kiedy jedzie samochodem, chętnie zmawia z prowadzącym różaniec albo śpiewa godzinki. Tym bardziej, że w żadnym znanym mu kościele dziś już nie śpiewa się godzinę do Najświętszej Maryi Panny.

Piętnaście, szesnaście lat temu Polska była innym krajem niż obecnie. Wojciech Cejrowski, jako Naczelny Kowboj RP, prowadząc program „WC kwadrans”, natychmiast stał się wrogiem publicznym nr 1. „Gazeta Wyborcza” określa go mianem „brunatnego kowboja RP”, w mediach pojawiają się określenia „faszysta”, „Ciemnogród”... W końcu WC bierze z obrzydzeniem „Wyborczą” przez gumowe rękawiczki i oświadcza, że jeżeli „Ciemnogród” określa osoby, które chodzą do kościoła, modlą się, spowiadają, przyjmują komunię, uważają świętego Mikołaja za biskupa, a nie krasnala - to w takim razie jego to nie obraża. W końcu oznajmia:

-Jestem z Ciemnogrodu i jestem z tego dumny!

i proponuje:

-Jeśli ktoś z Państwa też tak uważa, to proszę o list.

Na mapie Polski oznacza czarnymi kropczkami miejscowości, z których przychodzą listy. I w ciągu sześciu programów okazało się, że Polska to Ciemnogród - mapa była cała gęsto zakropkowana.

WC uważa, że człowiek, który nie jest wojownikiem, jest ospały intelektualnie. Ludzie są drapieżnikami i mają kły.

*- Jak jesteśmy w stadzie, mamy być samcem alfa - mówi WC. -
Inaczej zgnuśniejemy.*

Ojciec Stanisław natychmiast stworzył bazę ciemnogrodzian, a potem zapraszał ich na imprezy pod nazwą „Zjazd Ciemnogród”.

- *Pan Wojtek był w polityce prawdziwkim, więc ktoś go musiał pilnować* - wspomina Cezary Michalski, wówczas redaktor publicystyki kulturalnej i społecznej TVP. - *Ja, jako człowiek poważny i odpowiedzialny (śmiech), zostałem przydzielony do tego zadania i jednocześnie miałem kolaudować „WC kwadrans”. Powinienem ostrzej przyglądać się programom, ale my, tzn. kierujący wówczas telewizją, czuliśmy się jak bojownicy w osaczonej twierdzy. Wprawdzie mieliśmy wpływ na najważniejszą telewizję w kraju, ale jednocześnie w 1995 roku było już wiadomo, że antykomunizm nie wygrał w Polsce, że ludzie, którzy do niedawna używali kościoła w walce politycznej, teraz są na pozycjach antyklerykalnych. Czuliśmy, że „WC kwadrans” jest tykającą bombą, ale jak człowiek nakręca się ideowo, to nie chce wyjść na mięczaka. Miałem być oficerem politycznym w dobrym tego słowa znaczeniu, ale ponieważ sam byłem bardzo nakręcony, nie spełniłem swojej funkcji. Pan Wojtek wiedział, że potrzebny jest show, ale ja mogłem zablokować pewne rzeczy, choćby publiczne niszczenie płyty Stanisława Sojki z piosenką „Jesteś moją kokainą”.*

A TAK NAWIASEM (2)

Korzenie *stand-upu* sięgają dziewiętnastowiecznych *minstrel shows*, które szczyt popularności osiągnęły w Ameryce lat 40., przetrwały okres wojny secesyjnej i zakończyły swój żywot na początku XX wieku. Były to pierwsze rdzenie amerykańskie formy teatralne: trójaktowe spektakle, łączące skecze, piosenki i krótkie monologi (*stump speech*) - prototypowe wersje współczesnego *stand-upu*. *Minstrel show* wykorzystywał stały zestaw postaci, trochę tak jak europejska *commedia dell'arte*. Wśród nich karykaturalne reprezentacje Murzyna, odgrywane przez białych aktorów, których twarze ukryte były pod grubą

warstwą farby i makijażu, tzw. *blackface*. Murzyńska fizjonomia w tej konwencji przypominała maskę klauna, z groteskowo wyolbrzymionymi cechami charakterystycznymi - ustami i nosem. To właśnie *minstrel shows* są w ogromnym stopniu odpowiedzialne za usystematyzowanie rasistowskiego stereotypu Afroamerykanów. Tak jak *blackface* budował karykaturę ich fizyczności, odgrywane postacie tworzyły profil charakterologiczny, rysowany równie grubą krechą: Murzyn był leniwy, chytry, muzykalny, rozwiązły, tchórzliwy itd. Żart, który eksploatował ten typ spektaklu, był więc czystym żerowaniem na agresywnym, poniżającym stereotypie. Potwierdzał go, wzmacniał i po części współtworzył. Był więc zaprzeczeniem krytyki. Można pomyśleć, że społeczne zaangażowanie nowoczesnego, liberalnego *stand-upu* jest swoistym odkupywaniem kulturowej winy, pierwotnego grzechu towarzyszącego narodzinom gatunku.

Minstrel show ewoluował, przekształcając się z jednej strony w wodewil, rozrywkę wyższej klasy średniej, z drugiej - w plebejską burleskę. W obu formach przewijał się komiczny monolog, albo jako oddzielny punkt programu, albo jako łącznik między kolejnymi aktami, kiedy mistrz ceremonii wplatał żarty do swoich zapowiedzi. Jednak to właśnie burleska stworzyła naturalną przestrzeń dla satyrycznego monologu i tam zaczął się formować unikalny, interaktywny styl *stand-upu*. Sale, w których występowali artyści burleski były znacznie mniejsze od scen wodewilu, tworzyły dużo bardziej intymną atmosferę i narzucały bliższy kontakt z publicznością. Była to też inna publiczność. Reagowała żywiołowo i pozwalała na dosadniejszy, bardziej ryzykowny obyczajowo rodzaj humoru.

Eksplozja mass mediów wymiotła wodewil i burleskę ze świata pop-kultury, a zwolnione przez

nie miejsce rozrywki „na żywo” zajęły nocne kluby i sceny muzyczne, głównie jazzowe. Szukający zatrudnienia komicy odnajdywali się tam jako konferansjerzy, zapowiadający striptizerki albo wypełniający czas pomiędzy setami koncertu. Każdy z nich, opowiadając dowcipy w zadymionej salce dla lekko albo bardzo pijanej publiczności, mniej lub bardziej zniecierpliwionej czekaniem na następny punkt programu, marzył o przebiciu się do radia lub kielkującej telewizji. W 1950 roku telewizory miało już około półtora miliona amerykańskich rodzin. Wśród nadawanych regularnie programów były popularne audycje komediowe, gdzie królowali satyrycy, którzy wcześniej zrobili karierę w rozgłośniach radiowych i na dużych scenach Las Vegas. Byli prawdziwymi gwiazdami, zarabiali prawdziwe pieniądze i razem z muzykami, aktorami i prezenterami stawali się pierwszymi ikonami masowej kultury.

Na początku nie byli jednak niczym więcej niż opowiadaczami dowcipów. Poruszali się wśród dobrze znanych, bezpiecznych tematów: żon, teściowych, pracy, podłego jedzenia w samolotach itd. Pierwszym, który wprowadził do *stand-upu* elementy politycznej satyry, zajmującej wyraźne stanowisko i podejmującej ryzyko antagonizowania części odbiorców, był Mort Sahl. („Konserwatysta to ktoś taki, kto wierzy w konieczność reform. Tyle że jeszcze nie teraz”; „Liberałowie mają poczucie winy z powodu tego, co udało im się zdobyć. Konserwatyści czują, że należy im się wszystko, co udało im się ukraść”; „Wszyscy wiemy, że Ameryka jest najgorszym krajem na świecie. Jeśli nie liczyć pozostałych”). Tego typu komedia miała swoje korzenie w tradycji literackiej, w pisarstwie Jonathana Swifta i Marka Twaina z jednej strony, i żydowskim humorze wschodnioeuropejskich sztetli (skąd emigrowali przodkowie większości słynnych komików tego okresu) z drugiej. Posługiwała się

subtelniejszymi środkami - ironią i autoironią, persyflażem, była inteligentna, zdystansowana i aluzyjna.

Mort Sahl podkreślał, że ogromny wpływ na ewolucję *stand-upu* w stronę politycznej satyry wywarło pojawienie się nowej sceny i publiczności: uniwersyteckich kampusów i bardziej wymagającego intelektualnie, akademickiego odbiorcy. To właśnie na uniwersytetach i w koncentrujących się wokół nich środowiskach literackich *beatgeneration* w latach 50. zaczęła się wyłaniać kontrkultura, która w następnej dekadzie przeorała amerykańską obyczajowość, sztukę i politykę.

Jednym z najsłynniejszych symboli tej kulturowej rewolucji stał się inny debiutujący w tym czasie żydowski komik, Lenny Bruce. Śpiewał o nim Bob Dylan, Beatlesi umieścili jego podobiznę na froncie swego najsłynniejszego albumu „Sgt. Pepper's...”, magazyn „Time” poświęcił mu swoją okładkę, a Dustin Hoffman zagrał go brawurowo w 1974 roku w doskonałym filmie biograficznym Boba Fosse'a „Lenny”. Napisano o nim niejedną monografię i akademicką rozprawę oraz całe mnóstwo prasowych artykułów, a wszyscy liczący się komicy do dziś wymieniają go jako tego, który wywarł na nich największy wpływ i kompletnie zmienił reguły gry obowiązujące w *stand-upie*.

Lenny Bruce robił rzeczy wówczas niesłychane: atakował instytucjonalną religię, otwarcie wyśmiewał purytańską obyczajowość, mówił o seksie i homoseksualizmie, rasie, narkotykach, hipokryzji mediów, aberracjach kapitalizmu, bezwzględnie rozprawiał się z każdym establishmentem i każdą świętością. I robił to w wyjątkowym stylu: jego język był niesamowitą mieszanką slangu czarnych muzyków bebopowych i jidysz, a konstrukcja monologu nie miała już nic wspólnego z serią

tradycyjnych żartów. Był bliższy jazzowej improwizacji, pełnej nieoczekiwanych skojarzeń, meandrującej i nieprzewidywalnej, z powracającym w kolejnych wariacjach tematem. Występował w dzinsach zamiast obowiązkowego wówczas smokingu, palił na scenie i całym sobą reprezentował *cool*. Jego szokujące występy szybko zwróciły na siebie uwagę konserwatystów i nie pozostały bez reakcji: oskarżany o obsceniczną i skazywany w kolejnych procesach, obejmowany zakazem występów w coraz większej liczbie klubów i doprowadzony do bankructwa, zmarł z przedawkowania narkotyków w 1966 roku, w wieku 40 lat. Pozostawił po sobie legendę buntownika, radykalnego i bezkompromisowego artysty i męczennika za sprawę autentycznej wolności słowa. Wśród jego obrońców i sympatyków byli prominentni intelektualiści amerykańskiej lewicy - Allen Ginsberg, Norman Mailer, James Baldwin, William Styron. Wśród jego następców jest całe pokolenie komików, którzy w latach 60. i 70., wykorzystując stworzony przez Bruce'a idiom, uczynili *stand-up* tym, czym jest do dziś - pełnoprawną i oryginalną formą sztuki scenicznej. (FJ.)

GAZETA WYBORCZA

4 marca 1995 roku, w świątecznym wydaniu „Gazety Wyborczej” ukazał się artykuł Anny Bikont pod tytułem „Brunatny kowboj RP”. Artykuł był zbudowany z wypowiedzi wielu rozmówców, potwierdzających tezę autorki, oraz wywiadu z Maciejem Pawlickim, ówczesnym szefem telewizyjnej Jedyńki. Oto jego obszernie fragmenty:

On gra na faszystowskiej nucie - mówi o Wojciechu Cejrowskim, autorze programu „WC kwadrans”, Krzysztof Piesiewicz, scenarzysta, członek Rady Programowej TVP.

(...) „WC” oznacza skrót od „water closet”, Wojciech Cejrowski, a może też od „wartości chrześcijańskich”, które au-

tor, swoim zdaniem, krzewi w programie „WC kwadrans”. (...) O akcji świątecznej pomocy Jurka Owsiaaka: „Cienki strumyk, ale strasznie hałaśliwy. A z drugiej strony wielka rzeka płynie, podskórnie i po cichu - to Caritas”. WC demaskuje „czule serduszka”, które wpłacają na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy: „Pracownicy Banku Śląskiego kupili serduszko za miliard trzysta milionów. Ale mieli z czego płacić. NIK pisze, że jak prywatyzowano bank, to jeden z pracowników zarobił 20 mld złotych za nie swoje”. (...) Ale już rządowa agencja do spraw narkomanii to nie żadne „czule serduszka”, to szczerwane lisy. To na nich idą pieniądze podatników, zaś oni, wszak wiadomo, zajmują się rozdawnictwem narkotyków, bo „odurzony łatwiej głośnie na tego, który go odurza”. (...) Gdy WC wspomina Szymona Wiesenthala, gładzi nieobecną brodę. (...)

Zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Wojciecha Cejrowskiego składa w tych dniach do prokuratury socjolog i publicysta telewizyjny Jerzy Diatłowski: - Występuję z powództwa obywatelskiego. (...) Skarżę Cejrowskiego z artykułu 274 kodeksu karnego: „Kto publicznie łży, wyszydza lub poniża grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowościowej, etnicznej lub rasowej...”. Ten artykuł nie wyczerpuje wszystkich zarzutów, jakie mam do programu: niestety, propagowanie kary śmierci i wywoływanie negatywnych emocji w stosunku do mniejszości seksualnych i narkomanów nie jest karane.

- Z początku byłem przekonany, że zasadą tego programu jest świadoma prowokacja, że ma on obnażać obskurantyzm, fobie, pruderię (...) - mówi Krzysztof Piesiewicz. - Już wtedy zastanawiałem się, czy autor w rzeczywistości nie propaguje treści, które chce zwalczać. Po kilku programach dopiero zrozumiałem, że jego zamiarem jest przekazywanie treści, które stoją w antynomii do praw człowieka. (...) Ten pampers jest niebezpieczny - gra na jednej nucie o faszystowskim brzmieniu. (...)

- Ta audycja jest straszna - mówi Piotr Łazarkiewicz, reżyser, członek Rady Nadzorczej TVP SA. - To nie jest żaden kabaret, włosy stają na głowie, jak posłuchać, co się tam wygaduje. To tak właśnie rodzi się faszyzm i ja się normalnie zaczynam bać. (...)

- *Podnosiłem na posiedzeniach zarządu, że niektóre programy nie licują z misją telewizji publicznej - mówi Waldemar Budzyński, niedawno odwołany członek zarządu TV. - „WC kwadrans” ładuje ludzi agresją, promuje faszystowskie spojrzenie na rzeczywistość. Program jest szczególnie niebezpieczny jako majstersztyk soejotechniki, to Goebbels się wspinał na takie szczyty. (...)*

Mówi szef „Jedynki” Maciej Pawlicki:

- *Co przemawia za pokazywaniem „WC kwadransa” w publicznej telewizji?*

- *Konieczność prezentowania rozmaitych poglądów. A jest to jedyny program, który w tak otwarty sposób przeciwstawia się wszechogarniającej zasadzie politycznej poprawności, temu rygorystycznemu, spójnemu systemowi, który całkowicie zdominował telewizję. (...) Należy się przeciwstawiać stadnie wyznawanym poglądom. (...)*

- *Co pan ma na myśli, mówiąc o stadnie wyznawanej politycznej poprawności?*

- *Mamy mnóstwo programów, które kontestują zaścianek, kołtuństwo, zabobon. Ten jeden jedyny program kontestuje postęp, który dla mnie też jest pojęciem opisowym, a nie wartościującym. (...)*

- *Uważa pan, że dopuszczalne jest „flekowanie” dyrektorki szkoły, która wprowadziła lekcje uświadczenia seksualnego, przez wydawanie jej poleceń: „Niech pani opowie o swoim pierwszym razie” albo: „To jest prezerwatywa, to jest banan. Proszę założyć jedno na drugie i poczuć ten wstyd i ten niesmak”?*

- *To była jedna z celniejszych metafor Cejrowskiego. On właśnie wtedy jest najlepszy - nie, kiedy ubliża swoim rozmówcom, udowadnia im, że są kretynami, ale gdy pokazuje im konsekwencje ich działań. Przecież dyrektorka każe takie rzeczy robić swoim uczniom.*

- *Zajęcia z młodzieżą prowadziła przecież grupa przeszkolonych psychologów z komitetu do spraw walki z AIDS.*

- *To tej dyrektorce tę niedojrzałą młodzież rodzice powierzyli pod opiekę. A ona każe im takie rzeczy robić publicznie w klasie. Przecież tak samo mogłoby to mieć miejsce na stadionie, w huku bębnów, a pani dyrektor stałaby i zachęcała uczniów okrzykami: „olei”*

- *A że Cejrowski premiuje chamstwo, nieuctwo i nienawiść, to jest stosowne w telewizji publicznej?*

- Jak pani może używać takich określeń! Poetyka może jest brutalna i prostacka, Cejrowski wyraża się w prostych i mocnych słowach - ale szerzenia nienawiści tam nie ma ani kłamstw. (...)

- Ci, którzy mają w pamięci język faszystowskiej propagandy, stalinowskiego kłamstwa, rewolucji kulturalnej w Chinach czy wreszcie język Marca '68, odnajdą ten zapomniany ton, to umiejętne wydobywanie agresji w programach Cejrowskiego - mówi reżyser Jerzy Markuszewski. - Dlatego ten program uważam za niebywale zjawisko w telewizji po 1989 roku. (...)Jean-Paul Sartre mówił, że Żydzi mają dwóch wrogów: antysemitów i tych, którzy uważają, że nie wolno ingerować w cudze poglądy. Cejrowski, kiedy stoi w rozkroku na tle rancza, przypomina tego młodego blondaska, który w „Kabarecie” na zjeździe ziomkostw śpiewa czystym głosem pieśń o ojczyźnie, a za nim stoją pałki i noże. Tejkowski, Bryczkowski, Cejrowski to jest ciąg, i to paskudny. Dziwi mnie też, że Cejrowski ma w zapleczu dwóch ojców chrzestnych, ciepłego, uroczego pana Manna i pana Maternę - z pretensjami do nienaganności. To oni wylansowali go w warszawskim Radiu Kolor. (...)

Z Cejrowskim nie mogłam porozmawiać, gdyż tę porę roku spędza w południowoamerykańskiej dżungli.

W „WC kwadransie” Cejrowski stoi nad mapą administracyjną Polski. „Ci, co chwala WC, to są wszystko Ciemnogrody Polskie. Listów coraz więcej, za parę miesięcy ta mapa się zaczerni - czarnymi plamami Ciemnogrodu. Na tle Czerwonej Europy powstanie Czarna Polska, a ja zostanę jej burmistrzem” (Anna Bikont)

„Z Cejrowskim nie mogłam porozmawiać...” - pisze pod koniec tekstu Bikont. I to jest bardzo ciekawy szczegół, bowiem moment, który „GW” wybrała na publikację tekstu, był nieprzypadkowy. Pojawił się on dwa dni po tym, jak WC wyruszył na wyprawę do dżungli. Oczywiście, wcześniej był dostępny, ale po publikacji już nie. Nie mógł się bronić.

- Można powiedzieć, że to był zbieg okoliczności - tłumaczy mi WC. - Tylko że dzień przed moim wyjazdem nagrywaliśmy na zapas kilka odcinków „WC kwadransów”. Wszyscy w studiu wiedzieli, że znikam na dłużej.

- Mogą sobie różne rzeczy pisać: że WC z gęby śmierdzi, że popołudniami gwałci kozy, ale nazwać go faszystą, czyli zbrodniarzem - to jest agresja - ocenia dziś tamten tekst Cejrowski.

Jego pełnomocnik złożył 3 kwietnia 1995 r. w III Wydziale Cywilnym w Warszawie dwa pozwy przeciwko Annie Bikont i Agora Gazeta Sp. z o.o. oraz przeciwko Piotrowi Łazarkiewiczowi, zarzucając pozwanym „umyślne naruszanie dóbr osobistych”. Reżyser 21 marca 1995 r. wysłał pismo do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, w którym donosił min.:

Co stoi za „WC kwadransem”? Mentalność szeroko rozumianego koltuna. Tego, który - niestety -jeszcze ciągle daje o sobie znać w naszym kraju i nie tylko. Cejrowski promuje chamskiego, brutalnego knajaka spod budki z piwem, tego samego, który jest zawsze wrogiem postępu, tego, który nie dopuszcza do głosu ludzi o innych poglądach niż on.

Dodajmy, że w momencie pisania listu Łazarkiewicz był członkiem Rady Nadzorczej TVP.

TYLKO W JEDYNCE

Wcześniej, 9 marca, na antenie Programu I TVP odbyła się w ramach sztandarowego programu publicystycznego „Tylko w Jedynce” dyskusja z udziałem min. Anny Bikont, Jerzego Diatłowic-kiego i przedstawiciela telewizji Cezarego Michalskiego. Spotkanie prowadził Bogdan Rymanowski. Już na wstępie Diatłowicki oznajmił:

- Z całą odpowiedzialnością, na jaką mnie stać, stwierdzam, że jest to program faszystowski.

Za tę wypowiedź WC wytoczył później trzeci proces o naruszenie dóbr osobistych.

- To miał być sąd nad Cejrowskim - wspomina Cezary Michalski.
- Nasi przeciwnicy tym topornym językiem „Gazety Wyborczej” udowadniają, że wszystko, co jest pokazywane w „WC kwadransie” pachnie faszyzmem. Jak widzą kubek, którym Cejrowski wali w stół, to natychmiast mają skojarzenia z kuflem piwa, którym walono w nazistowskich knajpach xv Monachium. A ja z nich szydę. Mówię, że teraz są oburzeni, a jak w bojach przeciwko kościołowi i dyskusjach o aborcji walono w symbole prawicowe, to nikt z nich nie protestował. Oni zarzucają Cejrowskiemu antysemityzm, a ja, wiedząc, że pan Wojtek kocha Żydów konserwatywnych, udowadniam, pokazując fragmenty programu, że to, o czym oni mówią, nie jest prawdą. Dodatkowo okazuje się, że rzekome antysemickie gesty były używane w zupełnie innym kontekście. Anna Bikont w końcu przyznaje, że nie widziała tych materiałów, a napisała o antysemityzmie, bo inni jej to tak przedstawili. Oni słyszeli coś, czego WC nie powiedział. My [pampersi - G.B.] też słyszeliśmy wiele rzeczy, których oni nie powiedzieli. Oni podkręcali, my podkręcaliśmy. Tego samego wieczoru rosyjskie oddziały pancerne wjechały do Groznego i straciły trzy czwarte czołgów. Czuliśmy się, jakbyśmy naraz odnieśli dwa zwycięstwa.

Sesja do okładki książki „Młot na lewicę” - 1999



„Gazeta Wyborcza”, niezrażona porażką, a może właśnie z tego powodu, kontynuuje krucjatę. W tekście z 18 kwietnia, o znamionym tytule „Klub płaskiej Ziemi”, tym razem ostrze krytyki kieruje w stronę wielbicieli programu „WC kwadrans”, którzy zasypali redakcję listami. Autor, Piotr Bratkowski, podkreślił, że w listach obrońców programu dominuje „retoryka Marca '68, styl anonimów, wysyłanych w latach 70. do działaczy opozycji demokratycznej”. Bratkowski wprawdzie przyznaje, że listów atakujących „WC kwadrans” „przyszło zdecydowanie mniej”, ale przecież nie liczy się ilość, tylko jakość. A zatem

te dwie cechy wspólne: pisanie „w imieniu milionów” i podkreślanie własnego wykształcenia - zupełnie nieobecne wśród przeciwników Cejrowskiego - mają, jak sądzę, wspólne źródło. To próba zakrzywienia niepewności co do siły swojej argumentacji. Ludzie piszący te listy obawiają się, że ich poglądy nie są modne.

A w konkluzji artykułu można było przeczytać:

To nie przypadek, że „tradycyjne wartości”, których bronią zwolennicy „WC kwadrans”, są tak dalece niezakorzenione w jakiegokolwiek realnej tradycji. Przecież Polska, na skutek swej skomplikowanej historii, od stuleci nie była państwem rządzącym się wedle konserwatywnych, tradycyjnych zasad.

Efektom tekstu Anny Bikont była medialna dyskusja, która trwała prawie dwa lata. Jedni („Polityka”, „Przegląd Tygodniowy”, „Wprost”, „Trybuna” i „Gazeta Wyborcza”) miażdżyli kowboja, inni („Życie Warszawy”, „Życie”, „Gazeta Polska”, „Tygodnik Solidarność”) stanęli po jego stronie. W obszernym tekście w „Życiu” Rafał Geremek tak opisał naszego bohatera:

Silnie zbudowany, wysoki blondyn o niebieskich oczach. Ubrany w obszerną bluzę, jasne spodnie i kowbojskie buty. Kiedy przemawia, patrzy prosto w oczy. Ma 30 lat. Jest kawalerem. Nie chce się umówić na rozmowę po dziewiętnastej, bo wtedy „prowadzi życie rodzinne”.

Mój bohater to John Wayne, który wiedział, do kogo strzelać. I nie strzelał w łokieć, tylko w serce, a jak kochał, to całym sercem. Podział na dobro i zło jest dla mnie oczywisty. Relatywizm istnieje tylko w fizyce - mówił w tekście WC.

Co dziś WC sądzi o swoim kontrowersyjnym programie? Przytoczmy kilka jego publicznych wypowiedzi na ten temat:

- Byłem zdziwiony, że w Polsce moje programy wywoływały tak wielkie negatywne poruszenie. W Ameryce stand-uperzy robią znacznie większe przekroczenia niż ja czyniłem. Niczego nowego nie wymyśliłem, nie odkryłem. W Stanach doprowadza się do ostrego sporu, nawet przesadnego, po to właśnie, żeby drażliwy temat wypalił się na arenie do tego przeznaczonej - w dowcipach stand-uperskich, w audycjach publicystycznych albo podczas kampanii wyborczej. Kiedy sprawa zostaje rozładowana, to społeczeństwo się uspokoja, bo jest świadome, że istnieją rzeczywistości, które nigdy się nie dogadają. Trzeba postawić między nimi płot, ale nikt nie ma zamiaru z tego powodu zwalczać innych. Przeciwnika zaprasza się na ring i odbywa się giełda idei. Tam spotykają się wszyscy. Czarni stand-uperzy, którzy jadą na białych, biali, którzy jadą na czarnych. Tam można wykrzyczeć wszystko, a druga strona słucha, i w dodatku czerpie z tego radość.

W Ameryce „WC kwadrans” nie byłby żadnym skandalem. Amerykańska afera rozporkowa była obracana na tysiąc sposobów, natomiast afera w Charkowie i inne pijackie ekscesy Kwaśniewskiego były w Polsce wmiatane pod dywan. Kiedy po pierwszym i jedynym pokazaniu w „Panoramie” materiału z Brześcia przedstawiającego pijanego Kwacha wchodzącego do bagażnika limuzyny rządowej, wspomniałem o tym podczas występu w Gdańsku, to od razu miałem na karku prokuratora. Sprawa w sądzie toczyła się przez trzy lata. W Ameryce można robić sobie dowcipy z prezydenta, nawet niesmaczne, i nikt nikomu nie przyłoży.

Uważam, że w wolnej Polsce, o którą też walczyłem, mam prawo mieć swoje poglądy. I nagle dowiedziałem się, że o pewnych zdarzeniach, faktach, nie wypada mówić albo wręcz nie wolno. A jeśli to zrobisz, to zostaniesz wykluczony. W prasie, radiu i telewizji jestem e/e-

mentem obcym. Wiele osób uważa, że nie ma dla mnie tu miejsca. W naszej branży rozrywkowej panuje dyktat identycznych poglądów. Wszyscy są za aborcją. Wszyscy za Unią Europejską. Nasze gwiazdy i gwiazdeczki są: proekologiczne, prolewicowe, proliberalne... Opowiadają się za miękkimi narkotykami i oczywiście są antykościelne. A WC nie. On jest taki sam, jak tłum przed telewizorem.

Innym problemem jest stosunek do gościa zapraszanego do programu. W Ameryce gość, który bierze pieniądze za występ w TV, staje się wynajętym aktorem, mającym wywołać emocje u widzów. A w Polsce jest on traktowany jak gość u cioci na imieninach - nie obrażamy go, nie zadajemy kłopotliwych pytań, dajemy mu soczek pomarańczowy. Dlatego wiele osób, dla których sama lekcja z bananem była czymś skandalicznym, stanęło jednak w obronie pani nauczycielki. Padły oskarżenia w stylu: „jak można było tak poniżyć starszą kobietę zaproszoną do programu?” W Ameryce wyciśnięcie na antenie kogoś jak cytryny byłoby wielkim sukcesem prowadzącego. Tam „gość” talk-show nie tylko wie, co może go czekać, ale też wie, że będzie musiał się wysilić i umiejętnie bronić. W Polsce funkcjonuje opinia, że dobry dziennikarz to dziennikarz poprawny, przezroczysty i ma nie mieć poglądów politycznych. W Ameryce jest na odwrót: dziennikarz powinien mieć jasno określone poglądy - dopiero wówczas jest wiarygodny. W Ameryce dziennikarz podchodzi do gościa z tezą i atakuje. U nas dziennikarz grzecznie pyta. W Polsce każda stacja TV chce być obiektywna, a w Ameryce Fox News to wiadomości jawnie konserwatywne, a CNN- otwarcie liberalne i kosmopolityczne. Żadna ze stron nie udaje obiektywizmu. Tam dziennikarze mają być uczciwi, a nie obiektywni!

IMPERIUM KONTRATAKUJE

W 1996 roku Wiesława Walendziaka zamienił na fotelu prezesa TVP Ryszard Miazek z PSL. Nowy szef zawiesił „WC kwadrans”, oficjalnie tylko na czas igrzysk olimpijskich w Atlancie. Program miał wówczas trzyipółmilionową widownię. Zaczął się nowy sezon telewizyjny, a tu zamiast programu na antenie - unieważnione



Sesja zdjęciowa do czołówki programu „WC kwadrans” - 1994

przepustki obu panów Cejrowskich. Telewizja publiczna do dziś nie zapłaciła za cztery ostatnie odcinki, które - zgodnie z umową - przyjęła, a dwa z nich nawet wyemitowała.

Prezes Miazek tłumaczył wówczas „Gazecie Wyborczej” swoją decyzję o nieprzedłużeniu umowy:

- Postawa Cejrowskiego, autora programu „WC kwadrans”, nie jest zgodna z zasadami dobrego wychowania, jakim ma hołdować telewizja publiczna.

Już rok wcześniej WC przeczuwał, że program zostanie zdjęty i wraz z ojcem opracował plan awaryjny. Kiedy nastąpiły „przedłużające się igrzyska olimpijskie”, duet Cejrowskich wyruszył w dwuletnią trasę po Polsce. WC występował ze *stand-upami*, które były bardzo amerykańskie, dotyczyły wyłącznie spraw politycznych i obyczajowych.

Czasem, podczas występów, był fizycznie atakowany. Na Politechnice Warszawskiej wszedł na salę w sztormiaku i oznajmił, że jeśli ktoś chce rzucać jajami, niech to zrobi od razu. Został obrzucony, zebrał aplauz, zdjął kostium i jaja się skończyły. Inny pamiętny występ miał miejsce w Poznaniu, w parafii św. Wojciecha. Organizatorzy mieli salę na 600 osób, a na placu stało kilka tysięcy. Ksiądz zarządził przenosiny do kościoła. WC nie występuje w kościołach, bo kościół to nie teatr.

- Skoro musimy się przenieść, to trzeba kościół rozebrać ze wszystkich świętości, żeby ludzie mogli się śmiać, a WC mógł mówić normalnym językiem, a nie świątynnym - zakomunikował księdzu.

Wyniesiono Najświętszy Sakrament i inne rzeczy, i na chwilę kościół przestał być kościołem. W tzw. międzyczasie przyszła jakaś lewacka bojówka, przedstawiła się, obrzuciła WC jajami. Ksiądz chciał opóźnić występ, żeby WC mógł się umyć, ale ten zaprotestował mówiąc, *że tak reaguje przeciwnik i warto to pokazać, prawda nas wyzwoli*. I dał cały dwugodzinny występ z jajami we włosach i na ubraniu. To był jeden z jego lepszych *stand-upów*.

Charakterystycznym elementem „WC kwadransa” był kubek, którym WC walił w stół, kończąc dany temat. Telewizja Polska nawet nie pomyślała, że można na nim zarobić. Panowie Cejrowscy byli innego zdania i w ciągu następnych lat sprzedali kilka tysięcy kubków. Kolejnym komercyjnym posunięciem było wydanie książki.

Jeszcze w okresie istnienia „WC kwadransa” ojciec zasugerował napisanie książki.

- Zaraz nas wywalą, napisz książkę o programie.
- Ale ja nie umiem pisać.
- W takim razie będziesz pisać cotygodniowy felieton do „Gazety Polskiej” i się wprawisz.

Zgodził się. Było mniejsze ryzyko „wtopy”, bo w jednym tygodniu mógł napisać słabszy felieton, a w drugim lepszy. Inaczej niż z książką, która jak jest kiepska, to latami stoi na półce i kompromituje autora.

Ojciec nie zamierzał jednak tak po prostu ustąpić. Miał pomysł na tę pierwszą książkę:

- Podczas występów ludzie zadają ciągle te same pytania Masz na nie przygotowane zgrabne odpowiedzi z anegdotą na końcu. Spi-szę te wszystkie pytania, ty na nie napiszesz odpowiedzi, a potem się to pouklada w logiczny ciąg.

W ten sposób powstała książka „Kołtun się jeży”. WC wydał ją własnym sumptem. Trzy złote w produkcji, dwadzieścia pięć w detalu. Empik tego nie chciał, a i tak sprzedali 60 tysięcy w księgarniach i drugie tyle z bagażnika w czasie występów. W następnych latach ukazały się jeszcze dwie „polityczno--obyczajowe” książki WC: „Młot na lewicę” (1999) i „Sól do oka” (2002), ale nie odniosły już takiego sukcesu jak „Kołtun...”. Ciekawostką jest, że medyczna, łacińska nazwa kołtuna brzmi *plica polonica*, czyli włos polski. Fakt ten był inspiracją dla tytułu debiutanckiej książki WC.

Na tarasie biura WC w Nashville w USA - 1997



KOŁTUN

Kołtun (łac. *Plica polonica* - włos polski, *Plica neuro-pathica*, ang. *Polish plait*), zwany także gwoźdźcem, goźdźcem lub pliką - sklejonny łojem i wydzieliną wysiękową (np. z powodu wszawicy) pęk włosów na głowie. W kołtuny zbijają się włosy brudne i nie czesane. Stare przesady zabraniały obcinania kołtunów - noszenie ich miało chronić przed chorobami i diabłem. Najdłuższy zachowany kołtun znajduje się w Muzeum Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego, pochodzi z XIX w. - po rozwinięciu ma 1,5 m długości. Niekiedy kołtun był zapuszczany celowo poprzez intensywne pocieranie włosów (można go porównać do jamajskich dredów). Takie właśnie celowo hodowane kołtuny noszono na Pińszczyźnie i Mazowszu jeszcze na początku XIX w. W Warszawie w 1862 roku profesor Aleksander Antoni Le Brun nakazał niezwłocznie obcinać kołtuny wszystkim pacjentom trafiającym do kliniki chirurgicznej. Okazało się, że zabieg ten nigdy nie wywarł złego wpływu na ich zdrowie. Skomentował to następująco: *obrońcy kołtuna i na to sobie poradzić potrafili. Mówią, że kołtun, którego obcięcie złych dla chorego nie pociąga skutków, nie jest kołtunem prawdziwym lub też, że i obcięcie prawdziwego kołtuna jest nieszkodliwe, gdy kołtun ten jest dojrzałym i że trzeba właśnie wiedzieć, kiedy go obciąć... Panowie! Wszystko to są brednie!*

Kiedy w mediach nasiliły się ataki na WC, Korneliusz Pacuda zrezygnował z udziału w radiowej Liście Przebojów Country. Jednocześnie zerwał z partnerem współpracę przy organizacji Pikniku Country. W pewnym sensie Pacuda nie miał wyjścia: miał

tylko radiową Trójkę i tylko Piknik Country w Mrągowie, który był jego dzieckiem. Najpierw przygarnął WC i chciał wychować na syna medialnego. A tu się okazało, że facet kopie i jeszcze robi kontrowersyjny „WC kwadrans”.

Latem '96 roku na festiwal przyjechał prezes Miazek. Gdyby Pacuda opowiedział się za Cejrowskim i nadal go zapraszał na scenę, byłaby to demonstracja. Dlatego zrobił inną demonstrację: na jakiś czas przestał poznawać WC i mówić mu „dzień dobry”. Podobnie było z Niną Terentiew, szefową telewizyjnej Dwójki. Kiedy „WC kwadrans” bił rekordy popularności, było „Wojtusi, Wojtusi, ach i och”, dawanie pieśka na kolana i wyjścia całą grupą telewizyjną na koniaczek. Gdy go wyrzucili z TVP, mijając „Wojtusia” na deptaku w Mrągowie też udawała, że go nie zna.

Kiedy ostracyzm wobec WC się pogłębiał, Wojciech na wspomnianym głównym deptaku w Mrągowie wystawił stoisko z gadżetami z „WC kwadransa”. Zbierał się tłum, a artyści nie mogli przepchnąć się do amfiteatru. W pensjonacie „Solar”, który zajmowali wykonawcy amerykańscy i organizatorzy Pikniku, WC zrobił rezerwację pokoju na dziesięć lat do przodu. I kto tylko wchodził do pensjonatu, widział na drzwiach przy recepcji kartkę „BIURO PANA CEJROWSKIEGO”. W ten sposób manifestował swoje istnienie, bo wkurzał go fakt, że jeszcze przez trzy lata sprowadzał amerykańskich artystów na Piknik, ale dla siebie nie mógł się doprosić nawet wejściówki.

Przygoda WC z Piknikiem Country trwa nadal. Cały czas ma tam stoisko, a raz na kilka lat jest zapraszany do prowadzenia pojedynczych koncertów. Zapowiadał na przykład benefis Tomasza Szweda. Kiedyś muzyk ten był do WC dość sceptycznie nastawiony. W „WC kwadransie” doceniał sztukę, ale nie zgadzał się z wymową programu. A potem, obserwując WC w Mrągowie, przełamał się, podszedł i dał mu swoją płytę z dedykacją: „Polakowi - Szwed”, i w ten sposób nastąpiło otwarcie albo nawet sztama. A potem ktoś poprosił, żeby WC poprowadził koncert muzyki country na festiwalu w Ustrzykach. Przygotował się solidnie i zapowiedział występ Tomasza Szweda w taki sposób, że artysta przyszedł do niego po koncercie i stwierdził, że *to było kunsztownie wykonane*. Po sześciu miesiącach Szwed zaproponował:

- *Chciałbym, żebyś na moim benefisie w Mrągowie powiedział jeszcze raz to samo.*

- *Zrobię to z przyjemnością, ale najpierw musisz przekonać organizatorów, żeby mnie wpuścili na scenę - odpowiedział WC. -Ja sam pchać się nie będę. Do tego mają zapłacić za mój pokój w „Solarze” i dać mi uczciwą wejściówkę z napisem ARTYSTA.*

Szwed wszystko załatwił.

CIEMNOGRÓD

Ciemnogród wymyślił tata Stanisław Cejrowski. Warto w tym momencie przypomnieć jego drogę zawodową od momentu wyrugowania go przez młodszych kolegów z Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego w 1980 roku. Pan Stanisław zamknął się wówczas w sobie, obrażony na cały świat. To była podobna sytuacja, jak w przypadku dziadka Franciszka, który - kiedy zrujnowali go komuniści - siedział przez wiele miesięcy na stołeczku w kuchni i dopiero babcia Władysława, głaszcząc męża po policzku, wyprowadziła go z traumy.

Rok później tata Stanisław znów stanął na nogi. Został dyrektorem Stołecznej Estrady, którą kierował do 1985 roku. Ponieważ na okres solidarnościowego zrywu przypadła eksplozja muzyki rockowej, natychmiast powołał do życia agendę Rock Estrada i objął patronatem takie zespoły, jak punkowa Brygada Kryzys i tryskający młodzieńczą energią Oddział Zamknięty. Jednak najbardziej uwierzył w potencjał komercyjny dopiero co założonej grupy Lady Pank. Nie tylko podpisał z nią kontrakt, ale wspomógł zespół niebagatelną sumą miliona złotych. Nie trzeba tłumaczyć, że dość szybko ta suma się zwróciła, i to z nawiązką.

W sierpniu roku 1981, na rozpoczęcie Zjazdu „Solidarności”, Stanisław Cejrowski zorganizował w gdańskiej Hali Oliwii Pierwszy Przegląd Piosenki Prawdziwej, na którym występowali opozycyjni bardowie i śpiewacy z piosenkami bez cenzury.

W 1983 roku kolejnym świetnym posunięciem było zorganizowanie pierwszego, historycznego konkursu Miss Polonia. Niestety, w późniejszym okresie problemy zdrowotne związane z wypad-



Na scenie Złotu „Ciemnogród '96"

kiem samochodowym wyeliminowały pana Stanisława na dłuższy czas ze świata rozrywki.

W końcu syn Wojciech zaproponował ojcu Stanisławowi rodzinny interes. Dla WC było bardzo ważne, żeby ojciec został jego menedżerem. Wiedział, że własny ojciec go nie oszuka. Gdyby tata nawet pomylił się w rachunkach, to i tak syn będzie po nim dziedziczył. Poza tym istniał między nimi naturalny kliniec: Stanisław, jako ojciec, nie bał się syna i mógł mu wszystko nakazać, a WC, jako szef swojego ojca i całej firmy, też mógł mu wszystko kazać, a nawet mógł go wyrzucić z pracy. Wiadomo też było, że jeśli zaistnieje jakikolwiek konflikt między nimi, to najważniejszym elementem rozstrzygającym będzie troska ojca o syna. Stanisław wymuszał czasem coś, czego WC nie zrobiłby dla żadnego innego producenta:

- Synu, zrób, bo ja cię o to proszę i nie umiem tego uzasadnić.

WC wiele razy stawiał się ojcu w sprawach zawodowych. Kiedy spotykały się dwa choleryczne temperamenty, to i kłótnie były częste. Na przykład ojciec wisiał na słuchawce i pytał:

- *Sluchaj, czy w następnny piątek pojedziesz na występ do Katowic? Pociągiem ekspresowym tam i z powrotem?*

A WC zawsze w takich sytuacjach odpowiadał: *Nie wiem, co ojca wkurzało, bo decyzja była potrzebna już, natychmiast. Więc po raz siedemsetny tłumaczył:*

- *Jak nie mam przed oczami kalendarza albo mojego zeszytu w kratkę, to nie pamiętam, czy mam wolny przyszły piątek.*

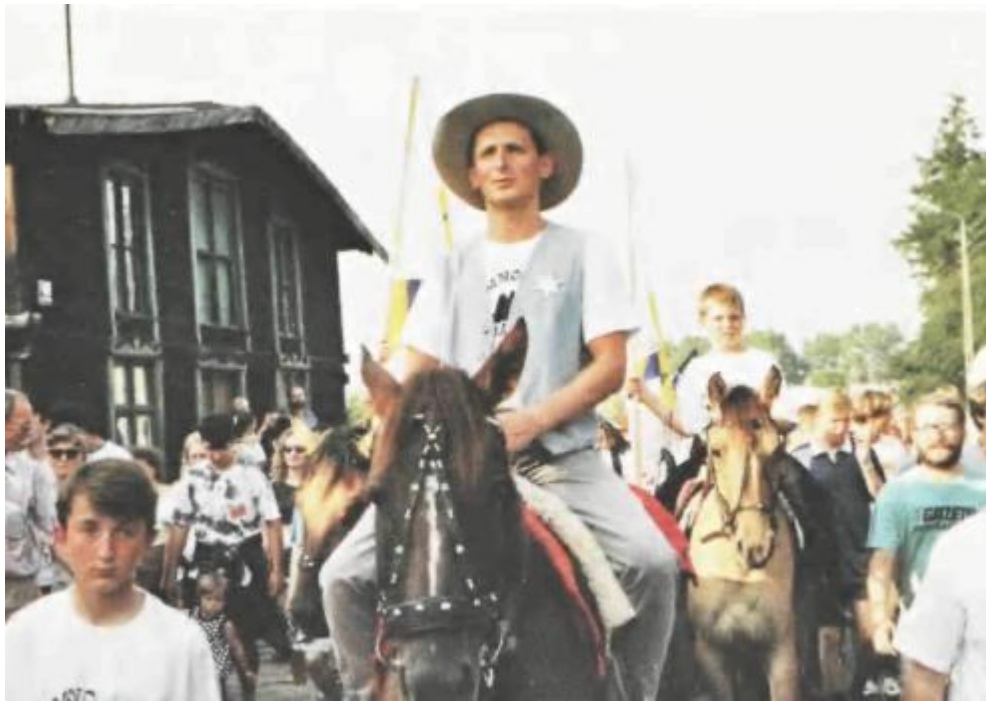
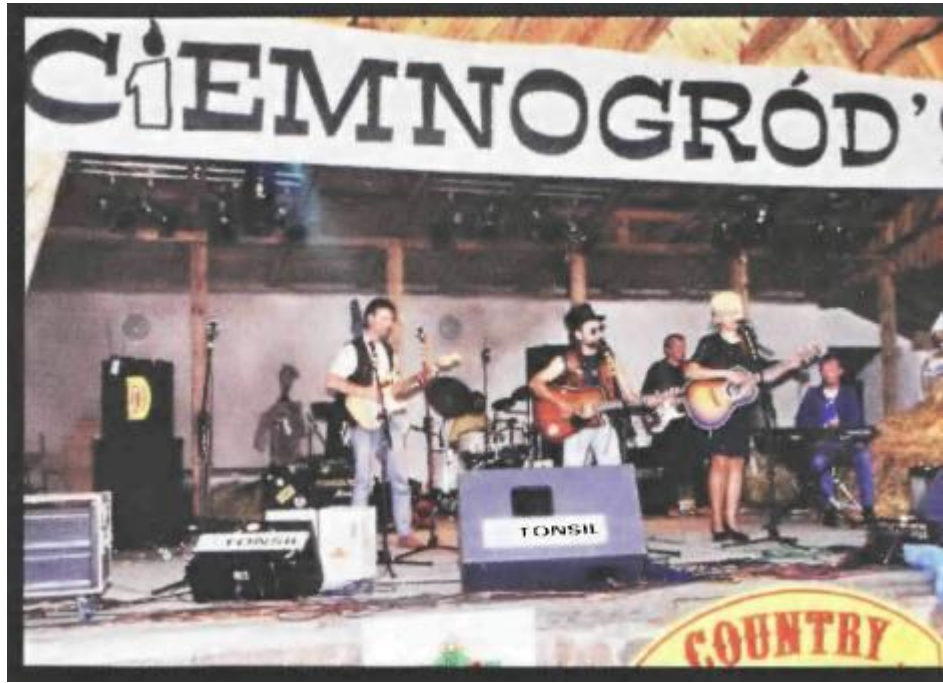
Nigdy się nie zdarzyło, żeby po *sprzeczce* nie rozmawiali ze sobą. Choleryk ma w naturze to, że gniew prędko mu przechodzi. *Jeszcze* w trakcie kłótni się godzi.

A jak Cejrowski z Cejrowskim dzielili się kasą? Dobry amerykański agent bierze dziesięć procent. Od debiutanta piętnaście. I ojciec był na dziesięciu albo na piętnastu, zależnie od biznesu. Obaj byli starymi wygami kapitalizmu i nie było ani sekundy targowania. Za wszystkie funkcje ojciec miał ustalone stawki. Te dziesięć procent było od zysków przez niego wygenerowanych. Bo jeśli WC sam sobie coś załatwił, jakiś występ, wtedy nie było żadnych procentów.

Czy ojciec chwalił syna? U WC w domu siada się przy wielkim stole i wszyscy wszystkich chwala, a do tego jest giełda pomysłów biznesowych. Równie wielkim pomysłem jawi się przy takim stole wózek na słóiczki albo wiązanie choinek, co zrobienie wielkiego festiwalu jazzowego. Po co ojciec miał mówić: *No, Wojtek, to zrobiłeś super* Ludzie sami wiedzą, kiedy zrobili coś fajnie. Nie wiedzą tylko, kiedy zrobili coś niefajnie. I ojciec spełniał tę rolę doskonale. Mówił:

- *Sluchaj, oni się nie poznali i to dobrze dla naszego biznesu, ale tak między nami mówiąc, dziś wieczorem występ był do dupy. Owszem, śmiali się, ale jak pójdą do domu i opowiedzą ten ostatni dowcip, to on będzie bardzo źle brzmiał.*

I to jest podejście biznesowe, bo dzięki takiej krytyce rezygnowali z rzeczy słabych, a nawet z przeciętnych. *Klient musi być zadbany.*





Przemysław Gintrowski



Janusz Korwin-Mikke

Po „WC kwadransie” i dwuletniej trasie ze *stand-upami* po Polsce i zagranicą panowie Cejrowscy zrobili cztery imprezy o nazwie „Złot Ciemnogród”. Odbły się w szczerym polu, w ich rodzinnym Osieku, w latach 1996-99. Przyciągnęły odpowiednio 15, 10, 7 i 5 tysięcy osób. Przed pierwszym Złotem WC kilka razy wszedł na ambonę po mszy i ogłosił, że za kilka tygodni przyjedzie do Osieka kilka tysięcy ludzi i wieś powinna się do tego wydarzenia porządnie przygotować.

- Niech każdy wyciągnie z komory zapasy - przekonywał w kościele WC - a kto umie robić ruchanki (racuchy z ciasta chlebowego), to niech narobi, ile może, bo ludzie będą głodni, więc co sprzedacie, to wasze.

Chłopi nie wierzyli, aż do ostatniej chwili.

W końcu pojawiły się pierwsze osoby i pytały, czy to tutaj ma się odbyć festiwal „Ciemnogród”. Pytali, bo w Polsce jest 28 Osie-ków, a w tym na Kociewiu mieszkało zaledwie 218 dusz. I dopiero wtedy poszedł szum po wsi. Dopiero wtedy zaczęło się obieranie ziemniaków, kupowanie worków mąki i ogólny harmider. Chłopi sprzedali wtedy wszystko, co tylko mieli w domach - ogórki kiszane, grzybki marynowane, dzemy, całą żywność. Nawet świniaka kilku ubiło. WC żałował, że nie udało mu się zrobić oficjalnego świniobicia jako atrakcji dla mężczyzn. Po imprezie wszyscy długo wspominali, że nigdy w życiu w trzy dni nie zarobili tyle pieniędzy. Dzięki temu niespodziewanemu zarobkowi wszyscy we wsi powymieniali stare, nieszczelne okna na nowoczesne.

Na drugi Ciemnogród chłopi byli już przygotowani, ale przez to nie pomagali Cejrowskim przy samej imprezie. Nie mieli czasu, bo zajmowali się robieniem racuchów i przygotowywaniem pól namiotowych. To było nielojalne, więc panowie Cejrowscy wypomnieli chłopom z ambony, że tak się kumplom nie robi. Za drugim razem przyjechało mniej ludzi, bo „WC kwadrans” już zniknął z telewizji. Trzeciej imprezy WC nie chciał robić, ale ojciec się uparł. Potem ojciec dogadał się z proboszczem, że w następnych latach w tym samym czasie będzie się odbywał festiwal muzyki gospel. I tak jest do dziś.

Podczas pierwszego Ciemnogrodu występowały zespoły country i meksykańska grupa „Mariachi Los Amigos” złożona z trzech meksykańskich studentów uczących się w Polsce. To był ich pierwszy duży koncert, bo wcześniej grywali jedynie w warszawskiej knajpie El Popo. Jak zobaczyli piętnaście tysięcy ludzi, to bali się wyjść na scenę i chcieli uciekać. Wtedy pan Stanisław postraszył ich:

- Mogę wam kupić pampersy, jeśli chcecie, a koncert i tak się odbędzie.

Młodzi Meksykanie znali tylko kilkanaście piosenek, więc grali je pięć albo sześć razy w kółko. Ludzie nie dali im zejść ze sceny, bo nigdy wcześniej takich trzech cudaków w wielkich kapeluszach tutaj nie trafiło. Pomiędzy występami WC miał swoje *stand-upy*. A wieczorem, w remizie, obowiązkowo odbywała się zabawa ludowa. Z sali usunięto stoły weselne, posypano podłogę mokrymi trocinami i do białego rana ludzkość tańcowała. Przy najgorszym knajpianym zespole country, jaki udało się znaleźć. To takie właśnie miało być - przerysowane. Ludzie bawili się doskonale. To było jak całonocny pobyt na Dzikim Zachodzie.

W 1996 roku ministrem edukacji był Jerzy J. Wiatr, ten sam po-litruk, który wykładał na socjologii, kiedy WC studiował na Uniwersytecie Warszawskim. To on wydał rozporządzenie, że wszystkie biblioteki uniwersyteckie mają przejrzeć swoje zbiory i przygotować listę nieaktualnych podręczników na przemiał. Wiatr zatwierdził długą listę pozycji, wśród których znalazł się też prawie cały jego dorobek naukowy - socjalistyczne podręczniki do socjologii. WC natychmiast zamówił ciężarówkę i zdążył przejść z Biblioteki UW dzieła Wiatra przeznaczone na przemiał. Zawiózł je do fabryki w Kwidzynie i kazał zrobić z nich papier toaletowy. Było tego 10 tysięcy rolek, bo domieszano też inny surowiec (ze szmat), żeby dało się zrobić więcej sztuk. Rolki miały śliczną banderolę z logo „WC kwadransa” i napisem „wyprodukowano z dzieł ministra edukacji narodowej prof. J. J. Wiatra zgodnie z jego zarządzeniem”. Pamiątkowe rolki szły jak woda po pięć złotych. Oprócz tego, podczas imprezy można było kupić koszulki z nadrukami:



„Ciemnogród '97" - wywiad dla radia

„Jestem z Ciemnogrodu" czy „WC kwadrans wróc" oraz słynne już kubki. Tych ostatnich sprzedano siedem tysięcy.

Koszty imprezy były potężne - przywiezienie sceny i postawienie jej w szczyrim polu, pociągnięcie dwóch kilometrów kabla elektrycznego, honoraria dla wszystkich (oprócz WC i ojca), ochrona czy działalność pirackiego radia. Przez 24 godziny, przez wypożyczony nadajnik wojskowy, szedł program radiowy. Rano od 6.00 do 10.00 WC miał audycję na żywo, a potem szły programy archiwalne i serwisy informacyjne. Była też gazeta codzienna, którą drukowano w Pelplinie. WC kilka materiałów napisał wcześniej, ale też wynajął ludzi, żeby pisali na bieżąco. Harcerze Rzeczypospolitej (ZHR) zajmowali się dystrybucją gazet i ochroną imprezy.

„WC kwadrans na żywo” - dużo polityki na żywo, dużo muzyki bluesowej, country, folku, a nawet poezji śpiewanej; mnóstwo ludzi z całej Polski - napisali państwo Agnieszka i Waldemar Brzyscy, którzy stworzyli stronę internetową poświęconą Złotom Ciemnogrodu. - Impreza typowo rodzinna! Można było usłyszeć na żywo Sojkę, Nalepę, Gintrowskiego, Jan Manson Band, Bączkowskiego, Magdę Anioł i wielu, wielu innych wykonawców z całego świata! Wśród polityków byli m.in. Janusz Korwin-Mikke, Stanisław Michalkiewicz, Rafał Ziemkiewicz, przedstawiciele Ligi Republikańskiej... Zabawa przednia, liczne konkursy sprawnościowe w terenie, jarmark czynny na okrągło, zabawa country w remizie do rana, a wszystko to nad jeziorem Kałębie. To były czasy. Szkoda, że kolejne edycje zlotów się już nie odbyły, bo chętnych, myślę, byłoby sporo.

AMERYKAŃSKI KUZYN

Po sukcesie Złotów Ciemnogrodu WC wyruszył w trasę z występami dla Polonii. Był w USA, Kanadzie, Australii, Francji i Szwajcarii. W Stanach Zjednoczonych grał trzykrotnie, przy czym za trzecim razem tournée obejmowało prawie 50 występów. Początkowo mało kto wiedział, kim jest pan Cejrowski, jednak po pierwszych piętnastu minutach dezorientacji następowała całkowita akceptacja WC. Polonusi po prostu odkrywali, że wreszcie przyjechał rodak oswojony z ich ukochanym *stand-upem*, i to „robionym” po polsku. Tematów też jakoś szczególnie nie trzeba było dobierać. Na początku WC „sprzedawał” kilka dowcipów o Polonii, a potem mógł już „jechać” po polskich politykach i naszej obyczajowości. Polonia jest bardziej konserwatywna niż krajowa publiczność, bardziej uporządkowana. Dla nich Polska jest wartością, oni wywieszają flagę z przekonania. Oni cierpią, kiedy cierpi ojczyzna. Frekwencja wyborcza jest u nich zawsze większa niż u nas. Nawet, jeśli do lokalu wyborczego trzeba jechać 100 kilometrów.

W 1996 roku, w trakcie pierwszej amerykańskiej trasy, WC wraz z ojcem został zaproszony na kolację do restauracji Margari-

taville na Florydzie. Jej właścicielem jest Amerykanin Jimmy Buffet. W trakcie długiej pogawędki gospodarz rzekł:

- Staszek, niedawno napisałem piosenkę „School Boy Heart”, której bohater uosabia nas obu. Ty, tak jak ja, jesteś kolorową owcą w rodzinie. Ja chodzę w krótkich spodenkach i klapkach, prowadzę knajpę, wydaję płyty. Ty, Staszek, zajmujesz się jazzem, wydajesz płyty, chodzisz w kolorowych koszulkach i masz długie włosy. To, co robimy, jest tak mało konkretne, bo jesteśmy facetami o chłopięcych sercach. Patrząc na nas, mało kto chyba by uwierzył, że nasi rodzeni bracia są dobrze prosperującymi prawnikami.

Następnie Jimmy wyciągnął gitarę i zaśpiewał „School Boy Heart” którą to piosenkę wydał w albumie „Banana Wind”.

Tata Stanisław poznał Jimmy'ego Buffetta pod koniec lat 70., kiedy wraz z zespołem jazzowym Extra Bali przemierzał Stany Zjednoczone i Kanadę. W tym drugim kraju zadomowili się potomkowie braci dziadka Antoniego. Pierwszy za ocean wyruszył najstarszy, o imieniu dziś trudnym do ustalenia, a przypomnijmy, że było ich w sumie jedenastu. Po nim do Kanady przenieśli się jeszcze dwaj. I właśnie potomkiem któregoś, najprawdopodobniej najstarszego, z braci Cejrowskich jest Jimmy Buffett. Tata Stanisław o jego istnieniu dowiedział się podczas wspomnianego spotkania z kanadyjską rodziną. Jedna z ciotek powiedziała mu:

- Ty, Stasiu, zajmujesz się muzyką, a nasz krewny, Amerykanin, jest gwiazdą muzyki, więc powinieneś się z nim skontaktować.

W 1977 roku Buffett podbił Amerykę Północną przebojem „Margaritaville”. Panu Stanisławowi nie trzeba było tego powtarzać, bo pracując w Polskim Stowarzyszeniu Jazzowym wiedział, że wszelkie muzyczne kontakty w Stanach Zjednoczonych były na wagę złota. Kiedy doszło do spotkania, kuzyni natychmiast przypadli sobie do gustu. Nie tylko obaj dzielili muzyczne zainteresowania, ale traktowali życie jako niekończącą się przygodę i zabawę.

BUFFETT

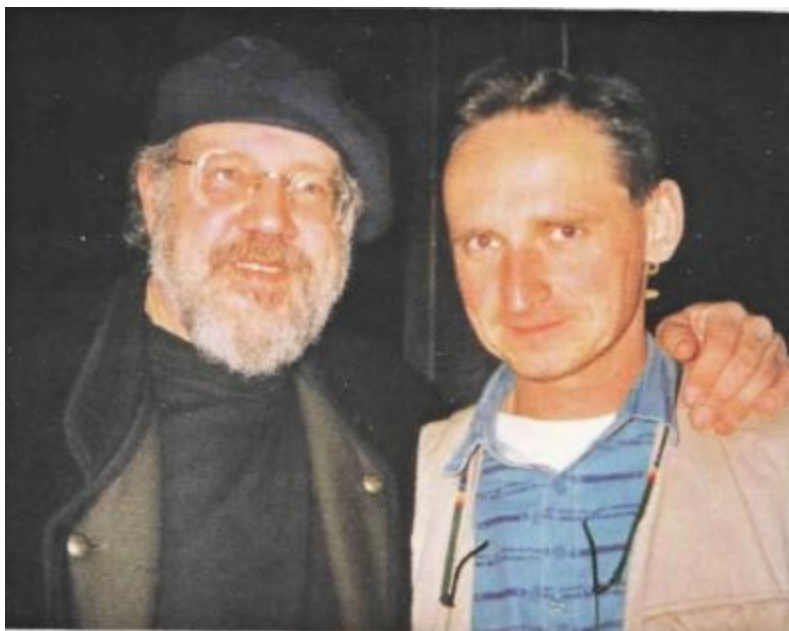
James William „Jimmy” Buffett (25.12.1946) muzyk, pisarz, biznesmen i producent filmowy. Jako muzyk wystawia „wyspiarski eskapizm” mieszkańców archipelagu Florida Keys. Jest autorem światowego przeboju „Margaritaville”, który zajął 234 miejsce w plebiscycie RIAA (Zrzeszenie Amerykańskich Wydawców Muzyki) na „najważniejszą amerykańską piosenkę XX wieku”. Buffett zaczynał jako wykonawca muzyki country, a od 30 lat jego styl muzyczny określa się mianem *gulf & western*. Pierwszy album wydał w 1970 roku. Do końca 2009 roku podpisał 39 dużych płyt. Osiem z nich otrzymało miano złotej płyty (sprzedaż powyżej 500 tys. sztuk), a dziewięć - platynowej (sprzedaż powyżej 1 mln). W czerwcu 2004 jego album „License to Chill” dotarł na szczyt amerykańskiej listy. Dwa lata później jego trasa koncertowa po Stanach Zjednoczonych przyniosła 41 mln dolarów dochodu. Dodatkowo Buffett jest autorem trzech bestsellerowych książek (jest jednym z siedmiu amerykańskich pisarzy, którzy na liście „New York Times” mieli nr 1 w kategorii zarówno literatury faktu, jak i fikcji). Buffet jest właścicielem dwóch sieci restauracyjnych („Cheeseburger in Paradise”, „Margaritaville Cafe”), wytwórni płytowej, stacji radiowej i turystycznej linii lotniczej, oraz współwłaścicielem dwóch klubów baseballowych, hotelu i kasyna. Posiada własną markę piwa (Land Shark Lager), a pod nazwą „Margaritaville” sprzedaje alkohole, żywność i obuwie. Jego roczne dochody ocenia się na 100 mln dolarów. Jest licencjonowanym pilotem.

WC od razu polubił amerykańskiego krewnego. Kiedy ponad dziesięć lat później dowiedział się, że jego siostra Lusia dostała pracę na wyspie Key West, natychmiast chwycił za telefon i zadzwonił do Jimmy'ego.

- To ona już półtora roku włóczy się po Florydzie i jeszcze nie odwiedziła swojego kuzyna? Nieladnie. Natychmiast przysyłaj ją do mnie - skwitował rozmowę Buffett.

Życiową pasją Łucji, której imię nadano na cześć babci, żony dziadka Antoniego, a którą wszyscy w rodzinie zwą Lusią, jest nurkowanie. Po tym, jak już dokładnie spenetrowała krajowe akweny, w tym jezioro Czarna Hańcza, zapragnęła zagłębić się w morza i oceany bardziej przejrzyste niż Bałtyk. Kilkakrotnie upraszała WC, by ten zabrał ją na wyprawę do Ameryki. Starszy brat konsekwentnie odmawiał, argumentując:

Z Bobem Saporiti, szefem kompanii płytowej Warner Bros i kompanem biznesowym WC w Nashville - 1998



- Na pierwszą wyprawę musisz się zabrać sama. Tak jest przyjęte w naszej rodzinie. Mogę ci pożyczyć pieniądze, które mi potem oddasz. Ale jedziesz sama. Jeśli JA zabiorę cię na pierwszą wyprawę, to JA będę winny, jak ci się, nie daj Boże, coś stanie. Do mnie też wszyscy będą zgłaszać pretensje, jak ci się za granicą spodoba i nie wrócisz do Polski. Wówczas będę musiał rodzinę przeproszać za ciebie, a tego nie chciałbym z pewnością. Natomiast na drugą twoją wyprawę wezmę cię bez namysłu.

Lusia pojechała zatem na swoje pierwsze zagraniczne nurkowanie do Egiptu. W Morzu Czerwonym zwiedziła rafę koralową i zdała egzamin uprawniający do nurkowania w oceanie. Niedługo potem, dzięki programowi „Aid America”, umożliwiającemu zagranicznym studentom pracę sezonową w Stanach Zjednoczonych, trafiła do stacji nurkowej położonej nad Wielkimi Jeziorami. Okolice Chicago niezbyt przypadły jej do gustu, więc na następny sezon pojechała na Florydę. Dostała pracę jako ratownik na basenie, a przy okazji zdobyła amerykańskie papiery nurkowe. W końcu swoją przystań znalazła na Key West, ostatniej z wysp z archipelagu Florida Keys, gdzie mieszka Jimmy Buffett.

Dzięki pomocy amerykańskiego kuzyna Łucja dostała się na studia w Ameryce i zapewne już obroniła dyplom na kierunku Ochrona Rafy Koralowej na Wydziale Hydrologii Mórz Tropikalnych. Na Gwiazdkę 2009 roku WC wraz z Jimmym sprezentowali jej drewniany domek na plaży. Jest on jej pierwszą, własną stacją nurkową. To pierwszy damski biznes w rodzinie.

ROZPRAWA

W kwietniu 1996 roku WC, oglądając telewizyjną „Panoramę”, zobaczył relację z wizyty Aleksandra Kwaśniewskiego w Brześciu na Białorusi. Kompletnie pijany polski prezydent pakował się do bagażnika limuzyny rządowej. Pokazano ten materiał raz, potem taśma tajemniczo zniknęła. Po kilku miesiącach, a dokładnie 5 listopada, WC występował na Politechnice Gdańskiej. Pięćset osób na sali. Padło pytanie o Kwaśniewskiego. WC spytał, czy ktoś widział

materiał z Brześcia. Tylko parę osób potwierdziło, więc opowiedział, *co zobaczył* w „Panoramie”. Potem, wzburzony, skomentował, że: *Kwaśniewski swoim tłustym dupskiem bezczęści urząd prezydenta*. Padły też określenia: *Ten pulpeciarz, nie zawsze stojący równo na nogach*, a także *luj i ochlapus* oraz *czerwony ryj towarzysza Kwaśniewskiego*.

Następnego dnia jeden z mieszkańców Gdańska złożył doniesienie do prokuratury. Zarzut lżenia prezydenta został postawiony Cejrowskiemu w połowie maja 1997 roku. WC pojechał na przesłuchanie w Gdańsku. Oświadczył, iż nie lżył urzędu prezydenta, lecz Aleksandra Kwaśniewskiego, który ten urząd sprawuje niegodnie. Potem wyjechał za granicę.

Początkowo prokuratura zakwalifikowała słowa satyryka, jako „znieważenie organu państwowego”, za co grozi do dwóch lat więzienia lub kara grzywny. Później jednak prowadzący śledztwo doszli do wniosku, że mają do czynienia z „publicznym lżeniem, wyszydzaniem i poniżaniem naczelných organów władzy”. Winny tego przestępstwa mógł wówczas trafić do więzienia na okres od 6 miesięcy do 8 lat! Sąd wysłał do WC wezwanie na rozprawę, potem drugie, ale WC wrócił do Polski dopiero przed Gwiazdką 1998 roku.

Kiedy miał jechać na audycję do Radia Wa-wa, usłyszał walenie do drzwi. To była policja. Powiedział, że bez nakazu prokuratora nie otworzy, a panowie mundurowi na to, że mają list gończy i mogą *wyważyć* drzwi. Sprawa bez precedensu, jeśli wziąć pod uwagę oskarżenie. Naczelný Kowboj RP zadzwonił natychmiast do Marcina Pawłowskiego z TVN, którego znał jeszcze z Radia Kolor, i powiedział, żeby przyjeżdżał z ekipą, bo szykuje się niezły materiał. A mówił wszystko głośno, żeby tamci za drzwiami słyszeli. I wtedy poszli sobie. Kilka godzin później, podczas audycji radiowej WC uprzedził słuchaczy, że być może w trakcie programu zostanie wyprowadzony przez policję. Jednocześnie oświadczył, że jest już kowbojem pełną gębą, gdyż posiada rancho w Arizonie, ma broń - co prawda nie przy sobie, ale za granicą - ma konia, a teraz jeszcze jest za nim rozesłany list gończy.

Z reguły, kiedy oskarżony nie stawia się na kilku kolejnych rozprawach, sądy wydają postanowienie o aresztowaniu, co wystarcza do wszczęcia policyjnych poszukiwań, ale dzieje się tak dopiero po trzecim wezwaniu, a do WC wysłano dwa. List gończy to krok



W sądzie w Gdańsku - po oddaniu konia, a przed rozprawą - 1999, fot. Piotr Mazur/Agencja Gazeta

ostateczny, a takowy wydał 15 grudnia 1998 roku Sąd Rejonowy w Gdańsku. Dodatkowo WC otrzymał zakaz opuszczania kraju i zatrzymano mu paszport.

WC dojechał na kolejną rozprawę i, jak twierdzi, *nie było przyjemnie*. Sąd utajnił przesłuchanie, argumentując, że mogą być szkalowane najwyższe organy państwowe. Oskarżony próbował wynegocjować wypuszczenie dziennikarzy i *co* najwyżej przykazanie im, żeby pewnych cytatów nie zamieszczali, ale sąd nie zamierzał się tłumaczyć i powiedział, że oskarżony może składać zażalenie do naczelnika. Widząc, co jest grane, WC na następną rozprawę zaplanował prawdziwy show. Pomyślał, że jak ma polec, to z ułańską fantazją. Wcześniej do Aleksandra Kwaśniewskiego napisał Jimmy Carter, były prezydent USA, który dozoruje procesy wyborcze na całym świecie. W długim liście na temat przestrzegania demokracji w Polsce zadał Kwaśniewskiemu pytanie dotyczące procesu WC, stwierdzając, że ta sprawa wykracza poza standardy demokratycznego państwa. Dowiedziawszy się o tym, WC uznał, że skoro stoi za nim Jimmy Carter, to on już nie ma nic do stracenia. Nawiasem mówiąc,

WC uważa Cartera za najgorszego prezydenta USA (niesłusznie) i polityka absolutnie mu obcego ideologicznie (słusznie).

Na kolejną rozprawę WC zaprosił dziennikarzy, w tym amerykańskie stacje telewizyjne CBS i NBC. Przed sąd zjechał w kawalkadzie trzech koni. Jeźdźcy byli w kapeluszach kowbojskich, w dłoniach mieli długie, australijskie bity. WC wprowadził konia po marmurowych schodach do sądu i powiedział do szatniarza:

- Chciałem zostawić konia.

Zrobiła się afera. Ochroniarze wyprowadzili konia, ale kamery wszystko nakręciły. Na zewnątrz była już policja. Dowódca patrolu oznajmił, że nie wolno jeździć konno po Gdańsku bez zezwolenia. Na to WC:

- Mam rozprawę, napiszecie mi usprawiedliwienie, że nie stawilem się, bo mnie wyrzuciliście z miasta?

Stało na tym, że policjanci pilnowali mu konia, a po rozprawie obiecali odeskortować za rogatki miasta.

WC poszedł na rozprawę z siodłem na plecach, z batem i w kapeluszu. Cały czas strzelały flesze. Na sali rozpraw złożył następujące wnioski:

W związku z powtórnią nieobecnością moich obrońców wnoszę, aby Wysoki Sąd przywołał obrońców do porządku

oraz:

Ponieważ jest to sprawa karna, przy której musi być obrońca, to w związku z brakiem obrońców wnoszę o odroczenie rozprawy do czasu pojawienia się obrońców, których gwarantuje mi kodeks karny i prawo międzynarodowe.

Wysoki Sąd jednak złamał prawo i zarządził kontynuowanie rozprawy, pozbawiając WC prawa do obrony. Na sali byli: ławnik, sekretarz, sędzia i WC.

- *Czy to jest sąd kapturowy z lat 50. ? Proszę to zaprotokolować.*
- *Obrażanie Wysokiego Sądu nie będzie protokołowane.*
- *To jest rozprawa karna, mam prawo do obrońcy, a poza tym każda moja wypowiedź ma być protokołowana. Do tego też mam prawo.*
- *To Wysoki Sąd dyktuje do protokołu, co ma być protokołowane.*
- *No to ja się nie będę odzywał, bo co jeszcze mogę zrobić?*
- *Może pan zaprosić z korytarza cztery osoby jako świadków, żeby nie było, że kapturowy.*

Wiadomo było, że jak na utajnioną rozprawę zapraszają świadków, to zobowiążą ich do tajemnicy. WC wyszedł do dziennikarzy i zaprosił przedstawicieli „Trybuny”, „Gazety Wyborczej”, „Polityki” i „Wprost”, czyli samych wrogów. Ucieszyli się, a tu sąd zakazał im publikacji tego, co usłyszą. WC kilka razy powiedział: *Wysoki Sądzie, wnoszę o przerwanie rozprawy z powodu nieobecności obrońców*, poprosił o zaprotokolowanie, sąd odmówił, trwała przepychanka, wreszcie wniósł o przedstawienie dowodu rzeczowego w sprawie.

- Jakiego dowodu?*
- *Czy sekretarz mógłby przypomnieć z aktu oskarżenia, za jakie słowa jestem sądzony?*

Sekretarz cytuje: *Aleksander Kwaśniewski swoim tłustym dupskiem...*

- *O właśnie, proszę o przedstawienie dowodu rzeczowego, czyli -przepraszam Wysoki Sąd za to słowo - dupska, bo jeśli okaże się, że jest ono tłuste, to znaczy, że powiedziałem prawdę.*

Oczywiście, żadnych taśm, żadnych dowodów rzeczowych nie było. WC próbował jeszcze walczyć argumentując:

- *Czy jakby Wysoki Sąd się teraz upił i bełkotał, to czy w obronie majestatu mógłbym wziąć Wysoki Sąd za kołnierz i wyprowadzić,*

żeby nie robić skandalu? Czy też wyprowadzenie pijanego sędziego byłoby już naruszeniem jego nietykalności?

Wyrok sądu zapadł 4 lutego 1999. Wojciech Cejrowski został uznany za winnego obrazy prezydenta i skazany na grzywnę w wysokości trzech tysięcy złotych oraz obciążony kosztami procesowymi. W uzasadnieniu wyroku czytamy:

Wojciech Cejrowski łzył nie tylko osobę sprawującą urząd prezydenta RP, ale i sam urząd. We wszelkich formach i przejawach życia społecznego i politycznego wygłaszane opinie, zdania czy oceny dotyczące osoby Aleksandra Kwaśniewskiego dotyczą go jako prezydenta RP. Sąd świadom jest, że prawdopodobnie nie zyska aprobaty tych, którzy politykę i satyrę uprawiają za pomocą jajek i inwektyw, oraz tych, którzy wyczuleni są w sposób szczególny na pojęcie wolności słowa. Jednakże wszelka wolność, w tym wolność słowa niczym nie ograniczona, przeradza się w samowolę.

Wyrok sądu, a zwłaszcza uzasadnienie, był wielokrotnie krytykowany w prasie. Nawet Piotr Stasiński z „Gazety Wyborczej” napisał:

Zdrowa demokracja nie stosuje jednak knebla, nie karze z urzędu za słowa, choćby wstrętne, pod adresem osób pełniących wysokie funkcje publiczne. Politycy - taki jest standard w rozwiniętych demokracjach - biorą na siebie ryzyko, że w publicznej debacie może ich spotkać również obelga. I trudno. Jeśli natomiast organa państwa ścigają obywatela za słowa, zawsze pojawia się groźba, że tych uprawnień nadużyją - i że uczynią to w interesie niektórych polityków. To zaś łamie zasady demokracji. A zatem: tak, jesteśmy wyczuleni na wolność słowa. Prawo karne nie powinno służyć do szczególnej ochrony urzędujących polityków przed krytyką, nawet niesprawiedliwą.

Wprawdzie skończyło się tylko na grzywnie, ale WC ma wyrok i zgodnie z prawem nie może już kandydować do Sejmu i Senatu RP. Został skazany za krytykę pijackich ekscesów Aleksandra Kwaśniewskiego, do których były prezydent ostatecznie się przy-

znał i po latach przeproszał. Jednak wyroku wobec WC nie skasowano. W sumie uważa on, że jest do przodu, bo załapał się na zapis nazwiska, na zatrzymanie paszportu, na list gończy - wszystko to, co było dane wielkim przed 1989 rokiem. Całą sprawę WC spieniżył później wielokrotnie. Na *stand-upach* miał 45-minutowy program na temat przebiegu rozprawy.

Siedem miesięcy po ogłoszeniu wyroku prezydent Aleksander Kwaśniewski zrobił z siebie pośmiewisko podczas uroczystości w podcharkowskich Piaticatkach, gdzie leżą zamordowani przez NKWD polscy oficerowie z tzw. listy katyńskiej. Tym razem stan prezydenta nie był efektem wschodniej gościnności. Pito na pokładzie samolotu pomiędzy Katyniem a Charkowem, a nalewał, jak teraz wiadomo, ówczesny biskup połowy Leszek Sławoj Głódź. Tyle tylko, że ten ostatni na charkowskich grobach wygłosił wzruszające przemówienie, podczas gdy prezydent RP nie był w stanie wydusić z siebie jednego sensownego słowa.

DOBIJANIE

W tym samym czasie, kiedy WC został przez sąd w Gdańsku uznany winnym znieważenia prezydenta RP, w Warszawie sąd drugiej instancji uznał, że Piotr Łazarkiewicz miał prawo użyć określenia „faszystowski” wobec programu „WC kwadrans”. Jako uzasadnienie wyroku sąd powołał się na ekspertyzę prof. Jerzego Borejszy, który napisał:

Cejrowski operuje pojęciami i skrótami, które można odnaleźć u faszystów. Jego program budził u mnie uczucie zażenowania. Apelowal do ludzi z niewielkim wykształceniem, niezadowolonych i poszkodowanych w wyniku przemian w Polsce.

Dwa lata wcześniej sąd wojewódzki orzekł, że Łazarkiewicz działał bezprawnie, i skazał go na karę grzywny i obowiązek przeproszenia WC.

Jak wcześniej wspominaliśmy, od kwietnia 1995 roku toczyły się równoległe dwa procesy wytoczone przez WC. Podczas rozprawy

przeciwko Annie Bikont, autorce tekstu „Brunatny kowboj RP”, Cejrowski najpierw poprosił o udowodnienie, że jest faszystą, a następnie sam udowodnił, że w jego programie nie było rzeczy, na które „GW” się powoływała. Wykazał również, że nie nabijał się z Żydów. Natomiast wyjaśnił, że w jednym z programów pokazał, jak słowo „Żyd” wygląda w języku migowym. Chodziło o to, że Unia Europejska nakazała zmianę tego słowa, uznając je za obraźliwe. A WC stwierdził, że

to, co pokazał nie może być obraźliwe, tylko obrazowe, bo głuchoniemi posługują się takimi gestami w swoim języku od 127 lat, czyli od początku jego istnienia.

A następnie dodał:

Anna Bikont przyznała się podczas dyskusji telewizyjnej w programie „Tylko w Jedyńce”, że nie obejrzała wielu odcinków programu „WC kwadrans”, tylko znajomi jej o nich opowiedzieli.

W wyroku odrzucającym pozew WC sąd stwierdził, że jeśli ktoś powiedział dziennikarzowi, że uważa pana Cejrowskiego za faszystę, to ten ktoś ma prawo do takiej opinii - ona może być błędna i sąd tego nie analizuje.

- Każdy obywatel ma prawo do opinii, nawet do błędnej opinii na czyjs temat i w ramach wolności słowa może tę opinię upublicznić - argumentował sąd.

Tyle że w momencie, kiedy WC *założył* proces przeciwko Bikont, Agora *założyła* kontrproces: o to, że pan Cejrowski ich obraził i podważył dobre imię „Gazety Wyborczej”. O co chodziło? W Szczecinie, podczas spotkania ze studentami padło między innymi pytanie o „Gazetę Wyborczą”. WC stwierdził, że pismo traktuje czytelników jak idiotów, gdyż w artykułach publikowanych na jej łamach pojawiają się manipulacje i oszustwa. Jeden ze studentów napisał krótką notkę ze spotkania, którą zamieścił szczeciński dodatek „GW”. Agora zaniósła ten tekst do sądu jako dowód, stwierdzając, że WC upubliczniając takie opinie podważył wiarygodność „Gazety

Wyborczej" wobec czytelników. Zażądali przeprosin i odszkodowania. I sąd, który wcześniej, w sprawie pani Bikont, przyznał obywatelom w wolnym kraju prawo do wygłaszania opinii, nawet błędnych, wydał tym razem wyrok, że pan Cejrowski ma przeprosić „GW” za nieprawdziwe stwierdzenia i zapłacić odszkodowanie.

Kiedy WC przegrał wszystkie procesy, jakie sam wytoczył i jakie przeciwko niemu wytoczono, „Gazeta Wyborcza” w sobotnim numerze z 6 lutego 1999 roku poświęciła Naczelnemu Kowbojowi RP wielki, dwustronicowy artykuł. Magdalena Grochowska opisała historię wzlotu i upadku WC. Tym razem, bez ogródek powołując się na profesorskie autorytety (Jerzego Borejszy, Marii Zie-mierczak, Michała Głowińskiego, Hanny Swidy-Ziemby, Jerzego Szackiego), autorka wykazała, że *to, co* robi Cejrowski, ma znamiona faszyzmu. W kontekście jego działalności przytoczone zostały postaci komunistycznych szuj - Bolesława Piaseckiego i Mieczysława Moczara, a z drugiej strony, młodzieżowej organizacji Narodowe Odrodzenie Polski oraz narodowosocjalistycznych kabaretów z Berlina i Monachium lat 30. ubiegłego wieku.

- Podstawą myślenia Cejrowskiego jest wróg, sprawą najważniejszą - zdemaskowanie go - mówi profesor Głowiński. - Cejrowski stanowi potwierdzenie słuszności francuskiego przysłowia: „krańce się stykają”. Radykalni pravicowcy i radykalni komuniści są podobni mentalnie.

Już sam tytuł artykułu „Przeleciało, pohuczało” miał dać do zrozumienia, że czas WC na zawsze minął. Ku przestrodze jego ewentualnych następców, pod koniec artykułu przytoczono wypowiedź mecenasa Piotra Świętanowskiego:

- Sądzę, że wyrok będzie miał szersze skutki. Autorzy progra mów powinni się zastanowić, czy pewne poglądy, prezentowane w programach „WC kwadrans”, będą mogły być propagowane w te lewizji publicznej i prywatnej.

WC długo, mimo prawomocnych wyroków, nie chciał się pogodzić z decyzjami sądów w sprawach z Agorą S.A. Dopiero w lu-

tym 2004 roku doszło do ugody prawnej między stronami. WC zapłacił osiem tysięcy sto sześć złotych tytułem łącznych kosztów dwóch procesów oraz trzy tysiące złotych, po rabacie, za ogłoszenie umieszczone na drugiej stronie ogólnopolskiego wydania „Gazety Wyborczej”, o następującej treści:

OŚWIADCZENIE

Przepraszam Agorę S.A. z siedzibą w Warszawie, będącą wydawcą dziennika „Gazeta Wyborcza”, oraz wszystkich czytelników „Gazety Wyborczej” za treść i formę moich wypowiedzi, które miały miejsce w trakcie spotkania ze studentami Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego w dniu 24 maja 1995 r, a w szczególności za stwierdzenie, iż „Gazeta Wyborcza” traktuje czytelnika jak idiotę, któremu można głowę urobić, w jej publikacjach jak wąż wiją się różne manipulacje i oszustwa”. Jednocześnie wyrażam głębokie ubolewanie z powodu niezamierzonego naruszenia dobrego imienia wydawcy „Gazety Wyborczej” oraz narażenie jej na utratę dobrej opinii i renomy wśród czytelników.

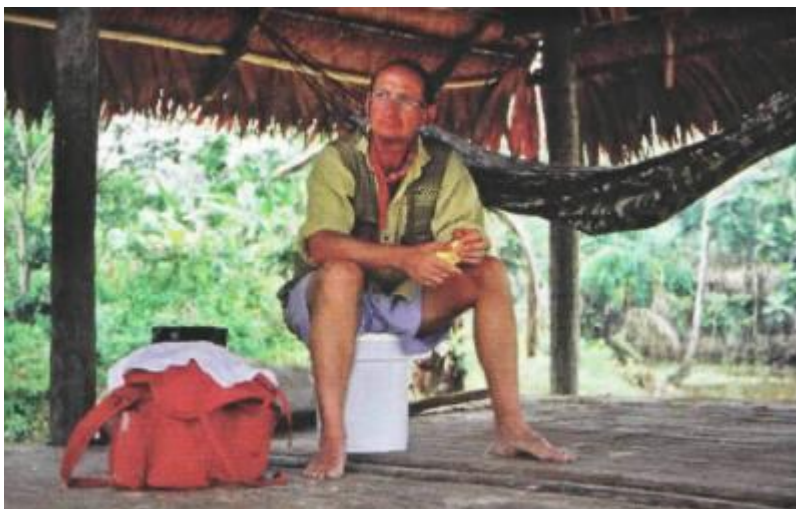
Wojciech Cejrowski - autor programu „WC kwadrans”

Dodajmy, że treść powyższego oświadczenia napisał sąd oraz że w wypadku, gdyby WC go nie opublikował, zostałyby opublikowane na jego koszt mocą wyroku sądowego.

DŻUNGLA AMAZOŃSKA

Po tak zmasowanym ataku WC nie miał wielkiego wyboru i wyruszył na „stare śmieci”, czyli do Ameryki Południowej.

Rozpoczynając swój „latynoski podbój” jeszcze w latach 80., WC w naturalny sposób kierował się na południe Ameryki Północnej. Z Meksyku wyruszył do Gwatemali, potem do Belize. Z Panamy przeszedł piechotą do Kolumbii, a potem dotarł do Wenezueli. Podróż z Meksyku do Wenezueli zajęła mu dziesięć lat. Każdą kolejną wyprawę rozpoczynał w miejscowości, z której odlatywał poprzednio.



Amazonia, około 2001

Turyści do danego hotelu trafiają przeważnie tylko raz w życiu. Natomiast kiedy WC wraca po kilku miesiącach, a nawet po kilku latach do hotelu, w którym już był, to jest tam przyjmowany jak stary znajomy. Podczas podróży nie śpieszy się. Bardzo dokładnie poznaje każde plemię, na które się natknie, skrupulatnie dokumentuje każde napotkane ruiny. Zna te kraje dokładnie, ma tam swoje knajpy, swoje miejsca, wie, skąd i dokąd prowadzi dana droga, jacy tam są ludzie...

Dla każdej wyprawy szczególnie ważny jest wybór przewodnika. Zaangażowanie odpowiedniego nie jest proste i wymaga czasu. Dotarłszy do miejsca startu wyprawy, WC na mniej więcej tydzień zasywa się w kącie jakiejś knajpy. Początkowo, jako biały *gringo*, wzbudza zainteresowanie, które każdego następnego dnia słabnie. WC po prostu powszednie, stając się jednym z wielu elementów knajpianego otoczenia. Jest inny ale dzięki mocnej opale-niżnie i meksykańskiemu strojowi nie wyróżnia się zbytnio na tle klientów. Pije to, co inni, coś zapisuje w zeszycie i dopóki się nie poruszy i nie zrobi czegoś gwałtownie, to po prostu tylko jest.

Natomiast przez cały czas z uwagą przygląda się przychodzącym facetom. Zapisuje dialogi, które w przyszłości mogą mu się przydać

przy pisaniu książki, czyta gazetę i jednocześnie wypatruje potencjalnych przewodników. Na oko jest w stanie odróżnić zawodowca od naciągacza. Wystarczy, że spojrzy na buty. Wyżej ceni przewodników w zużytym obuwiu, a do tego mających w sposób zawodowy wywinięte cholewki. Kolesie polujący na turystę-frajera wyglądają jak Indiana Jones i takich należy unikać, chyba że ktoś chce się wybrać na kilkugodzinna przejażdżkę za grubą kasę. On wybiera się na kilku- lub kilkunastotygodniową wyprawę do dżungli. Jak w końcu namierzy kilku potencjalnych pracowników, to obserwuje, jak oni piją, czy czasem nie są notorycznymi alkoholikami, jak rozmawiają, bo nie ma zamiaru męczyć się z durniami.

Ostateczna decyzja zapada po konsultacji z barmanem. A barman jest, niezależnie od tego, czy to wioska, czy miścina, zawsze osobą najlepiej poinformowaną. WC, płacąc rachunki, chwilę z nim rozmawia i sprzedaje mu informacje, które chce, by się rozniosły po wiosce. Nie opowiada mu wszystkiego, ale tyle, by ten poczuł, że dla WC jest osobą zaufaną. W ten sposób między nimi rodzi się sztafa. W którymś momencie pan Wojtek prosi barmana, by ten polecił mu przewodnika. Barman przeważnie mówi:

- Kiedy kiwnę na ciebie, podejź do baru. Nic nie mów, tylko się przy siądź i obserwuj gościa.

Najczęściej to barman inicjuje rozmowę między WC a przyszłym przewodnikiem. Ostateczne dogadanie się z tak wybranym fachowcem jest już bardzo proste.

WC jeździ do dżungli, bo lubi to robić. To świetne połączenie frajdy z pracą albo wakacji z zarobkiem. Przyjemność, odpoczynek, a może nawet terapia. Jak opowiadają osoby, które były z nim na wyprawie, *Wojtek tam łagodnieje i jest naprawdę szczęśliwy*. Poza tym WC uwielbia indiańskie pożywienie. Gdyby mógł jeść tutaj codziennie świeżą dziczyznę, nie przetworzoną, upieczoną na prawdziwym ogniu, a nie na gazie, to byłby szczęśliwy. Takie zdrowe pożywienie dodaje mu energii i zawsze, kiedy wraca do Polski, jest „nakręcony”. Tam są same zdrowe rzeczy i nie ma tłustego, bo cały tłuszcz się wytapia nad ogniem. Z opowieści osoby, która była z WC na wyprawie wiem, że dla niewyrobionego podnie-

bienia te „zdrowe rzeczy” są wprost niejadalne. Na przykład ukochana przez pana Wojtkę *chicha* smakuje jak wymioty. Dosłownie. Powstaje zresztą w wyniku fermentacji kukurydzy albo juki, przeżuwanej przez indiańskie kobiety. Chemiczną podstawą tego procesu jest ludzka ślina.

CHICHA

Chicha - sfermentowany napój o niewielkiej zawartości alkoholu (od 1 do 3%), wyrabiany przez Indian z rejonu Andów. *Chicha* znana jest od czasów imperium Inków. Wytwarza się ją ze specjalnego gatunku kukurydzy (tzw. *chicha de jora*). Ma blady, słomkowy kolor i kwaśny posmak, przypominający lekkie wino jabłkowe -cydr. Spożywana po niedługim okresie fermentacji jest lekko słodkawa. Po dłuższym okresie zwiększa się zawartość alkoholu i napój staje się mocniejszy. W Peru, w Limie i innych większych miastach nadbrzeżnych jest popularna tzw. *chicha morada*, produkowana ze specjalnego gatunku kukurydzy zwanego *maiz morado* (purpurowa kukurydza) na skalę przemysłową. Sprzedaje się ją w butelkach i puszkach. Ma ona słodki smak. *Chicha* może być wytwarzana na wiele sposobów, a jej przygotowanie jest niemalże rytuałem (tak jak parzenie herbaty w Japonii). Osoby specjalizujące się w przygotowaniu tego napoju cieszą się dużym szacunkiem w krajach andyjskich.

Kiedy Latynosi słyszą, że WC mówi po hiszpańsku bez akcentu, a do tego zna slangowe wyrażenia, to natychmiast są w nim zakochani. Nie udają, nie przymilają się do niego, by go okraść czy oszwabić. Tak w Ameryce Łacińskiej mogliby się zachować jedynie

Peruwiańczycy. To są górale, są inni, mają swoje kasty, klany i nie lubią obcych. Ich jest tak samo trudno zdobyć, jak Cyganów.

INDIANIE

*- W buszu ludzie są nieufni - tłumaczy WC w jednym z wywiadów.
- Zanim pozwolą się znaleźć, długo obserwują białego przez krzaki.
To oni decydują, czy i kiedy wyjdą z lasu. Gdy to nastąpi, jest to
równoznaczne z zaproszeniem. Oczywiście, dzicy są pod bronią, ale
są ciekawscy, intryguje ich, co to takiego ten biały i co może zrobić.*

Wyruszając do dżungli WC wynajmuje przewodników i kupuje towary na wymianę. Prezenty. Trochę „na czuja”, bo nie zawsze wie, kogo spotka. Stara się wozić rzeczy, które mogą się Indianom przydać. Takie, które są przez nich znane i pożądane. Na przykład nie ma sensu zawozić dobrego noża myśliwskiego. Natomiast maczeta, nawet z gównianą drewnianą rączką, jest im dobrze znana i nie ma znaczenia, że takie rączki łamią się dość łatwo. Luksus w dżungli nie jest pożądany. Kiedyś WC zawiózł spinki do włosów w kształcie sowy. Indianie znają sowy, uważają je za mądre i dostojne ptaki. Jednak spinki-sowy miały w oczach latające ziarenka plastiku, co miało imitować ruch gałek ocznych. Indianie uznali, że coś się urwało i takich spinek nie chcieli. Jeśli chodzi o materiały na ubrania, to muszą być one koloru czerwonego lub żółtego. To są jedyne dwa kolory, które w dżungli znamionują rzeczy wartościowe.

Niektórzy biali za wyprawę do dżungli, zwaną przez nich „sportem ekstremalnym”, płacą ciężkie pieniądze. Dla WC jest to chleb powszedni. Robi zdjęcia, dokumentując życie wioski krok po kroku. Fotografuje przygotowanie pola, siew, kiełkowanie roślin, ich wzrost, zbiory, przetwarzanie płodów w pożywienie. Rejestruje również życie Indian od zapłodnienia aż po śmierć. A potem sprzedaje takie zdjęcia uniwersytetom.

Antropolog Bronisław Malinowski wymyślił sposób na „zniknięcie” z pola widzenia tubylców, zwany „strategią werandy”. Polegał on na tym, że najpierw badacz przez wiele kolejnych dni siadał

wśród Papuasów na kamieniu z ołówkiem i zeszytem (tak jak WC w knajpie). Na początku był sensacją, ale po tygodniu czy dwóch jego osoba powszedniała. Wtapiał się w pejzaż, aż wreszcie tubylcy zaczęli się zachowywać normalnie, tak jakby go nie było. WC doprowadza do podobnych sytuacji. Na początku tubylcy obserwują go z wielkim zainteresowaniem. Po tygodniu wiedzą już, jak je, jak wydała, jak się myje, jak się goli. I kiedy wreszcie nacieszą się cyrkiem objazdowym i zaczynają się zajmować swoimi sprawami, to wówczas WC przystępuje do pracy. Następuje zamiana ról - oni robią swoje, a on ich obserwuje, a w końcu robi im zdjęcia.

Jest wiele rzeczy, których WC nie wolno robić podczas pobytu w wiosce. Przede wszystkim nie wolno mu wchodzić w głębsze relacje, zarówno z kobietami, jak i mężczyznami. A już na wstępie oferowane są mu żony, choć najpierw te najbrzydsze. Nie wolno mu zawierać bra-terstw, skoro za miesiąc ma wyjechać, bo braterstwo krwi jest zobowiązaniem na resztę życia. Nie może też zostać kimś w rodzaju naszego ojca chrzestnego ani świadkiem ślubnym. Nie może przyjmować ról, z których nie będzie mógł się wywiązać, a jest ich cała masa.

Indianie nie rozumieją koncepcji powrotu -jeśli ktoś przyjechał, to przecież po to, żeby zostać. Indianie często porzucają swoje wioski. Choćby po to, by zmienić teren łowiecki. Gdy WC przyływa łodzią ze spakowanym dobytkiem, to znaczy, że porzucił wszystko, spalił mosty i przyszedł na nowe. Oni go tak odbierają. Przyjmują ze zrozumieniem fakt, że opuszcza w którymś momencie ich wioskę, ale nie dociera do nich, co to znaczy „wrócić do siebie”. Gdyby przyszedł z wizytą na dwa, trzy dni, na jakieś święto, to co innego. A on siedzi miesiąc albo dłużej, wrasta w ich społeczność, ma swój dom, więc to sprawia wrażenie, że przyszedł się osiedlić. Gdy po tych dwóch miesiącach znowu się pakuje i jedzie dalej, to oznacza, że mu się u nich nie spodobało i jedzie dalej szukać swojej ziemi obiecanej. I zawsze żegnają się z żalem. A jeśli WC zdarza się wrócić do tej samej wioski, to wtedy ma wszystkie złote karty w kieszeni. Wtedy pokażą mu nawet najtajniejszy obrzęd. Bo myślą tak: z jakiegoś tajemniczego powodu przyjechał do nas, pobyl, potem spakował wszystkie swoje rzeczy i odjechał, ale po jakimś czasie przyjechał znowu, a więc nas wybrał. Za pierwszym razem trafił do nas przypadkiem, ale teraz już nas zna i wraca do nas, więc to jest brat.

Jedynie, czego WC nie szuka w dżungli, to kontakt ze złymi mocami. Boi się ich i unika. Co prawda spędził sporo czasu z jednym szamanem, ale kiedy tamten próbował swoich czarów, to WC uciekał. Natomiast kiedy szaman zajmował się ziołarstwem czy szalbierstwem, to chętnie go słuchał. Szaman przyznawał, że czary są dla niego destrukcyjne. Jako młody chłopak przeszedł szamańską inicjację i choć teraz tego żałuje, to wie, że z tego świata nie ma powrotu, że idzie na zatracenie. Ponieważ i tak idzie na spalenie, to, panując nad magią, może kogoś wyleczyć lub mu pomóc. Szaman jest ofiarą, która poświęca się dla swojej społeczności.

Między WC a szamanem zrodziło się głębokie porozumienie, ale nie ze względu na ciekawość szamanizmu, tylko dlatego, że WC był dla tamtejszej społeczności tak samo obcy i przerażający jak tamten. Wódz się go bał, podobnie jak boi się szamana, który - według Wojtka - jest jego naturalnym przeciwnikiem, bo jako jedyny może go zdetronizować. Więc wolał trzymać te dwie dziwności w osobnym pomieszczeniu, z dala od społeczności.

WC podczas wypraw często doświadcza samotności. Kiedy jest sam na łódce z czterema ludźmi - dwóch tragarzy, *motorista*, który zajmuje się łódką, i myśliwy na dziobie, który jednocześnie jest kucharzem - to nie bardzo jest o czym z nimi rozmawiać. Owszem, pyta takiego myśliwego, jaka występuje w lesie zwierzyna, jak się ją podchodzi... Stara się wysysać z niego wiedzę praktyczną, która umożliwi przeżycie w dżungli. Od *motoristy* uczy się rozpoznawać fale na rzece. Że jak się woda zagina tak a tak, to znaczy, że pod spodem jest kamień, a jeśli tak a tak - to kamienia nie ma. To są ciekawe rzeczy na jakiś czas, ale jeśli płynie się z nimi trzy tygodnie, to już po kilku dniach WC nie ma ochoty rozmawiać o kolejnym tapirze...

Nie ma obawy, że ci *czterej* z łódki oskubią WC i gdzieś go zostawią. To biały człowiek jest Judaszem, który potrafiłby zrobić taką rzecz. Indianie nie potrafią. Tylko raz WC został porzucony w lesie przez przewodników, co opisał w książce „Rio Anaconda”, ale ostatecznie szef tragarzy wysłał mu innych Indian z pomocą. Dali słowo honoru, patrząc w oczy, że nie zostawią, to nie zostawią. Im się nie mieści w głowie, że można by tak zrobić. WC ma takie relacje też z kilkoma, a może i z kilkunastoma osobami również w Polsce. Oni między sobą wiedzą, że dane słowo waży. „Na gębę” umawia

się z drukarnią w Pelplinie: *Proszę mi wydrukować dziesięć tysięcy książek, jak wrócę, zapłacę*. Żadnemu innemu klientowi by nie uwierzyli na słowo przez telefon z zagranicy. Ale wiedzą, że gdyby WC jakimś cudem zbankrutował, to przyjdzie do nich to odpracować. Dlatego bardzo lubi robić biznes na poziomie dawania słowa, bo czuje się jak wśród aniołów. Dlatego tak bardzo lubi jeździć do Ameryki Łacińskiej, bo tam jest więcej takich sytuacji, kiedy można napluć na rękę, przybić piątkę, popatrzeć sobie w oczy, tak jak z tym Żydem na Florydzie. Umowę można spisać zawsze, ale ona jest warta tyle, co papier. A słowo jest warte tyle, co honor.

AMERYKA ŁACIŃSKA

Z Wenezueli WC pojechał do Gujany Brytyjskiej, a potem miał przeskok do Paragwaju, gdzie na misji był jego brat. Brat chciał chrzczyć, a tam duchowny przede wszystkim musi się zająć pracą socjalną. Najpierw trzeba ocalić człowieka jako takiego, a dopiero potem można się zabrać za pracę nad jego duchem. Paragwajscy Indianie są zatrudniani przez Brazylijczyków w charakterze pół--niewolników. Przykładowo: jako zapłatę otrzymują bony, za które mogą kupować tylko w sklepie swoich pracodawców. Misjonarze kupują więc ziemię dla Indian, załatwiają im dokumenty w notariacie i tak dalej. A brat WC chciał ewangelizować. Paragwaj nie okazał się jego wymarzonej miejscem i wyjechał stamtąd po dwóch czy trzech latach.

To nie jest tak, że bliższe i dalsze rodzeństwo WC podzieliło się na „tych od handlu” i „tych od ducha”. Żeby być misjonarzem w Paragwaju, trzeba mieć zmysł organizacyjno-handlowy, bo musisz sam wszystko załatwić. Tam nie ma tacy. W Paragwaju polscy werbiści produkowali kiełbasy i sprzedawali tamtejszym Niemcom. Założyli wędzarnię, masarnię, nauczyli Indian hodować świnię. Internetu tam nie ma, więc brat WC kupił krótkofalówki, dzięki czemu mógł z kumplami z innych misji pogadać. Kiedy się mieszka w drewnianym domku na końcu świata, to nikogo nie stać, żeby pojechać 80 kilometrów do najbliższego miasteczka, a samotność czasem mocno doskwiera. Każdy z misjonarzy jest sam, z dala od

wszystkich, wśród prostych ludzi, bez partnera do rozmowy. Kilka razy w roku jeżdżą do stolicy, odbierają pocztę i polskie gazety.

Paragwaj jest małym krajem, w którym przez lata nie obowiązywała ekstradycja. Do tego długo nie prowadzono spisów ludności. Dzięki temu aż w tym kraju znaleźli naziści, których chronił prezydent Stroessner.

ALFREDO STROESSNER

Alfredo Stroessner (1912-2006) - półkrwi Niemiec, rządził Paragwajem przez 35 lat, do 1989 roku. Był najdłużej panującym dyktatorem w Ameryce Łacińskiej, nie licząc Fidela Castro. Stroessner zaciekle prześladował komunistów i inne ruchy lewicowe. W Paragwaju żaden z krajów komunistycznych nie posiadał swojej ambasady, z wyjątkiem Jugosławii. Stroessner był tolerowany przez kraje kapitalistyczne głównie ze względu na swoją politykę gospodarczą, która opierała się na ścisłej dyscyplinie finansowej i spłacie pożyczek. Dużym osiągnięciem było także utrzymywanie stabilnej waluty, co było rzadkością w Ameryce Południowej. Stroessner doprowadził do wybudowania największej hydroelektrowni na świecie, dzięki czemu Paragwaj nie miał problemów energetycznych, a nawet eksportował energię do sąsiadów. Innym pomysłem dyktatora było rozdawanie 20-hektarowych działek każdemu żołnierzowi, który ukończył służbę i zgodził się wykorzystać otrzymaną ziemię w celach rolniczych. Prawie 10 tys. żołnierzy skorzystało z tej propozycji. Generał znany też był z sympatii wobec zbrodniarzy nazistowskich. W Paragwaju ukrywał się m. in. Josef Mengele. Obalony w 1989 roku dyktator udał się na wygnanie do Brazylii, gdzie zmarł siedemnaście lat później.

Po odwiedzinach u brata w Paragwaju, WC wrócił na swoją trasę podróżniczą i kolejno przemierzył: Surinam, Gujanę Francuską, Brazylię, Ekwador, Peru i Boliwię. Nie był w Chile, *bo to Europa, więc nie mapo co*. Nie dojechał też do Urugwaju.

- To kraj-ląka - wyjaśnia Wojtek - w którym głównie pasą się krowy na sprzedaż do Argentyny, więc jest on mało ciekawy.

Niewielu turystów odwiedza też Surinam.

- Tam jeżdżą hardcorowcy - kontynuuje WC - którzy szukają dzikich orchidei albo Indian, albo nie wiadomo czego.

Najpiękniejszym miejscem na świecie jest dla WC meksykański Jukatan. Los tak chciał, że już swoją pierwszą podróż odbył do tego miejsca. Rozkochał się w nim od pierwszego wejrzenia. Mieszkańcy Jukatana nie różnią się radykalnie od reszty Meksykanów. To są kolorowi, roześmiani, weseli Meksykanie z fantazją. Z naszego punktu widzenia możemy uznać, że to leniuchy, tyle że my od razu zakładamy, że to niedobrze, kiedy się nie pracuje. A z tamtej perspektywy wygląda to inaczej - a bo to jest przymus pracowania? Przecież jeden z drugim nie jest pasożytem. Owoce rosną wokół niego same, dach też mu w tamtym klimacie nie jest szczególnie potrzebny. Życie Meksykanina polega na odpoczynku: wisi sobie taki w hamaku i ogląda piękny pejzaż. Ma urlop przez całe życie. Jeśli stać go na urlop przez całe życie, to dlaczego uważamy, że to niedobrze? WC też uwielbia leniuchowanie. Jak ma kasę, to odpoczywa. Tutaj pracuje, tam się leni. Tam może miesiącami nic nie robić. On lubi lekko zarobić na chleb i w fajny sposób. Wstaje z hamaka, kiedy chce się napić rumu.

Lubi rum, ale nie widzi powodu, dla którego miałby się upijać. Nigdy w życiu się jeszcze nie upił, bo i po co? Cygara nie pali i palić nie będzie, zresztą niczego palić nie będzie. Nawet zgaszonego papierosa nie włoży do ust. Nie, bo nie. Co oczywiście nie znaczy, że jest ascetą. Wręcz przeciwnie - uwielbia balangować. To nie jest tak, że podczas imprezy dobrze się bawią tylko ci, którzy korzystają ze wszystkich atrakcji wieczoru. Świetnie może się ba-

wiść ktoś, kto tylko tańczy. Nic nie pije, z nikim nie gada, tylko cały wieczór tańczy. Dlatego WC wybiera z tej meksykańskiej oferty to, co go kręci. Upijanie się go nie kręci, palenie go nie kręci, natomiast tańczenie bardzo lubi i tańczy nieźle. Zawsze kiedy prowadzi wycieczki do Meksyku, to kończy się to tym, że ktoś, kto nigdy nie tańczył, potem tańczy świetnie, bo WC go nauczył swoją niekonwencjonalną metodą.

PIĘKNE BESTIE

Po zdjęciu z anteny „WC kwadransa”, Wojciech jeszcze przez dwa lata wznosił się na fali popularności zdobytej dzięki telewizji. Umiarkowany sukces trzeciego „Ciemnogrodu” w 1998 roku uświadomił WC, że bez nowych projektów popadnie w zapomnienie. Jednak, mimo starań, nikt w Polsce go nie chciał, nikogo nie interesował jako twórca i wydawało się, że kroczy ku nieuchronnej śmierci medialnej. Pisał teksty, robił dobre zdjęcia, umiał zrobić dowolną audycję radiową albo przyciągający widzów program telewizyjny, ale kiedy oferował swoje usługi, odpowiedź była zawsze jedna:

- Po tym, co pan robił w „WC kwadransie”, nie jesteśmy zainteresowani.

Przynosił tekst podróżniczy i słyszał od redaktorów, że super i że zdjęcia genialne, ale:

- Niech pan to wydrukuje pod pseudonimem, i jeszcze zmieni rodzaj z męskiego na żeński, żeby nikt się nie zorientował, że to pan.

Najgorsze, że nie było roboty dla ojca. WC wiedział, że on sam sobie poradzi, że pojedzie za granicę. Pojechał zresztą i dostał robotę w wytwórni płytowej w Nashville, gdzie był odpowiedzialny przez pewien czas za handel płytami country w Europie i zajmował się kontraktowaniem artystów na występy na Starym Kontynencie. Nie był rozżalony, tylko wkurzony, że we własnym kraju po raz drugi został wyrzucony na margines. Okazało się, że kontakt z nim jest styg-

matem towarzyskim. By przetrwać, pisał felietony do niszowej „Gazety Polskiej” i miał Listę Przebojów Country, chociaż z siedemnastu rozgłośni radiowych jedenaście wymówiło mu umowę.

Miał poczucie, że jest świetny, ale odmawiano mu istnienia medialnego, bo szerzył szkodliwą ideologię. Stał się wręcz synonimem tego, czego w nowoczesnej Polsce miano się wstydzić. Pomyślał, że niedobrze jest, że Polacy w demokratycznym kraju godzą się na taki sposób myślenia. No bo jeśli do Radia Olsztyn przychodził jakiś politruk i mówił:

- Tego pana tu nie chcemy

to powinien znaleźć się drugi, któryby stwierdził:

-Ja też go nienawidzę za „WC kwadrans”, ale dlaczego mamy nie kupować świetnej audycji muzycznej?

WC nie miał potrzeby odwetu, bo niby na kim? Na systemie? Na opinii publicznej nie, bo opinia publiczna go kochała.

- Jak wiemy, komu chcemy nakopać do zadu i wiemy, jaki to zad, to wtedy dobieramy but. A jak nie wiemy, to nie kopjemy - uważa Wojtek.

Choć pod rządami SLD był trzymany z dala od mediów, nie oznaczało to jego całkowitego rozbratu z telewizją jako taką. Pierwsza przygarnęła go niszowa stacja katolicka TV Niepokalanów, dla której w latach 1996-97 zrealizował 30 odcinków programu „Podróżnik”. Opowiadał w nim anegdoty podróżnicze, siedząc na tle zrobionych przez siebie zdjęć. To była taka siermiężna wersja telewizyjnego „Boso przez świat”, połączona z audycją „Na drugim końcu globusa”, którą robił przez cztery lata dla lokalnych stacji radiowych. Równocześnie w telewizji RTL7, która dostępna była w kablówkach, WC występował obok m.in. Jacka Fedorowicza, Jana Pietrzaka, Jerzego Kryszaka i Marcina Dańca w programie satyrycznym „Komentarz Okropnie Poważny”. Okazało się jednak, że wówczas, w demokratycznej Polsce, na świącznikach nie mieli prawa



z Alicją Resich-Modlińską...





...i z Janem Englertem, fot. Wojciech Glinka



funkcjonować dziennikarze o prawicowych poglądach. Dziennik „Życie” donosił 13 czerwca 1997 roku:

Zdaniem Jana Hildebrandta, odwołanego niedawno dyrektora telewizji RTL7, Włodzimierz Cimoszewicz [ówczesny premier RP - G.B.] i Adam Michnik starali się wpłynąć na decyzje luksemburskich szefów stacji. Celem nacisków, według Hildebrandta, mogła być jego dymisja, a w konsekwencji odsunięcie od kształtowania programu zespołu zatrudnionego przez Macieja Pawlickiego.

Pawlicki był szefem telewizyjnej Jedynki za czasów prezesury Wiesława Walendziaka. W tym samym materiale Hildebrandt powiedział:

- Po jednym z komentarzy Cejrowskiego rzeczniczka rządu, Aleksandra Jakubowska, interweniowała w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Komentarz był ponoć nazbyt polityczny. Raz nawet, co jest zupełnie absurdalne, zarzucono mu antysemityzm. Zwłaszcza ten ostatni argument był zupełnie wyspany z palca.

Prawdziwy powrót WC z nicości nastąpił jednak w 1999 roku wraz z programem „Piękny i Bestia”, zamówionym, notabene, przez nowe kierownictwo RTL7. Różnica polegała na tym, że wówczas u władzy było nie SLD, a prawicowy AWS. Propozycja współpracy padła ze strony Alicji Resich-Modlińskiej, która pamiętała Wojciecha z Radia Kolor, gdzie też miała swoją audycję. Dodatkowym argumentem był świetny występ WC w popularnym *talk-show* „Wieczór z wampirem”, nadawanym przez RTL7. Cejrowski był pierwszym gościem, który wyjął program z rąk prowadzącego Wojciecha Jagielskiego.

- Widać było, że WC był spragniony występowania - powie dział mi producent „Wieczoru z Wampirem”. - Był świetnie przygotowany, miał opracowanych kilka skeczy, z których nie wszystkie, z braku czasu, mogliśmy wykorzystać. Błyszczał i rzeczywiście przyćmił Jagielskiego.

Alicja Resich-Modlińska po rozstaniu z telewizją publiczną była wtedy trochę w odstawce. WC był w zupełnej odstawce, więc zdecydował się na połączenie z nią sił. Tym bardziej, że nigdy jako prowadzący nie występował w *talk-show*. A to miał być klasyczny *talk-show* z publicznością i całym *entourage'em* typowym dla tego typu programów. Konwencja, zgodnie z tytułem, miała polegać na odpytywaniu gościa, z jednej strony przez kulturalną Alicję, a z drugiej - przez nieokielzanego WC.

- *Chcieli pazur od Cejrowskiego, ale jednocześnie bali się tego pa zura. I efekt był nijaki, więc to nie szło. Zrobiliśmy dwanaście godzinnych odcinków - komentuje dziś WC.*

Alicja Resich-Modlińska, elegancka pani, chciała mieć atmosferę imienin u cioci, a WC - wręcz przeciwnie.

- *Wojtek, nie wypada najeżdzać nagością, który jest w gościach u ciebie.*

- *Ale, Alicja, on nie jest w gościach u mnie, tylko wziął honorarium, więc jest na służbie u telewizzów i mamy wspólnie wykonać show, więc ja go mogę rozjechać.*

- *No, ale to nie jest moja filozofia.*

- *A twoja filozofa nie jest moją filozofią. Jeśli nie chcę kogoś rozjechać, to go nie zapraszam. A jeśli ty i ja zapraszamy gości w innych celach, to nie możemy razem prowadzić programu.*

WC ostatecznie zrozumiał, że w polskim show-biznesie nie liczy się widz, tylko środowisko telewizyjne. Jednocześnie władze RTL7 doszły do wniosku, że wyniki oglądalności nie spełniają oczekiwań stacji i 16 stycznia 2000 roku, po trzech miesiącach od startu, stacja wyemitowała ostatni odcinek *talk-show* „Piękny i Bestia”.

FRYTKA

Minęły kolejne dwa lata. WC został zaproszony przez Kubę Wojewódzkiego do jego programu, który wówczas był emitowany

w Polsce. Zanim *wyraził* zgodę, poprosił o nagrania kilku programów, obejrzał je, *zobaczył*, jakie Wojewódzki wykonuje grepsy, jak się zachowuje.

- *W „Idolu” był chamem, ale wydawał się erudyta - przypomnia sobie WC.*

Zgodził się, szczególnie że chciał ugrać konkretną rzecz. Miał gotową książkę „Gringo wśród dzikich plemion”, której, niestety, nikt nie chciał wydać. Dał zatem Wojewódzkiemu fragment do przeczytania i powiedział, że chciałby o tym rozmawiać.

To był drugi program nagrywany tego dnia, więc widownia była już zmęczona. A stanowiły ją nastolatki, które zerwały się ze szkoły. Wojewódzki rzeczywiście książkę przeczytał, był przygotowany. WC opowiedział anegdotę, odpowiedział na jakieś pytania, program się skończył. Następnego dnia zadzwonił dyrektor programowy Polsatu, Piotr Fajks.

- *Proponuję spotkanie przy kawie, bo chciałbym, żeby mi pan zrobił program dla Polsatu.*

- *???*

- *...bo ja jeszcze nie widziałem, żeby nastoletnia publiczność słuchała przez siedem minut bez przerywania, a przede wszystkim nie zdarzyło mi się, żeby Wojewódzki słuchał kogoś tak długo.*

No i doszło do realizacji *talk-show* „Z kamerą wśród ludzi”. Fajks powiedział:

- *Niech pan zaprasza ludzi i z nimi rozmawia, tylko niech pan zachowa ten gawędziarski ton, który jest w pańskiej książce.*

On przeczytał książkę jeszcze w manuskrypcie.

Pomysł na program WC przejął z programu „Lewiatan” Wiesława Walendziaka. Zapraszał dwójkę gości o przeciwstawnych poglądach, a sam ustawiał się w roli eksperta. Przykładowo: ścierał ze sobą polską feministkę i polską muzułmankę. Jak tylko konflikt przygasał, to rzucał między bestie nowe ścierwo. Jednocześnie przemyślał swoje dzi-

wactwa: kolorowe koszule, ^{napój} *yerba mate*, hawajsko-kolonialne dekoracje. Chciał tym podkreślić, że tak wygląda prawdziwy świat pana Wojtka, a nie ten kowbojski z „WC kwadransa”. A teraz - po czyjej stronie będzie stał? Feministki, która zwalcza tę podłą muzułmankę, czy muzułmanki, która się wychrzciała? Tak naprawdę nie popierał żadnej z nich, ale raz był po stronie jednej, raz drugiej.

Innym razem postanowił po raz drugi zaprosić do swojego programu Andrzeja Leppera. I kiedy producent do niego zadzwonił, Lepper odpowiedział: *Do pana Wojtka - zawsze*. Bo wiedział, że będzie ciekawie i zawsze się opłaci, nawet jak wyjdzie na durnia. Wówczas jeszcze oficjalnie nie kandydował na prezydenta, ale coś się o tym mówiło. Przyszedł, pełen szacunku, bo wiedział, że jest samcem beta w tej relacji, i tę pozycję utrzymał. Wręczył panu Cejrowskiemu biało-czerwony krawat, ale on go nie przyjął, tylko przekazał komuś na widowni. Następnie WC przejął inicjatywę i powiedział:

- Proszę pana, mój kumpel, Jacek Falkiewicz, jest per „ty” z czterema prezydentami: z Gorbaczowem, z Putinem, z Jaruzelskim, z Kwaśniewskim. A, i jeszcze z Wałęsą. I ja go pytam: „Jacek, jak to się robi?” A on mówi: „Sztuczka jest prosta. Przechodzisz z nimi na «ty», zanim zostaną prezydentami”. To co, panie Andrzeju, może byśmy byli po imieniu?

Lepper cały rozkwitł i powiedział, że to będzie dla niego zaszczyt. I w ten sposób przyznał publicznie, że jednak będzie kandydował.

Najwięcej kontrowersji wzbudził program z udziałem Frytki, czyli Agnieszki Frykowskiej, uczestniczki Big Brothera, która przed kamerami odbyła stosunek płciowy z kolegą. Zaprosił ją Polsat, chociaż WC stanowczo protestował. Frytka została rozjechana dwukrotnie, bo po pierwszej rozmowie poprosiła o powtórzenie nagrania, gdyż w trakcie pierwszego wywiadu się rozpląkała. Za drugim razem również pękła. Producent przyciął rozmowę radykalnie, dzięki czemu Frytka wypadła lepiej niż w rzeczywistości. WC zaprotestował, na co usłyszał, że producent dba o dobro programu, a nie o prywatne widzimisię pana Cejrowskiego. WC kupił więc od studia, w którym montowany był program, pełną wersję i natychmiast ją wpuścił do Internetu. Telewizja nadała trzy dni

później przyciętą wersję, a po Internecie już chodziła „Frytka na ostro” w wersji autorskiej WC.

Czemu zmanipulowano ten program? Polsat lansował wówczas Frykowską na gwiazdę *reality show* „Bar” i nie mógł sobie pozwolić, by wypadła na kretynkę. Tym bardziej WC nie rozumiał, po co mu ją wpychano do programu, jeśli wiadomo było, że zostanie rozjechana. Nalegali, bo WC miał dobrą oglądalność. W sumie Polsat był zadowolony, ponieważ afera sama w sobie zwiększyła oglądalność całego kanału.

Fragment rozmowy z nieocenzurowanej wersji programu „Z kamerą wśród ludzi”:

-Jak pani nazwie kobietę, która sprzedaje się za pieniądze?

- Kobieta wyzwolona.

-Jak pani nazwie kobietę, która w porcie sprzedaje się cztery razy dziennie, za każdym razem innemu marynarzowi? Kobieta wyzwoloną czy już nie?

- Tak naprawdę wydaje mi się, że każdy robi to, co lubi i w momencie, kiedy tej kobiecie to nie przeszkadza, to dlaczego nie.

- Nie chciałem oceniać, tylko chciałem prosić o nazwę.

- Kobieta wyzwolona.

- Czy w agencjach towarzyskich pracują kobiety wyzwolone, czy nazywamy je inaczej?

- Wie pan co? Wydaje mi się, że są to kobiety, które po prostu lubią seks.

-A jak pani nazwie kobietę, która ma sama na to ochotę i robi to za darmo, ale z wieloma różnymi partnerami i to często?

- Myślę, że nazwę tę kobietę, kobieta która...

- Wyzwoloną?

- No, na pewno wyzwoloną.

-To w takim razie nie ma różnicy między sprzedajną dziwką portową, a cichodajką, która za darmo rozdaje?

- Cichodajką, która za darmo rozdaje... Wie pan co? Ja uważam, że w ogóle... bardzo bym prosiła tutaj o szacunek do mnie.

- Na razie o pani nie zamieniliśmy ani jednego słowa. (...) Ma pani rozum pod tą blond plerezą i pani myśli, mimo że czasami się pani wylacza rozum w wannie, kiedy są bąbelki z piany i szam-

pana. Ma pani rozum, więc niech pani mi teraz nie wciska takich głodnych kawalków, że pani nie wiedziała, bo ja jestem z takiego domu, porzucona dziewczynka, babcia... i nie miałam wzorców. Od kiedy rypańsko przed kamerami to jest wzorzec i norma? Na pewno babcia takiej normy pani nie przekazała!

- Przede wszystkim to ja się dziwię, że z panem rozmawiam na taki temat, dlatego że w żaden sposób pan mnie nie pociąga seksualnie.

- A pani rozmawia tylko z osobami, które pociągają?

- Zazwyczaj.

Na zamknięcie tego tematu przytoczą wypowiedź WC dla wideoportalu.pl z roku 2008:

- Ona się skarży na mnie? Zgodziła się przyjść do mnie, do Polsatu, to ładnych parę lat temu było, zgodziła się odpowiedzieć na serię pytań bardzo prostych, dotyczących uprawiania stosunku płciowego na oczach kamer i widzów. Potem wzięła honorarium i podpisała zgodę na emisję tego programu, więc nie wiem, dlaczego ma do mnie pretensję. Mogła nie wziąć honorarium, nie podpisać zgody na emisję i sprawy by nie było.

Emitowany w latach 2003-2004 program „Z kamerą wśród ludzi” był dobrze odbierany, osiągnął dwupółmilionową widownię, co stawiało go na czwartym miejscu wśród *talk-show* po programach „Europa da się lubić”, „Bezludnej wyspie” i „Rozmowach w TOK-u”. W sumie powstało 20 odcinków. Niestety, WC nie był w stanie pracować z obcym producentem. W końcu postawił warunek: albo będzie swoim własnym producentem, albo rezygnuje z programu. Jednak ludzie z Polsatu nie zgodzili się na zabranie programu firmie MT Art. Poza tym myśleli, że WC blefuje, bo w polskim show-biznesie nikt dobrowolnie nie rezygnuje z programu telewizyjnego, który odnosi sukcesy i za który dużo płacą. Ale, jak już wiemy, *klient musi być zadbany, czyli przede wszystkim jakość*, a tę WC jest w stanie kontrolować wyłącznie wtedy, gdy sam produkuje swoje programy.

Więc nie blefował.



W obronie krzyża przed Pałacem Prezydenckim – 2010,
fot. Wojciech Olkuśnik/Agencja Gazeta

POWRÓT



KATOL

WC nie „został katolikiem”, lecz jest nim z urodzenia. To oczywiste, że „chodzi się do kościoła”, tak jak „jada się śniadanie”.

- Do kościoła chodzi się nie tylko w niedzielę - mówi WC -ale też na przykład na nabożeństwa majowe. Śpiewa się pieśni maryjne i całą litanie loretańską do Matki Bożej, takie ładne frazy przedzielone „módl się za nami” i owiane kadzidłem. Są też nabożeństwa jesienne, październikowe, różańcowe i inne, no i cała masa świąt kościelnych.

Kiedy WC został ministrantem, szybko został też naczelnikiem ministrantów, Wyczul, że taka funkcja może przynieść wymierne korzyści. Otóż naczelnik ma za zadanie szkolić małych adeptów sztuki ministranckiej. Najbardziej uciążliwym zadaniem w kościele jest codzienne uderzanie w dzwony o szóstej rano. Nikt nie chce tego robić, a kościelny chętnie przenosi ten obowiązek na ministrantów, którzy przychodzą na jutrznię. Oczywiście, żaden z dzieciaków nie chciał zrywać się tak wcześnie i zazwyczaj dzwonił jedynie najmniejszy z dzwonów. Kiedy WC został szefem ministrantów, to nie dość, że dzwoniły wszystkie, to ustawiły się jeszcze kolejki chętnych do ранnej pobudki. Patent polegał na tym, że nowy naczelnik obiecywał możliwość pohuśtania się na linie od dzwonu. Gdy się taki dzwon rozbija, to podciąga on ministranta ucepionego na linie do wysokości pierwszego piętra i to jest frajda niebywała.

WC miał wtedy jedenaście albo dwanaście lat, a te dzieciaczki po siedem, osiem. Musiał zatem uważać, żeby towarzystwo, uczone jak winogrona do lin, nie pospadało. Żeby awansować do huśtania na linie, trzeba było wcześniej odbyć ileś tam mszy, no i był test z odwracania obrusika. Bo kiedyś komunię przyjmowało się na klęczkach, wokół ołtarza była balustradka, przykryta długim obrusikiem. Wierni trzymali pod nim ręce. I sztuka polegała na tym, żeby jednym ruchem w czasie mszy ten obrusik (zwisający za barierką) umiejętnie szarpnąć i jednym ruchem przerzucić na barierkę. Jak się komuś udawało, miał prawo do dzwonów. A trenować można było tylko w czasie mszy, bo kościół to nie plac zabaw. Więc WC miał cały grafik mszy - bo każdy chciał trenować, żeby zdać test obrusowy i potem huśtać się na linie od dzwonu. Ksiądz wiedział o tych praktykach. Mówił tylko:

- *Ja nie chcę wiedzieć, skąd taka frekwencja. Natomiast chcę wiedzieć, czy wino mszalne nie jest pite!*

- *Nie jest pite* - zapewniał WC.

- *A czy obrazy w zakrystii nie są podglądane?* (Bo tam wisiały takie kontrowersyjne obrazy, na których dzieciarnia mogłaby podziwiać, na przykład, jakiś goły cycek lub wypięte pupy aniołków).

- *Ależ skąd! Obrazy nie są podglądane. Wiszą wysoko, a ja walę w ucho, gdy ktoś zadziera głowę.*

WC stara się cały czas grzać w ogniu łaski uświęcającej. Do spowiedzi chodzi często, zarówno wtedy, kiedy jest potrzeba, jak i wtedy, kiedy tej potrzeby nie ma. Jan Paweł II chodził do spowiedzi co tydzień, przed niedzielą, co WC trochę zastanawiało. Zrozumiał jednak, że człowiek, nawet święty, jest przecież narażony na różne pokusy, choćby pychę własnej świętości.

Przez całą podstawówkę WC chciał być księdzem, ale nie zwykłym księdzem, tylko od razu papieżem. Chciał w ten sposób pokazać światu, że ktoś z takiego zapyziałego kraju, jak ówczesna komunistyczna Polska, może zająć wysoko, najwyżej, na same szczyty świata. Dla WC to nie była dziecięca mrzonka, tylko konkretny plan i zadanie do wykonania. Pewnego dnia, gdy wracał ze

szkoły, całe miasto huczało, że Karol Wojtyła został papieżem. To był trudny dzień. Trzeba było zmienić plan na resztę życia, bo zadanie zostało wykonane.

A przecież wszystko miał przemyślane, wiedział, jaką drogą człowiek najszybciej idzie ku profesurze na KUL-u, kto z krewnych jest biskupem, jak działa watykańska dyplomacja, a tu nagle taka niespodzianka. Pomyślał: „Aha, to już odfajkowane, więc trzeba wdrożyć plan B”. Czyli zostać najbogatszym człowiekiem na kuli ziemskiej. Powód ten sam: że Polak, dzięki przedsiębiorczemu zmysłowi, jest w stanie wejść na każdy szczyt, nawet jeśli startuje daleko z tyłu - w zacofanym kraju komunistycznym.

WC interesuje się różnymi religiami trochę z perspektywy duchowej, a trochę antropologicznej. Już jako dziecko wiedział, że istnieją różne religie. Chętnie studiuje judaizm, bo fascynuje go Stary Testament.

- Dawniej w kościele więcejgo czytano - twierdzi. - Po śmierci kardynała Stefana Wyszyńskiego kościół polski zaczął, niestety, głęboko popadać w nowoczesność. Wyszyński uważał, że reformy soborowe są w porządku, ale nie wszystkie nowinki pasują do polskich realiów. Dopóki tego pilnował, zachowywano starsze, istotne rytuały: komunie była na kłęczkach, ołtarz był odwrócony jak trzeba - ksiądz modlił się twarzą do Pana Boga, a nie do wiernych, jak aktor na scenie przed widownią.

Dogmatycznie zakłada się, że wszystkie zmiany soborowe są poprawne do czasu zwołania następnego soboru. No i nagle pojawia się zmiana: komunie podana do brudnej łapy, bez uszanowania, z zagrożeniem profanacją, bo przecież jakiś satanista może ją wziąć, pójść do ławki, a potem różne rzeczy z nią wyprawiać. Panu Bogu satanista krzywdy nie zrobi, ale innym ludziom może zrobić. To się WC nie podoba. Jak również wszelka nowoczesność w kościele. To, że ksiądz bez sutanny wychodzi na ulicę i jest na to przyzwolenie społeczne. To powoduje, że ksiądz staje się urzędnikiem kościelnym pracującym na godziny, a przecież to ma być powołanie, a nie zawód. To wszystko są rzeczy, z którymi WC nie chce się zgodzić.

Występ WC na KUL-u

- Gdy ksiądz wchodzi do miejsca, gdzie są inni ludzie, powinien głośno powiedzieć: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. A jak się komuś to powitanie nie podoba, to trudno. Nam przecież wciąż każą nadstawić drugi policzek. Niech więc czasem sami nadstawią swoje policzki, niech się posuną, niech nam zrobią należne miejsce we wspólnej przestrzeni. Mamy swoje powitania, swoje znaki krzyża i to są znaki, które w polskiej przestrzeni publicznej istniały, zanim weszło „siema”, zanim weszło „witam”, zanim weszło „dzień dobry” (...).

Gdy spotykasz znajomego księdza na mieście i on jest bez sutanny, a nawet bez koloratki, powinieneś zapytać: „Stary, a ty co, ksiądz-tajniak jesteś? Czy może wstydzisz się powołania? Czemu bez koloratki na dzielnicę wychodzisz?! Jak żonaty facet idzie na miasto bez obrączki, to albo na baby, albo na wódkę. A ty? Twoja żona to kościół. A koloratka to znak sakramentu który zawarłeś. I MASZ NOSIĆ TĘ SWOJĄ OBRĄCZKĘ ZAWSZE W MIEJSCACH PUBLICZNYCH. ZDJĄĆ MOŻESZ DO GOLENIA ALBO W GABINECIE U LEKARZA”.

I nie chodzi tu tylko o to, by ksiądz był widoczny, by był świadectwem istnienia kościoła. Koloratka stanowi ochronę przez pokusami - w koloratce nie jesteś taki atrakcyjny, jak w samej koszuli lub sweterku. A zatem nie wódz kobiet na pokuszenie, tylko zawsze noś koloratkę.

O ile Stary Testament przemawia do WC, o tyle Nowy - słabo.

- Bóg Ojciec i Duch Święty są dla mnie oczywiści - tłumaczy WC - natomiast Jezus Chrystus jest zdecydowanie mniej czytelny. Nie chodzi o treści, lecz o styl wypowiedzi. W Starym Testamencie Bóg przemawia do ludzi wprost, przedstawia im swoje kodeksy i zasady za pomocą krzaka gorejącego, aniołów i Ducha Świętego. Natomiast Jezus Chrystus to nauka trudna i pełna filozofii. Ale wiara jest przecież darem, na który czasem trzeba poczekać.

WC z szacunkiem traktuje islam. Przeczytał Koran i uważa go za doskonałą książkę. Sporo w niej o Jezusie Chrystusie, bo dla muzułmanów nie jest on wprawdzie Bogiem, ale bardzo ważnym

prorokiem. Ostatnim przed Mahometem. Uważa, że trzy religie monoteistyczne w przyszłości mogą się zlać ze sobą. Cały czas jest taka szansa, trzeba tylko, by wszyscy uwierzyli w Chrystusa.

WC uważa, że prawosławie jest mniejszą herezją niż protestantyzm. Są przecież w Polsce kościoły obrządku wschodniego, które uznają papieża. W każdej chwili, gdy prawosławni przyjdą złożyć pokłon w Watykanie, zostaną przyjęci z powrotem na łono kościoła katolickiego.

WC nie uważa, że katolicyzm powinien nawracać pogan ogniem i mieczem - środki należy dobierać stosownie do okoliczności. Owszem, gdyby kościół był zagrożony, jak najbardziej może dać odpór, a wroga pogonić aż na jego terytorium. Rozkochany w Ameryce Łacińskiej WC nie jest też zwolennikiem konkwisty.

- O czym tu zresztą mówić - powiada WC - skoro do Ameryki wyjechał wówczas najgorszy europejski element: desperaci, 'galernicy, szlachta gołota i pospolita hołota albo karierowicze pokroju Cortesa. Bracia Pizarro byli wprawdzie szlachetnej krwi, ale przed wyjazdem na podbój Peru pasali świnie. Potem jeden z tych świniopasów został wicekrólem nowo zdobytych ziem. Ale, z drugiej strony, wczujmy się w tamtą sytuację: Cortes przybywa do Miasta Meksyk i widzi, jak w ciągu kilku dni tubylcy na piramidzie zarzynają w ofierze 50 tysięcy ludzi! Okrutne rytuały, wszystko jest lepkie od krwi, turlają się głowy, wyrywane są serca. Cortes nie rozumie, co się dzieje, nie zna kontekstu kulturowego, dostaje torsji, jak zresztą wszyscy jego ludzie. Jest przerażony. Dlatego pisze do króla Hiszpanii: „Przyślijcie broń i posiłki, musimy to powstrzymać, trzeba ich wyróżnić”.

Stary Testament jest historią jednego narodu - twierdzi dalej WC. - Narodu wybranego przez Boga. Narodu zdolniejszego od innych i mającego najdłuższą spisaną historię i tradycję na świecie. Jego przedstawiciele potrafią się wszędzie wkręcić i sprawić, że cały świat staje się ich własnością. Wszyscy siedzą im w kieszeni, ale w końcu przecież sami tam wleźli - śmieje się WC. - W Starym Testamencie ten wybrany naród dostaje prezenty w rodzaju: „macie się zbuntować faraonowi, a ja was za to suchą nogą przeprowadzę przez morze”, „macie iść na pustynię, a ja was będę karmił manną z nieba”, „macie skopać tyłek plemionom pogańskim, a ja wam od-





Happening za happening. Figura Jana Pawła II przywalona meteorytem. WC przykrywa ciało całunem.
Galeria Zachęta – 2000, fot. Michał Sadowski

dam ich ziemię we władanie". Nie przypadkiem Biblia jest najpopularniejszą książką w historii ludzkości.

Oj, z takimi poglądami to WC podkłada się po całości. Czci Stary Testament. Nowy przyjmuje, ale nie pojmuje. Czyż to nie jest stuprocentowy wychrzt?

Kiedyś Leszek Bubel opublikował listę Żydów polskich, na której umieścił także Wojciecha Cejrowskiego. Na to WC napisał do Bublę list z uprzejmą prośbą o przysłanie dokumentów, które potwierdzają jego żydowskie pochodzenie.

Gdybym miał dobre, mocne papiery albo jakiegoś cadyka w rodzinie - tłumaczy WC na swojej stronie www.cejrowski.com - to dopiero mógłbym porządnie pozarabiać. Świat finansjery stanąłby otworem. Obiecałem Bublę, że jako udokumentowany parch udzielę mu wywiadu do tej jego antysemitycznej gazety i opowiem wszystko, co zechce. Niech tylko przysła papiery i powie, gdzie je wyszperał. No ale Bubel nic mi nie przysłał, więc sam jest parch. A wielka szkoda.

WC nie ukrywa swoich korzeni. Jest krwi szlacheckiej - de Na-varra - a w dodatku „genetycznie Żydowina”.

I traktujcie WC jak sobie chcecie, co by go to miało obchodzić. Przecież dla niego najważniejsze są kategorie „Polak” i „katolik”, a reszta to, jak sam mówi, *nieistotna etnografia*.

Trudno odpowiedzieć na pytanie, jaki WC ma stosunek do Żydów. Taki sam, jak do Indian - jak trafi na chama, to go nie znosi, jak trafi na milutkiego - to go lubi. Adama Michnika nie cierpi *za poglądy polityczne, za to, co robi Polsce*, a to, czy on Żyd, czy nie, to dla WC *nieistotna etnografia*.

DOM

Dzięki honorariom z programu „WC kwadrans” zaczął budować dom, co trwało dobrych kilka lat. Ma w nim teraz firmę, ale też wynajmuje sporą jego część na biura. Niektórzy odwiedzający pana

Cejrowskiego nazywają ten budynek domem Gargamela, gdyż co jakiś czas pojawia się nowa przybudówka, kolejny garaż czy też powiększony jest następny fragment poddasza.

Rozpoczynając budowę WC skrupulatnie wykorzystał obowiązujące wówczas przepisy, dzięki czemu zebrał więcej odpisów budowlanych niż Włodzimierz Cimoszewicz. Z góry zakładał, że każda ustawa napisana przez SLD miała przynieść przede wszystkim korzyści ludziom tej partii. Zdjął zatem swoje okulary katolickie i założył okulary postkomunistów. Przeczytał uważnie ustawę budowlaną skonstruowaną przez fachowców z SLD, pogadał z kilkoma budowlancami, żeby się dowiedzieć, co i jak aktualnie budują znani w okolicy komuniści, i wziął na budowę swojego domu siedem odpisów. Wprawdzie prawo dopuszczało sześć, ale wyszukał odpowiedni kruczek, dzięki czemu okazał się większym cwaniakiem od komuchów.

Chcąc być w zgodzie z ustawą, musiał rozbudować dom o jedno piętro, by wykazać, że buduje apartamentowiec. Wykorzystał odpisy, a po pięciu latach, zgodnie z prawem budowlanym i skarbowym, zmienił koncepcję i przekształcił budynek z apartamentowca w jeden duży lokal. Teraz ma dom o dużym metrażu, na który wziął siedem odpisów.

WC żałuje, że nie urodził się w Ameryce. Tam nie trzeba wyszukiwać luk w prawie, bo szansę dostaje każdy. Natomiast Europa nie daje szans nikomu, poza wybrańcami. Dlatego WC jest nie tylko tu, ale też tam, tam prowadzi interesy, tam przenosi oszczędności, a jeśli tu coś zarobi, to inwestuje po drugiej stronie Atlantyku, bo tam jest wyższa stopa zwrotu i niższe podatki.

WC kocha robić biznesy w Stanach Zjednoczonych, gdzie nie ma całego tego użerania się, które jest tutaj. Tu trzeba kombinować, przechytrzać system, dostawać zezwolenia i zaświadczenia, tam - nirwana, życie wśród aniołów. Jako dwudziestoparolatek pojechał do Nashville, w stanie Tennessee, wszedł z ulicy do najmniejszego banku w mieście i powiedział, że chce otworzyć firmę, która będzie sprowadzać artystów country z Ameryki do Mrągowa. Zapytał, ile jest wart jego pomysł. Okazało się, że dla małego banku jest coś wart. Załatwili mu rejestrację firmy, załatwili konto w tym banku, załatwili małe biuro w Nashville i opłacili se-

kretarkę na rok, a do tego podjęli się prowadzenia ksiąg za niewielką opłatą. Powiedzieli:

- Chcemy tylko, żeby wszystkie transakcje, które pan wymyśli, przechodziły przez nasz bank.

Przez osiem lat WC sprowadzał potem do Mrągowa artystów na Piknik Country, robiąc przelewy przez ten właśnie bank. Tam też deponował całe swoje amerykańskie dochody. Dobry biznes dla obu stron.

A w Polsce? WC poszedł do banku i powiedział, że ma posesję w stanie surowym wartą pół miliona i potrzebuje 15 tysięcy dolarów, żeby zrobić tam magazyn pod wynajem. Miał już klienta, który chciał wynajmować tę posesję nawet w stanie surowym, ale oczywiście za wykończoną dałby więcej czynszu. Bank powiedział, że WC nie kwalifikuje się do kredytu, do pożyczki ani do niczego, gdyż nie ma etatu i stałej pensji. Pensja WC rzeczywiście wynosiła zero, bo on zawsze żył wyłącznie z honorariów. A dla polskich banków liczy się pensja, na którą kredytodawca może wejść, a nie realne dochody. W Ameryce funkcjonują małe banki prowincjonalne, rodzinne, i dla nich sam pomysł jest wartością. Ty dajesz pomysł, oni dają kasę i w ten sposób zarabia się pieniądze.

Zacytujmy w tym miejscu fragment pracy licencjackiej WC, jaką obronił w czerwcu 2010 roku na wydziale socjologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

W Paragwaju wszystkie sprawy urzędowe załatwia się sprawnie i szybko w zamian za niewielką łapówkę, czyli, jak to mówią miejscowi: „una pequena colaboración” („drobną przysługę”), i nikt z tego nie robi problemu, a nawet przeciwnie - urzędnicy zaczęliby być niemili, gdyby człowiek chciał coś u nich załatwić bez płacenia. Dzięki tym drobnym opłatom łatwiej jest żyć oraz nie marnuje się czasu na wypełnianie podań i sterczenie w kolejkach. Nikt nie łamie prawa, nikt nie ma poczucia gwałcenia normy - ot, po prostu każdy z każdym ustala w kontakcie bezpośrednim pewne nieoficjalne opłaty.

U nas wysokość opłaty za wydanie zezwolenia ustalona jest odgórnie i nie uwzględnia sytuacji materialnej ani petenta, ani urzęd-

nika. W Paragwaju urzędnik zna petenta, petent zna urzędnika i dogadują się stosownie do okoliczności. Jest to gra, w którą grają wszyscy, a władza ma z tego taki pożytek, że nie musi się przejmować wysokością urzędniczych pensji. Oto kilka przykładów.

Przykład 1. W Polsce nie ma ambasady Paragwaju. Jak więc załatwić wizę? Legalny sposób - za pośrednictwem ambasady w Szwajcarii - jest skomplikowany i kosztowny. Ale po co sobie zawracać głowę ambasadą, skoro można po prostu dać urzędnikowi na granicy „una pequeña colaboración”, a on nam za to wpisze do paszportu, co tylko chcemy. I nikt w głębi kraju tego nie będzie kwestionował, bo każdy rozumie, że urzędnik na granicy pobrał opłatę i wykonał usługę.

Czy to korupcja? Z europejskiego punktu widzenia tak, ale patrząc na to w Paragwaju mamy poczucie, że ten typ „korupcji” zwiększa zakres swobód obywatelskich.

Przykład 2. Gdy komuś w Paragwaju potrzebne jest prawo jazdy, to po prostu idzie do urzędu gminy i je kupuje. Nikt nie zawraca sobie głowy kursami i egzaminami - teoretycznie są wymagane, ale w praktyce wystarcza „una pequeña colaboración”. A potem jeździj, człowieku, na własną odpowiedzialność - jak się zabijesz, to twoja sprawa, jesteś dorosły. Jak zabijesz kogoś innego, to z kolei jego sprawa - on też jest dorosły i mógł uważać. A jeśli nie jest dorosły, to uważać mają rodzice, ale na pewno nie państwo! Mnie to odpowiada, choć rozumiem i szanuję odmienne opinie w tej kwestii. Statystyki pokazują, że kupowanie prawa jazdy bez egzaminu zwiększa bezpieczeństwo - na drogach w Paragwaju nikt nie ma do nikogo zaufania, a więc wszyscy jeżdżą o wiele ostrożniej niż w Europie, gdzie każdy zakłada, że pozostali uczestnicy ruchu drogowego potrafią czytać znaki i stosują się do przepisów.

W Paragwaju zawsze spodziewamy się, że ktoś będzie wyprzedzał pod górkę na trzeciego przy podwójnej ciągłej. W Polsce jesteśmy czymś takim zaskoczeni i zdenerwowani. Paragwajski sposób zdobywania prawa jazdy poprzez kupowanie go wprost w urzędzie wydaje się równie dobry, jak polski system polegający na szkoleniach i egzaminach.

Zresztą egzaminowanie kierowców nie miałoby w Paragwaju sensu, bo tam nie obowiązują przepisy ruchu drogowego. Owszem,

kodeks drogowy jest, ale od czasu, kiedy go uchwalono, nikt go nie czytał. Reguły ustala się na bieżąco w trakcie jazdy. Paragwajscy kierowcy po prostu negocjują ze sobą zasady ruchu i pierwszeństwa.

Pan Cejrowski przez dziewięć lat nie płacił ani grosza podatku, a przez ten czas wybudował dom na warszawskim Żoliborzu, kupował ziemię, jeździł na wyprawy i inwestował. Do tego raz bezczelnie wykazał, że nadpłacił 470 złotych. W końcu skarbowka przysłała urzędnika.

- Chce mi pan wmówić, że przez dziesięć lat firma przynosi same straty? A ten dom z czego się wziął?

- To jest, proszę pana, dom należący do firmy. Ja nie mam żadnego domu.

- I pan jest jedynym właścicielem tej firmy, tak?

- Tak jest. I to wszystko należy do firmy.

- I firma od dziesięciu lat nie generuje żadnych zysków, tak?

- Tak, wszystko jest do wykazania. Od dziesięciu lat firma przynosi same straty, jest na granicy bankructwa.

- A te samochody?

- Służbowe. Tutaj nic do mnie nie należy.

- Tak? A tu firma sfinansowała panu czteromiesięczny wyjazd do Meksyku, żeby pan na plażach leżał.

- Firma Anaconda, proszę pana, zamówiła u mnie książkę. Zbieram materiały.

- Kiedy ukaze się ta książka?

- Nie wiem. Za dziesięć lat, za dwadzieścia, aż się napisze. To wszystko są zgodne z prawem skarbowym inwestycje firmy Anaconda w moją książkę, którą ja albo kiedyś napiszę, albo oddam firmie poniesione nakłady.

WC tłumaczył urzędnikowi, że w kodeksie handlowym jest napisane jak wół, iż zadaniem prezesa spółki jest działanie na korzyść tej spółki. Działaniem na korzyść spółki jest zaś zwiększanie jej rentowności. Z kolei każdy podatek jest kosztem, który tę rentowność zmniejsza, a jednocześnie nigdy nie generuje żadnych przychodów. Z punktu widzenia spółki, po-

datek to pieniądze wyrzucone w błoto. A zatem: każdy dozwolony prawem sposób na uniknięcie opodatkowania jest statutowo przypisanym OBOWIĄZKIEM prezesa spółki. WC zapytał urzędnika, *co* państwo polskie zrobiło dla spółki Anaconda za te pieniądze, które miał zapłacić. To, że się utrzymuje wojsko i policję, która zapewnia spółce bezpieczeństwo, to ogólne farmazony, a WC chciałby wiedzieć, jaki konkretny przychód ma od państwa spółka Anaconda w zamian za podatki, których chce państwo. Kontrola trwała dwa tygodnie - papiery spółki okazały się w porządku.

WC chętnie płaciłby podatki, gdyby były w biblijnej wysokości „dziesięciny”, a nie tak wysokie, jak teraz. Każdy podatek wyższy od 10 procent jest sprzeczny z jego religią. A poza tym nie powinno się karać dwa razy za to samo i na podobnej zasadzie nie powinno się nakładać dwa razy podatku od tego samego - raz od działalności gospodarczej, a drugi raz VAT-u.

To nie jest tak, że WC lubi kombinować. Wolałby nie kupować prawa jazdy, tylko jeździć bez niego. Odpowiadałby mu taki system, że jak umiesz jeździć, to po prostu jeździsz i już. Bo *co* to w ogóle znaczy „prawo jazdy”? To tak jak „prawo do chodzenia”. Absurdalnym wymysłem jest też karta rowerowa albo karta pływacka.

WC uważa, że zapory prawne, które są stawiane obywatelom w Polsce, i tak zawsze jakoś pokona, chociażby przez stary żydowski trick „przenosimy się w inne miejsce”. Jeżeli tutaj się nie da żyć, to nasza Ziemia Obiecana będzie w innym kraju. Szkoda tylko, że Polska wypływa swoje najbardziej aktywne jednostki za granicę.

Gra z przeciwnościami czasem może być interesująca. Jeśli system jest opresyjny, a my, jak Harry Houdini, uwalniamy się z kłódek i łańcuchów, to po wszystkim możemy jeszcze o tym opowiedzieć podczas występów. Kiedy robi się biznes, to WC jest na nim całkowicie skupiony. Kiedy na drodze do realizacji zadania biznesowego stoi jakiś biurokratyczny plot, to WC szuka obejścia tej przeszkody. Najpierw go cieszy, że udało mu się pokonać biurokrację, a potem, kiedy ma *stand-up* i jest już w innej przestrzeni, to cieszy go opowiadanie o tych perypetiach biznesowych. Dwie *rzeczy* złączone scenariuszem, ale kompletnie różne.

GRINGO NA PAPIERZE

Jako małe dziecko WC przechwalał się babci, że nigdy nie pójdzie do komunistycznego wojska, a za to będzie jeździł po całym świecie i strzelał do tygrysów. Potem zaś opisze swoje przygody, a ludzie będą kupowali jego książki. Po latach, gdy był na życiowym rozdrożu po zdaniu matury, babcia przypomniała mu tamte marzenia z dzieciństwa.

- Wojtuś, a pamiętasz jak mi opowiadałeś, że zostaniesz wielkim podróżnikiem, że objedziesz świat, że będziesz polował na tygrysy, a potem napiszesz o tym książki? Pamiętasz to jeszcze, wnusiu?

- Pamiętam, babciu.

- A zrobiłeś coś w tej sprawie?

- Zrobię. Na razie nie poszedłem do komunistycznego wojska i to było najtrudniejsze, babciu. Reszta będzie prosta.

Dwadzieścia lat później WC został jednym z najpopularniejszych w Polsce pisarzy-podróźników oraz piątym Polakiem przyjętym do Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie. Przy tym jako trzeci w historii Polak - po Pawle Edmundzie Strzeleckim i Jacku Pałkiewicz - otrzymał status członka rzeczywistego (fellow) tego Towarzystwa.

W 2001 roku WC miał skończoną książkę „Gringo wśród dzikich plemion”. Wreszcie był naprawdę zadowolony z tego, co napisał. Szczególnie, że nie był to kolejny pamflet polityczny tylko książka podróżnicza i to taka, jaką sam, jako dziecko, chciałby przeczytać, gdyby podobna wpadła mu w ręce. Wcześniej własnym sumptem wydał dwie książki o przygodach w dżungli: w 1997 roku „Podróżnik WC” (sprzedano dziesięć tysięcy egzemplarzy), a rok później „WC na końcu Orinoko” (pięć tysięcy). Dziś nie jest z nich zadowolony. Raczej z formy niż treści, bo *Orinoko opisuje bardzo fajną historię, tylko teraz bym ją opowiedział używając lepszych narzędzi*. WC przerobił już trzy czwarte tej książki i na pewno ukaże się ona w nowej formie, tyle że pod współczesnym tytułem w rodzaju „Gringo na końcu Orinoko”. Na wydanie

nowej wersji książki, jak twierdzi WC, jeszcze nie nadszedł biznesowy czas.

Na czym polegała różnica między wcześniejszymi książkami podróżniczymi, a „Gringo wśród dzikich plemion”? Tamte WC pisał z głowy, odtwarzając historie zapamiętane podczas swoich wypraw. To były klasyczne reportaże. Ta natomiast stanowi tłumaczenie historii zapisanych po hiszpańsku w podróżniczych notatnikach WC.

- Gdy podczas wyprawy przydarzy mi się fajna przygoda, to ja natychmiast zapisuję - wyjaśnia. - Po hiszpańsku, bo tak jest szybciej. Wszyscy wokół mnie mówią po hiszpańsku, więc notatki też robię w tym języku.

Oryginalne hiszpańskie dialogi przetłumaczone na język polski spowodowały, że postacie nabrały zupełnie innego życia. Czytając „Gringo” slychać tembr ich głosu. Wiadomo, że jeden z bohaterów sepleni, drugi mówi tylko wyrazy z brzęczącym „r” w środku, a trzeci niegramatycznie buduje zdania. Poza tym warsztat pisarski WC wyraźnie się rozszerzył, a przez to jego wyobraźnia otrzymała bezlik nowych środków wyrazu. I to dotyczyło nie tylko doboru słów, narracji, ale i całej konstrukcji samej książki. Co ważne, język pozostał przystępny i zrozumiały nawet dla nie obeznanego z tematem czytelnika. A z tym nie było tak łatwo, gdyż WC ma dysleksję - wolno czyta, wolno pisze, a pisząc, od zawsze sady kuriozalne błędy ortograficzne oraz przestawia litery w słowach, czasem nawet we własnym nazwisku. W podziękowaniach do „Gringo...” napisał:

Pamiętam taki telefon od pani korektorki: panie Wojtku, czy kiedy pan pisze słowo „ruże” na stronie piątej, to chodzi o hydraulikę czy ogrodnictwo, bo z kontekstu nie wynika?

Znając wartość „Gringo...”, WC chciał dotrzeć do wszystkich księgarń, a do tego potrzebny był mu wydawca mający dobrą sieć dystrybucyjną. Przez prawie dwa lata próbował sprzedać książkę któremuś z dużych wydawnictw. Bezskutecznie.

Byłem w paru miejscach, zostawiłem oprawione wydruki, obiecywali, że oddzwonią zaraz po niedzieli albo po Nowym Roku... - napisał w posłowie do książki WC. Często słyszał od osób odpowiadających za politykę wydawniczą: Jeszcze żeby to była książka polityczna, to byśmy się zastanowili, ale podróżnicza do pana w ogóle nie pasuje, tak jak pan nie pasuje do nas.

- Darek Raczko, szef „National Geographic” i mój koleżka ze studiów - opowiada WC - patrząc mi głęboko w oczy powiedział: „Najpierw musisz się zdecydować, czy ty jesteś kowboj czy podróżnik”.

- Powiedz Wałęsie, żeby się zdecydował, czy jest elektryk, czy polityk - odpalił. - A potem jeszcze powiedz Paderewskiemu, żeby się zdecydował, czy jest artysta, czy działaczem niepodległościowym. Wtedy ja się zdecyduję, czy ty jesteś głupkiem, czy tchórzem.

Był rok 2002, czyli siedem lat po usunięciu „WC kwadransa”, a banicja wciąż obowiązywała - warszawski Salon nie wpuszczał „faszysty”.

W końcu WC zawiózł tekst do wydawnictwa Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum”, w którym drukował swoje wcześniejsze książki. Kiedy siedem lat wcześniej przyszedł ze zleceniem wydrukowania pierwszej - „Kołtun się jeży” - to maszyny były przestarzałe, a w związku z tym ceny niekonkurencyjne. Ot, była to niewielka drukarnia diecezjalna, służąca potrzebom kurii. Mimo to WC powiedział:

- Drukujcie na starych maszynach i niech mnie to kosztuje, ile musi kosztować, ale potem, za pieniądze, które dostaniecie z tej książki, macie kupić nową maszynę.

Po sukcesie „WC kwadransa” było jasne, że pierwsza książka Cejrowskiego sprzeda się w ogromnym nakładzie. Ostatecznie było to ponad 100 tysięcy egzemplarzy. No i w rezultacie kupili nie jedną, ale kilka maszyn.

WC lubi robić interesy w ten sposób, bo „swoich trzeba wspierać”. Drukarze w Pelplinie pamiętają, skąd się u nich wzięły pierw-

sze nowoczesne maszyny, więc WC może teraz do nich zadzwonić z drugiego końca świata i dogadać się telefonicznie na wszystko - wiedzą, że jak wróci do kraju, to zapłaci.

Wydrukowanie książki to jedna sprawa, ale rozprowadzenie jej po księgarniach w całej Polsce, to zupełnie inne przedsięwzięcie. Kiedy WC przyszedł do „Bernardinum” z „Gringo...”, to była mała firma zajmująca się wydawaniem i sprzedażą książek religijnych, albumów o historii sztuki i reprintów starodruków. Działalność niszowa, głównie w dystrybucji kościelnej. Literatura popularna nie znajdowała się w ich polu zainteresowania i dlatego „Gringo...” przeleżał tam dobre pół roku. Aż pewnego dnia Zygmunt Skibicki, zajmujący się dystrybucją, zachorował na gripę. Nie miał w zasięgu ręki niczego do czytania i z konieczności sięgnął po manuskrypt „Gringo...” Nie mógł się oderwać, dopóki nie skończył całej książki. Kiedy wyzdrowiał, natychmiast poszedł do dyrektora Tadeusza Serockiego i przekonał go, by „Bernardinum” wydało książkę pana Wojtka. Natychmiast!

BERNARDINUM

Wydawnictwo „Bernardinum” - Wydawnictwo Wyższego Seminarium Duchownego „Bernardinum” zostało powołane w kwietniu 1993 roku na mocy dekretu biskupa diecezjalnego, Jana Bernarda Szłagi. Jest ono kontynuacją pracy Zakładu Małej Poligrafii, założonego w 1979 roku z inicjatywy ówczesnego rektora WSD, ks. dra hab. Jerzego Buxakowskiego. Drukowano w nim przede wszystkim seminaryjne podręczniki oraz lekturę pomocniczą dla studiujących alumnów. Drukarnia wydawnictwa seminaryjnego drukowała nie tylko książki, ale również czasopisma o zasięgu ogólnokrajowym. Nigdy nie zapomniano też o macierzystej uczelni, dla której wydawane były m.in.:

rocznik naukowy „Studia Pelplińskie” oraz pismo dla kleryków „Spojrzenia”. Druga pelplińska oficyna - Wydawnictwo Diecezjalne - powstało 15 kwietnia 1987 roku, kiedy to ówczesny biskup chełmiński, Marian Przykucki, powołał Zakład Poligraficzny Diecezji Chełmińskiej i Wydawnictwo Kurii Biskupiej Chełmińskiej. Na dziesięcioletni dorobek Wydawnictwa Diecezjalnego złożyły się 52 publikacje książkowe, z czego połowę stanowiły pozycje o treści ściśle religijno-liturgicznej. Pozostałe związane były z historią, historią sztuki, socjologią czy pedagogiką - zawsze powiązane jednak z dziejami Kościoła. Z dniem 1 stycznia 1998 roku*, w wyniku wydanego dekretu Biskupa Pelplińskiego, powstała nowa oficyna - Wydawnictwo Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum”, stanowiące efekt połączenia Wydawnictwa Diecezjalnego z Wydawnictwem Wyższego Seminarium Duchownego „Bernardinum”.

(Ze strony wydawnictwa: www.bernardinum.com.pl)



* Do tego dnia w „Bernardinum” wydrukowano ponad 100 tys. egz. książki „Kołtun się jeży”. Przychody z tej książki stanowiły kapitał założycielski nowego wydawnictwa.

„Gringo...” był przez WC pod każdym względem dokładnie przemyślany. Również graficznie. Wojciech Franus ułożył 106 barwnych fotografii w przepiękne cykle, a WC wybierał dla nich miejsca w książce. Zrobił wydruk całości na domowej drukarce i zaniósł do „Bernardinum”. Okazało się, że nie da się drukować tak, jak sobie wymyślił, bo zwykły papier książkowy nie przyjmie zdjęć bez utraty ich jakości.

- Zdjęcia kolorowe się rozleją - powiedział drukarz - i dlatego lepiej dać czarno-białe.

Tylko że w książce opisującej przygody w dżungli fotografie musiały być kolorowe i to nie podlegało dyskusji. Jedynym wyjściem były kredowe wszywki, ale wtedy zdjęcia byłyby nie w tych miejscach, w których WC je sobie wymarzył. Kazał więc policzyć, ile będą kosztowały takie wszywki, a ile druk całej książki na kredzie. Okazało się, że różnica wyniosła kilkanaście groszy, co w efekcie zwiększało cenę „Gringo...” w sklepie o złotówkę. Nie tylko szkoda było oszczędzać, ale też sami drukarze się zachwycili, że ktoś ich zmusił do liczenia, bo do tej pory po prostu zakładali, że całość na kredowym papierze jest dużo droższa. Wyszło na to, że owszem, kiedyś była dużo droższa, ale czasy i ceny papieru się zmieniły. Zmieniły się też proporcje między ceną materiałów a robocizny.

Książka „Gringo wśród dzikich plemion” ukazała się w połowie 2003 roku i wprawdzie otrzymała „Bursztynowego Motyla” - nagrodę im. Arkadego Fiedlera dla najlepszej książki podróżniczej roku - ale jej początkowa sprzedaż nie zapowiadała, że będzie to jeden z bestsellerów dekady. Głównym powodem był największy polski sprzedawca, Empik, który nie przyjął książki do dystrybucji, oświadczając, że z autorem „WC kwadransa” nie chce mieć nic wspólnego. Dopiero po dwóch latach obserwowania, ile tej książki sprzedaje konkurencja, Empik się przeprosił i zaproponował współpracę, ale teraz warunki stawiało „Bernardinum”.

W połowie 2004 roku do WC zgłosił się Tadeusz Zysk, prezes z wydawnictwa „Zysk i Spółka”, jeden z największych polskich wydawców, z propozycją wydania książki podobnej do „Kołtun się jeży”. Miałaby być opublikowana w serii Antropos, w któ-

rej ukazały się takie tytuły jak „Koniec historii” Francisa Fuku-yamy, „Umysł zamknięty” Allana Blooma czy „Co znaczy konserwatyzm” Rogera Scrutona. W odpowiedzi WC wręczył prezesowi „Gringo...”. Lektura zauroczyła go i uświadomiła, że książkę WC, która nie została zauważona na rynku przez księgarzy ani recenzentów, bez wahania można porównać do książek popularnego na całym świecie, zapomnianego polskiego przedwojennego podróżnika i pisarza Ferdynanda Ossendowskiego.

Na następnym spotkaniu ze strony wydawcy padła natychmiastowa propozycja:

-Jeśli pan napisze kolejną książkę podróżniczą, to myją chętnie wydamy. Na dogodnych dla pana warunkach.

WC wziął się do roboty. Jako dyslektyk pisał wolno, a jednocześnie bardzo pilnował jakości. „Zysk” się denerwował, napierał, popędział, tracił nadzieję... A WC wciąż odpowiadał:

- Jeszcze niegotowe, bo jeszcze nie jest dość dobre, muszę to do pracować. Ma być przecież lepsze od „Gringo...”.

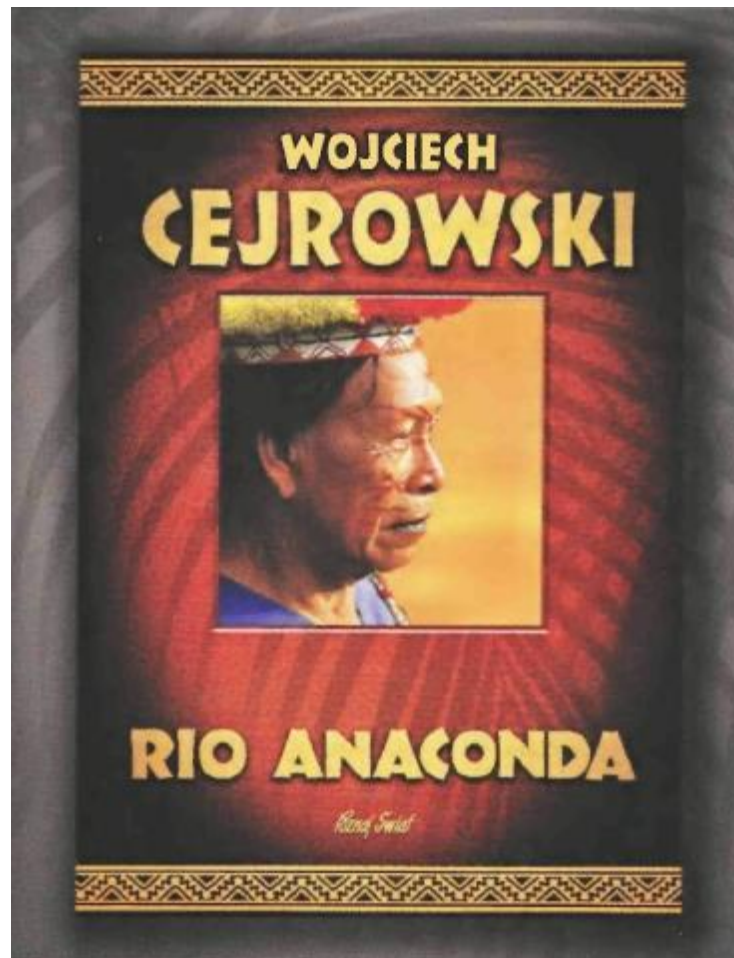
Pewnego dnia zdenerwowany Tadeusz Zysk po raz kolejny zadzwonił do WC i powiedział:

- Mamy już zarezerwowany termin promocji, przygotowaną drukarnię i zapowiedzianą książkę.

To uparte dążenie prezesa do wydania nowej książki wywołało w autorze „Gringo...” wyrzuty sumienia. WC wpadł jednak na pomysł i zaproponował:

- Nowej książki jeszcze nie ma. Ale może by pan wydał książkę Jacka Falkiewicza „El Dorado”? Gwarantuję panu jakość.

I tak wydawnictwo „Zysk i Spółka” opublikowało swoją pierwszą książkę podróżniczą i odkryło polskiemu czytelnikowi nowe obszary.



„Rio Anaconda” ukazała się ostatecznie w 2006 roku, po trzech latach od premiery poprzedniej książki WC. Czy jest lepsza, czy gorsza, trudno zdecydować. One są różne. „Gringo...” to zbiór opowiadań z podróży, natomiast „Rio...” jest powieścią. Nadal opisującą prawdziwe zdarzenia, ale konstrukcyjnie jest to już powieść.

„Rio Anaconda” z miejsca stała się przebojem. W ciągu pierwszego miesiąca rozeszło się 15 tysięcy egzemplarzy, a do końca

czerwcu 2010 roku nakład przekroczył 300 tysięcy. Do tego czasu „Gringo wśród dzikich plemion” znalazł już 330 tysięcy nabywców. WC uważa, że dobrze byłoby sprzedać milion egzemplarzy, bo wówczas jego książki zauważyłby jakiś wydawca amerykański. A dopiero wydanie powieści w Stanach Zjednoczonych uznałby za prawdziwy życiowy sukces.

Popularność tych dwóch książek sprawiła, że WC wraz z „Bernardinum” zainicjował wydawanie serii podróżniczej „Biblioteka Poznaj Świat”. Obecnie do księgarń trafiło już 16 pozycji, w tym wznowienia przeredagowanych książek Tony'ego Halika i Arka-dego Fiedlera oraz premierowe pozycje Kingi Choszcz, Jacka Pał-kiewicza i innych. Cała seria jest bardzo starannie wydawana „pod czułym okiem WC”. Posiada jednolitą szatę graficzną, książki mają twarde okładki i zawierają dziesiątki pięknych zdjęć. Specjalne wydanie „Gringo wśród dzikich plemion” jest nawet nasączone olejkiem o zapachu tropikalnej puszczy, przygotowanym w Instytucie Chemii Żywności „pod czułym nosem Autora”.

WC żyje z „Bernardinum” bardzo dobrze i w kontaktach z wydawnictwem może sobie pozwolić na nieco więcej niż inni. Raz dostał od firmy kartkę świąteczną z choinką i napisem „Merry Christmas and Happy New Year”. Na odwrocie kartki przybita była pieczętka: Wydawnictwo biskupa pelplińskiego „Bernardinum”, ul. Bpa. Dominika 11,83-130 Pelplin. WC natychmiast wysmażył w odpowiedzi maila, w którym zaznaczył, że jeżeli kartkę świąteczną wysyła wydawnictwo katolickie, to nie przystoi wysyłać obrazka z choinką. Zapytał, czy w drukarni nie mogli zrobić kartki ze żłóbkiem i Maryją, i napisem „Podnieś rękę Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą”? Nawet jeśli to miała być kartka biznesowa. Zaznaczył, że opieprza ich po bratersku, bo go to ubodło i źle wygląda.

- Kartka od księdza biskupa - pouczał WC - powinna być, po pierwsze, w eleganckiej kopercie, bo biskup jest księciem kościoła, a nie wójtem gminy Pelplin, po drugie, powinna zawierać tradycyjny ułomek opłatka, po trzecie, powinna ukazywać Boże Narodzenie - na przykład reprodukcję któregoś z licznych obrazów średniowiecznej sztuki sakralnej, wystawionych w Muzeum Diecezjalnym.

Zadzwoił dyrektor wydawnictwa i mówi:

- *Wiesz co, Wojtek, rzeczywiście głupio z tą choinką. I dziwne, że jakoś nikt inny nie zwrócił na to uwagi... Za rok się poprawimy. A WC na to: Wy się poprawcie za pół roku - na Wielkanoc.*

Dyrektor Wydawnictwa „Bernardinum” - Tadeusz Serocki -mówi o WC tak:

- *Wojtek jest trudny i twardy, ale zawsze w konkretnej sprawie. Wymusza jakość, a jakość kosztuje, więc najpierw wszyscy na niego narzekają, a potem oglądamy wyniki finansowe i okazuje się, że najlepiej sprzedaje się właśnie ta jego kosztowna seria. Dziadek Wojtka też był kapitalistą i mówił tak: „Żeby wyjść, trzeba włożyć. Żeby wyjść dużo, trzeba dużo włożyć. I nie wolno się bać, kiedy wkładasz!”*

Pewnie dlatego WC nigdy nie bierze kredytów. Zawsze inwestuje z gotówki, którą już ma. I zawsze tylko tyle, ile może stracić bez żalu, bo wtedy się nie boi ryzyka.

Kiedy zaczęto drukować pierwszy nakład „Gringo...”, wydawca chciał zacząć od trzech tysięcy egzemplarzy*. WC uparł się, że to za mało, że książki nie będzie widać w księgarniach, że zginie na półkach.

- *Dyrektorze, niech pan wydrukuje dziesięć tysięcy.*
- *Panie Wojtku, ale dziesięć tysięcy to jest w Polsce nakład best-sellera...*
- *To będzie bestseller! A poza tym śliczna rzecz na prezent: twarda oprawa, kreda, sztyty grzbiet. Niech pan drukuje dziesięć tysięcy, a to, czego pan nie sprzeda, odkupię od was osobiście przed końcem roku, żebyście nie mieli straty księgowej.*

Miesiąc przed Bożym Narodzeniem dyrektor zadzwonił i mówi:

* Standardowy nakład początkowy w Polsce.

- *Zabrakło książek.*
- *To róbcie dodruk!*
- *Nikt mi do świąt nie sprzeda papieru.*
- *Zapłaćcie więcej, to ktoś sprzeda.*
- *Cena książki skoczy...*
- *O ile konkretnie?!*
- *O... trzy złote.*
- *Nie szkodzi. Kupowali dotychczas po 41, to przed świętami kupią po 44.*

Drugi, droższy nakład, sprzedano w trzy miesiące. Po siedmiu latach banicji spowodowanej „WC kwadransem”, ruszyła druga fala popularności WC.

BOSO PRZEZ ŚWIAT

Gdy WC zewsząd już powyrzucano - usunięto z radia, z gazet i z TV - Andrzej Horubała, jeden z szefów TVP za czasów prezesa Walendziaka, a aktualnie właściciel firmy produkcyjnej „Rewolta”, co pewien czas spotykał się z nim przy kawie. Raz wspomniał, że opowiada się za tym, by w telewizji zrobili z pana Wojtka podróżnika. Czytał „Gringo...”, a zdjęcia z jego wypraw wielokrotnie oglądał. Wojciech zapewnił, że jeśli dostanie kamerę i czas antenowy, zrobi najlepszy polski program podróżniczy. Horubała zapalił się do pomysłu. Początkowo wydawało się, że program trafi na antenę Polsatu. WC był tam doceniony za cykl „Z kamerą wśród ludzi” i z nikim nie miał na pieńku. W marcu 2004 roku ekipa firmy „Rewolta” wyruszyła do Izraela. WC nakręcił dwa odcinki z Ziemi Świętej - jeden z o świątach Wielkanocnych, drugi o Bożym Narodzeniu. Niestety, mało lotna pani redaktor, zamiast wyemitować programy w całości, pocięła je na fragmenty i zrobiła z nich piętnastominutowy skrót nazwany „Co się święci w mej pamięci”, który w żaden sposób nie odzwierciedlał ani gawędziarskiego potencjału WC, ani jego zdolności oczarowywania widzów.

Musiały minąć jeszcze prawie trzy lata, by WC wreszcie otrzymał swój autorski program podróżniczy. Tym razem karta się odwróciła dzięki zmianom politycznym w telewizji publicznej. W maju 2006 roku jej stery przejął Bronisław Wildstein. Na kierowniczych stanowiskach znów pojawili się dawni pampersi i dzięki temu Horubala w końcu przeforsował projekt cyklu podróżniczego z WC w roli głównej. Sam został producentem i reżyserem programu, który zatytułowano „Wojciech Cejrowski - boso przez świat”. Pierwszy odcinek, oczywiście nakręcony w ukochanym przez WC Meksyku, zadebiutował na antenie telewizyjnej Dwójki 7 stycznia 2007 roku.

„Boso...” błyskawicznie trafiło w gusta rodzinnej publiczności, która w niedzielne przedpołudnia gromadnie siada przed telewizorami. To była ta sama publiczność, która oglądała „WC kwadrans”, ta sama, która kupowała pierwsze nakłady „Gringo...”, to była ulubiona przez WC prowincja Rzeczypospolitej. Warszawski salon nadal patrzy! niechętnie.

Nowe, telewizyjne wcielenie Cejrowskiego było całkowicie inne od tego, jakie prezentował w „WC kwadransie”, „Pięknym i Bestii” czy „Z kamerą wśród ludzi”. Dowcipny, elokwentny, po prostu szczęśliwy WC z pasją opowiadał o tym, *co* kocha najbardziej - o podróżach. Do tego zamiast kowbojskiego, zapiętego pod szyję munduru miał na sobie rozpiętą, kolorową koszulę i krótkie spodenki. Zamiast masywnego kubka dzierzył w dłoniach żółty termos i srebrne naczynie do picia *yerba mate*. Zrzucił z nóg spiczaste buty kowbojskie i przed kamerami stanął boso. Takiego WC widzowie natychmiast pokochali bezgranicznie.

- Gdy idę do telewizji - tłumaczy WC - do programu na żywo, w którym mam pokonać komunistę, to włożę kowbojki. Siadam na brzegu krzesła, jestem czujny, uważny i bojowy. A gdy kręcę „Boso...” mogę się rozluźnić, mogę być nagi i bez butów, bo wówczas będę lepiej przyjęty przez tubylców, którzy też chodzą goło i boso. Tam się dobrze czuję. Tam jestem u siebie. Tu natomiast jestem obcy, bo moje poglądy to „Ciemnogród”. Tu muszę być stalegotowy do walki o prawa katolika do obecności w mediach i dlatego tu chodzę w kowbojkach, a w Ameryce Południowej boso.





YERBA MATE

Yerba mate, herba mate, mate, erva mate, indiańskie caa mati, caa matę - wysuszone i zmielone (a czasem świeże) liście ostrokrzewu paragwajskiego, z których robi się napar popularny głównie w krajach Ameryki Południowej, a także w niektórych krajach Bliskiego Wschodu (Syria, Liban). Nazwa *yerba mate*, stworzona prawdopodobnie przez jezuitów, pochodzi od hiszpańskiego słowa „yerba” - ziele, trawa i „mati”, co w języku Indian Keczua oznacza tykwę, w której parzy się zioła. Zawartość kofeiny waha się od 0,7 do 2 procent w zależności od gatunku. *Yerba* jest podawana w naczynkach zwanych *mate* oraz *guampa*. *Mate* może być z tykwy, ceramiki lub z drewna. *Guampa* natomiast jest zrobiona z rogu bawolego lub (częściej) krowiego kopyta. Susz wsypuje się w ilości od 1/4 do 3/4 objętości naczynia, a potem doprowadza do odpowiedniego ułożenia zmielonych liści i łożek: naczynie przykrywa się dłonią i odwraca do góry dnem, a następnie parę razy potrząsa. Ma to na celu przesunięcie najdrobniejszych listków w stronę dłoni. Kolejnym krokiem jest ponowne delikatne odwrócenie *mate*, tak aby susz zgrupował się po jednej stronie naczynia, tworząc skos. Po odpowiednim przygotowaniu można już umieścić w naczyniu *bombillę*, czyli metalową rurkę służącą do picia, często posrebrzaną lub pozłacaną, zakończoną filtrem (sitkiem lub sprężynką). Następnie wlewa się wodę, przegotowaną i ostudzoną do 65-80°C. Należy w tym celu odczekać po zagotowaniu wody 10 minut, nie krócej. Pierwsze zalanie wykonuje się małą ilością wody - aby cały susz ją wchłonął. Po pewnym czasie dolewa się wody do pełna. Napar można uzupełniać nawet kilkanaście razy, dopóki nie straci swojej mocy i smaku.

Do wiosny 2010 roku Wojciech Cejrowski był z kamerą na czterech kontynentach oraz wyspach Oceanii. Telewizyjna Dwójka wyemitowała 104 odcinki, w tym 13 zrealizowanych na podstawie archiwalnych programów Tony'ego Halika i Stanisława Szwarca--Bronikowskiego. Od wiosny 2008 roku WC sam jest producentem cyklu „Boso przez świat”.

Do każdego programu telewizyjnego przygotowuje się bardzo starannie. Tak jak w audycji radiowej, najpierw na kartce zapisuje w formie „drabinki” układ tematów. Jednak w trakcie realizacji spontaniczność wypiera wcześniej ustalone pozycje. Zdarza się, że wchodzi z kamerą na bazar i okazuje się, że magia tego miejsca jest tak duża, że zamiast jednego odcinka kręca trzy. Rzeczy spontaniczne, typu „idę drogą i nagle mam ochotę wskoczyć komuś do domu, więc skaczę”, są bardzo częste. WC nie ma przecież podziału na pracę i życie, więc kręcenie programów telewizyjnych stanowi pracę przeplataną przyjemnościami, radosnymi skokami w bok. On sobie robi przerwę, żeby z kimś pogadać, a kamera to kręci i potem okazuje się że taki fragment jest niezbędną częścią kolejnego odcinka, bo opowiada więcej niż wcześniej ułożony scenariusz.

Zmiana wizerunku WC doskonale wpłynęła na jego pozycję w mediach. Zainterесowały się nim nie tylko pisma podróżnicze, ale również magazyny kolorowe. Wreszcie pisano o nim nie jak o ksenofobie, ale intrygującym człowiekiem ciekawym świata. Nikt już nie pytał o przeszłość, tylko o to, jak mu było w dżungli i co tam jadał. WC został odkryty na nowo.

Błyskawicznie rosnąca popularność sprawiła, że po raz drugi został zaproszony do programu Kuby Wojewódzkiego. Przygotował się jak zwykle, starannie rozpisując na kartce wszystkie swoje wejścia: ułożył sobie „drabinkę na Kubę”. Wcześniej obejrzał ostatnie programy Wojewódzkiego, które były już wtedy realizowane dla TVN. Stwierdził, że prowadzącemu siadł intelekt. Stracił dowcip, stracił erudycję i, co gorsza, przestał być zainteresowany swoimi gośćmi. WC uznał, że Wojewódzki prezentuje teraz prawie wyłącznie przekroczenia obyczajowe, które w tym jego programie właściwie przestały być przekroczeniami, a stały się zasadą: „wszystko kręci się wokół dupy”. WC postanowił wyjąć prowadzącemu program z ręki.

W studiu pan Cejrowski najpierw podbił serca publiczności, która na pewno nie składała się z jego sympatyków. Opowiedział o podróżach po dzikich krajach, o spotkaniach z Indianami, ganianiu z dzidą, o tym, że potrafi zabić dzikiego zwierza i z gołymi babami po lesie spacerować... Stworzył obraz fajnego gościa. Potem doprowadził do sytuacji, w której zamienił się z prowadzącym na miejsca - zajął na kanapie miejsce Wojewódzkiego. Siedział jak król i zadawał gospodarzowi pytania, a ten wyl się na krzeselku przeznaczonym dla gościa. Przez osiem minut trwała ta niezręczna dla prowadzącego sytuacja, aż w końcu WC ruchem króla łaskawie pozwolił mu wrócić na swoje miejsce. Miał świadomość, że we własnym programie gospodarz nie może wyjść na kompletną dupę i dalsze przedłużanie tej sceny spowodowałoby wycięcie jej na montażu. Następnie doszło do rozmowy kluczowej. WC ogłosił, że prawdziwy facet nie ogląda „Playboya”, bo potrafi sobie załatwić kobitę w re-alu. Z tego samego powodu prawdziwy mężczyzna nie musi chodzić do burdelu i płacić. Dla WC pornografia i burdele są dla cieniasów. A poza tym pornografia jest szkodliwa

bo kiedy jesz zupę i jednocześnie oglądasz golą babkę w gazecie, to twój organizm nie wie, czy ma się podniecać do współżycia, czy też ma się koncentrować na spożywaniu pomidorowej. I potem, kiedy trafi ci się prawdziwa babka na żywo, to twoja kuśka nie będzie wiedziała, jak reagować.

Po programie młodociana publiczność wylała się na parking i urządziła WC owację połączoną z sesją zdjęciową. Widzowie mówili, że ogólnie nie zgadzają się z nim w kwestiach pornograficznych, ale mimo to szacun, bo jest z niego odważny gość, który ma własne zdanie i przed Wojewódzkim nie spękał. Gospodarz był zmieszany, bo wypadł poza macierz swoich danych i nie bardzo wiedział, co ma z tym zrobić.

WC wiedział, że nagranie będzie przycinane. Dlatego na poboczne tematy mówił mało i starał się mówić nieciekawie. Wszystko po to, by ostatecznie, z braku innego materiału, w programie zostały te bloki, na których mu zależało. 3 czerwca 2007 roku TVN wyemitował program, który był wprawdzie znacznie skrócony, ale

parę rzeczy udało się ocalić. Producent Wojewódzkiego zadzwonił do WC i usprawiedliwił się, że musiał wyciąć fragmenty, w których jego gwiazdor wypadł najślabiej.

Tak jak po pierwszej wizycie w programie Wojewódzkiego WC otrzymał propozycję prowadzenia programu w Polsacie, tak teraz TVN chciał go mieć w swojej ramówce. W roku 2008 ruszył pierwszy, a na wiosnę 2010 miał premierę drugi sezon programu „Po mojemu”, emitowanego przez TVN Style. Jest to autorski program WC dla... kobiet, w którym przybliżył on różnice w postrzeganiu świata przez płcie przeciwne.

WC uważa, że wszelkie występy publiczne, łącznie z tymi w programach informacyjnych, powinny być płatne dla gości programu - tego się nauczył w Ameryce. W Polsce, jeśli nie chce udzielić wywiadu prasowego, to pyta:

- Ile państwo płacą?

I „państwo” wtedy rezygnują, a na dodatek są lekko obrażeni. No ale jeśli WC poświęca komuś swój czas, a ten ktoś sprzedaje pismo i na tym zarabia, to WC też chce dostać kawałek tego tortu.

W TVN mu się udało. Za każdym razem, kiedy przychodzi do „Dzień dobry TVN”, przynosi fakturę. Większość gości występuje za darmo. W Ameryce płaci się za wywiady, bo to jest praca. W Polsce za takie rzeczy płacą wyłącznie WC, bo tylko on twardo mówi:

- Nie rozdaję za darmo tego, czym normalnie handluję.

PRYNCPYPIA

Kiedy wydawało się, że WC w końcu znalazł swoje miejsce, i to zarówno spełniając się jako podróżnik, jak i kochany przez widzów showman oraz wielbiony przez czytelników autor książkowych bestsellerów, na jego nowym wizerunku zaczęła pojawiać się rysa.

4 lutego 2008 roku do kiosków trafił tygodnik „Gala” z wywiadem z panem Wojtkiem. Ta nad wyraz, jak na WC, osobista roz-

mowa zawierała pytanie, które wówczas mogło umknąć uwadze wielu czytelników.

Gala: Wróciłeś do łask. Wszędzie cię pełno: w telewizji, w radiu, na targach książki. Wyjeżdżasz na stałe?

Wojciech Cejrowski: Tak, decyzja zapadła. Czuję się tu coraz bardziej obco. W kraju i w Europie. Europa jest starym kontynentem, zmurszałym intelektualnie i zbiurokratyzowanym. W Ameryce trzeba sobie radzić samemu, a to wyzwala inicjatywę i zaradność.

Ta, z pozoru mało istotna, wypowiedź już niebawem miała wywołać kolejną medialną „zadymę” wokół osoby popularnego podróżnika.

Nieco ponad trzy tygodnie później, w programie telewizyjnym Jana Pospieszalskiego „Warto rozmawiać” dyskutowano na temat kontrowersyjnych sposobów promowania edukacji seksualnej w krajach Europy Zachodniej. Autorzy, przedstawiając program na stronie TVP, informowali:

W publicznej telewizji w Holandii dzieci śpiewają o tym, że fajnie jest mieć dwóch ojców. W Wielkiej Brytanii politycy proponują, w ramach edukacji seksualnej, rozdawanie darmowych prezerwatyw 11-latkom, a jako środek przeciwko ciąży nieletnich także przymusową sterylizację 12-latek. W Polsce uświadamiać seksualnie nasze dzieci chce zacząć SLD.

Tego czwartkowego wieczoru gośćmi „Warto rozmawiać” byli: Janusz Palikot (PO), Joanna Senyszyn (SLD), prof. Aleksander Nalaskowski (pedagog), Joanna Najfeld (publicystka) i Wojciech Cejrowski. Po pokazaniu kontrowersyjnych materiałów filmowych rozpoczęła się dyskusja. WC odezwał się dopiero w osiemnastej minucie programu, w dodatku nie rwał się do głosu sam, tylko wyczekał, aż zostanie poproszony o komentarz:

- Wojtku, czy możesz jakoś skomentować słowa pani profesor Senyszyn - poprosił Jan Pospieszalski.

Wtedy WC przywalił z grubej rury:

- Z głupkami nie warto rozmawiać. Przed głupkami trzeba się bronić.

Nastąpiła ogólna konsternacja, którą próbował załagodzić równie zakłopotany prowadzący. Tymczasem... WC kontynuował swoje wywody:

- Ta grupa, którą reprezentuje pani profesor, została przeze mnie nazwana głupkami i z nimi nie ma sensu rozmawiać. Przed tym trzeba się bronić, trzeba zaatakować takie działania w obronie własnej. Coś takiego nie może istnieć albo wszyscy musimy uciekać. Nie ma sensu dyskutować. Przed tym trzeba się bronić. To jest atak za daleko posunięty. Przed dwoma facetami, którzy wychowują dziecko trzeba się bronić, trzeba im zabierać dzieci, a nie dyskutować, że „może się dogadajmy jakoś”. Tu nie ma pola do dyskusji.

Cale to zdarzenie, które podzieliło widzów na tych, którzy byli oburzeni zachowaniem WC i tych, którzy uznali go za jedyne obrońcę prawdziwych wartości, przez samego pana Wojtkę zostało potem opisane na jego stronie internetowej www.cejrowski.com:

Usiadłem najdalej z prawej strony - taki wizualny sygnał dla widza, że jestem ekstremistą i outsiderem. Bo jestem - ludzie powszechnie uważają, że zawsze warto rozmawiać, a ja uważam przeciwnie. Otóż NIE zawsze warto rozmawiać! Na przykład w kwestiach moralnych nie ma możliwości kompromisu, więc rozmowa jest bezcelowa. W sprawach wiary podobnie - nie ma miejsca na negocjacje. A w kwestiach dogmatycznych czy pryncypialnych nie ma miejsca na ustępstwa. Nie ma z definicji - dogmat właśnie na tym polega, że się go nie dyskutuje, tylko przedstawia.

Dlatego NIE warto rozmawiać ze zwolennikami aborcji czy eutanazji. Z nimi warto WALCZYĆ, ale dyskutowanie nie ma sensu, zaś poszukiwanie kompromisu jest niedopuszczalne. Przecież nie wolno szukać kompromisu z diabłem w sprawie mniejszego zła. Zło to zło. Uśmiercanie to uśmiercanie i nie stanie się bardziej moralne,

gdy otrzyma uzasadnienie prawne, wsparcie autorytetów i oprawę medyczną. Dlaczego więc w ogóle poszedłem do programu, który przecież polega na rozmowie? Poszedłem dać świadectwo sprzeciwu. Wkurza mnie bowiem, gdy propagatorzy dewiacji otrzymują jedną piątą miejsc w programie publicystycznym, podczas gdy reprezentowane przez nich zboczenia to dwuprocentowy margines społeczny. Pani Senyszyn zasiadła w tym programie na jednym z pięciu foteli, czyli zajęła 20% miejsca. Zajęła też co najmniej 20% czasu antenowego. Efekt jest taki, że w oczach widza poglądy przez nią reprezentowane zostały przeniesione z marginesu do centrum i podniesione do rangi równoprawnego sądu. Poszedłem więc do tego programu, by wykrzyknąć swój sprzeciw na takie urabianie opinii społecznej. Z GŁUPKAMI NIE WARTO ROZMAWIAĆ - to powiedziałem. I warto było.

Zapewne niektórzy wielbicieli programu „Boso przez świat” mogli poczuć się skonfundowani. Mielśmy już jednak rok 2008, a nie 1995, więc wielkiego skandalu nie było. Jedyne filmik z rozmowy stał się pewnego rodzaju przebojem na YouTube.

A TAK NAWIASEM (3)

Błazen jest lustrzanym odbiciem króla. Każdy atrybut królewskiego majestatu ma swój błazeński odpowiednik, będący jego dokładnym przeciwieństwem. Z jednej strony absolutna powaga, ciężar odpowiedzialności, rygorystyczna forma i obciążenie znaczeniem każdego gestu. Z drugiej - śmieszność, lekkość, całkowita bezkarność i dzika, spontaniczna, niepodporządkowana żadnym regułom ekspresja. Ta symetria polega na biegunowym odwróceniu sensów i jest widoczna od razu: czapka błazna, której zwisające rogi zakończone są ciągnącymi ku ziemi dzwoneczkami, jest parafrazą korony i jej zwieńczenia - twardego, solidnego i skierowanego ku niebiosom, skąd pochodzi królewska władza.

Kaduceusz, czyli dwa węże splecione dookoła laski ozdobionej skrzydłami, to rekwizyt odziedziczony przez błazna po Hermesie, patronie hermeneutyki, symbolizujący mediację, porozumienie i godzenie zwaśnionych stron (stąd podwójność tego znaku: dwa węże, dwa skrzydła, dwie strony konfliktu). Królewskie berło jest proste, jednoelementowe, kształtem przypomina maczugę. To ikona autorytetu, czyli tej instancji, która ostatecznie zamyka wszelką dyskusję. Obcisły trykot błazna podkreśla jego cielesność i pozwala zobaczyć fizyczny, ludzki kształt. Po drugiej stronie są obejmujące całą postać, sięgające stóp gronostaje: rodzaj kamuflażu skrywającego człowieczeństwo monarchy.

Jednoznaczności sensu, która przysługuje figurze króla, odpowiada ambiwalencja błazna. Z jednej strony królewski trefniś potwierdza majestat, ukazując śmieszność jego zaprzeczenia - nigdzie dostojęstwo monarchy nie uwidacznia się pełniej niż przez kontrast, na tle pajacującego u stóp tronu głupca. Ten obraz ma uzmysławiać wszystkim uczestnikom spektaklu, że anarchia nie stanowi alternatywy dla monarchii, a samo wyobrażenie błazna na tronie jest nie tylko absurdalne, ale i przerażające. Z drugiej - jednak mu zaprzecza. Przedrzeźniając króla, rozmawiając z nim jak równy z równym i jako jedyny pozwalając sobie na żarty z władcy, błazen podsuwa dworzanom niebezpieczną fantazję. Jest wyobrażonym buntem.

Także śmiech, który błazen wywołuje, jest dwojakiej natury. Jeden jego rodzaj to śmiech wywyższający: oglądając jego błazeństwa, jego dziecinne, wręcz zwierzęce, poniżające i nieprzystojące nikomu godnemu szacunku zachowanie, śmiejący się potwierdzają swoją powagę i pozycję, swój nieskończenie górujący nad błaznem status. Śmieją się z niego tak, jak śmieją się z każdej niezagrażającej im w żaden sposób niedoskonałości, z każdego zaburzenia porządku, o ile pozbawione jest realnych konsekwencji.

Z brzydoty, dysonansu, przesady. To podły śmiech uprzywilejowanych: lekceważący, wyniosły, pełen pychy i samozadowolenia.

Równocześnie jednak uczestniczą w jego grze z władzą, śmieją się razem z nim i zostają przez to wciągnięci na chwilę do błazeńskiego świata. Ujawniają w ten sposób swoją niższość wobec siły, która jest przedmiotem kpiny. Śmiech bowiem jest jedyną formą rebelii, na którą mogą sobie pozwolić - taką, którą sankcjonuje monarcha. Rechoczący dworzanie umilkną natychmiast, gdy zobaczą choćby ślad dezaprobaty na królewskim obliczu. A błazen będzie błaznował dalej. Jego nie obowiązują żadne z reguł, które dyscyplinują publiczność.

Błazen ma pełną świadomość swojej roli i doskonale rozumie własną bezsilność wobec absolutnej władzy suwerena. Tak naprawdę obiektem jego ataku nie jest więc sam król - tymi, których naprawdę chce wykipić są poddani, akceptujący swoją niższość mimo liczebnej przewagi. Bezmyślni, tchórzliwi, pielęgnujący w milczeniu swój resentyment, nieprzyznający się przed sobą do tego, że bycie czymś poddanym uwłacza ich ludzkiej godności. Błazen wciąga ich w grę, która ostatecznie ma ich skonfrontować z nimi samymi. Mają zobaczyć swoje wykrzywione śmiechem twarze i ujrzeć na nich grymas niewolnika.

Król, czyli hegemonia pod każdą postacią - polityczna władza, obyczajowy konwenans, kulturowy stereotyp. Ogromny policjant z pałką, goniący chaplinowskiego włóczęgę. Poddani, czyli my wszyscy wtedy, kiedy gramy w grę podporządkowania - głosujemy, płacimy podatki, zachowujemy się „jak należy”, akceptujemy utarte sądy i opinie. Wszyscy cisi i pokorni, którzy nie odziedziczą niczego.

I błazen. Ten, który znajduje się na zewnątrz naszego hierarchicznie uporządkowanego świata i stamtąd, z tego uprzywilejowanego poznawczo i politycznie miejsca, znikąd - wyśmiewa nas wszystkich. (F.J.)

BOOM

Na początku kwietnia 2008 roku w „Dzienniku Polskim” znalazła się kolejna „niewinna” wypowiedź WC:

- Chcę mieć paszporty kilku krajów - dla osobistego bezpieczeństwa i niskich podatków. A więc będę miał ekwadorski, meksykański i amerykański. A unijnego, europejskiego nie chcę! Tu, u was, są najwyższe podatki na kuli ziemskiej.

Uruchomiona w wywiadzie dla „Gali” bomba tykała coraz głośniej.

EKWADOR

Ekwador (Republika Ekwadoru) - państwo w Ameryce Południowej położone nad Oceanem Spokojnym, jedno z czterech powstałych w wyniku rozpadu Wielkiej Kolumbii w 1830 roku. Sąsiaduje od północy z Kolumbią, a od południa i wschodu z Peru. Nazwa pochodzi od hiszpańskiego słowa „ecuador” oznaczającego równik. Do Ekwadoru należą także wyspy Galapagos, będące jego największą atrakcją turystyczną. Zgodnie z konstytucją z 1979 roku (zmodyfikowaną w 1998) Ekwador jest republiką, w której głową państwa jest prezydent będący zarazem szefem rządu, odpowiedzialnym za administrację publiczną. Ekwador należy do grupy krajów stosunkowo słabo rozwiniętych. Gospodarka opiera się na rolnictwie i wydobywaniu ropy naftowej (drugie na kontynencie zasoby, z eksportu ropy pochodzi ok. 40% wpływów dewizowych). Od 10 września 2000 roku obowiązującą walutą jest dolar amerykański. Dochód narodowy w 2009 wynosił 4201 USD na jednego miesz-

kańca. Inflacja w 2009 wyniosła 1,14%. Zadłużenie zagraniczne przekracza 16 mld USD (2004). W Ekwadorze obowiązuje progresywny podatek dochodowy, w 2010 roku posiadający osiem progów:

0% (dochód do 8.910 USD), 5%
(8.910-11.350 USD), 10%
(11.350-14.190 USD), 12%
(14.190-17.030 USD), 15%
(17.030-34.060 USD), 20%
(34.060-51.080 USD), 25%
(51.080-68.110 USD), 30%
(68.110-90.810 USD), 35%
(powyżej 90.810 USD)

Podstawowa stawka VAT to 12% dla większości produktów i usług. Z podatku VAT zwolnione są produkty żywnościowe, sprzęt rolniczy, leki, książki oraz prasa i produkty eksportowe. Dodatkowo usługi objęte zerową stawką VAT to: transport osobowy oraz towarowy, usługi medyczne, elektryczność, woda, wywóz śmieci, ścieki, edukacja, domy spokojnej starości, domy opieki społecznej, usługi religijne i pogrzebowe, druk książek.

W dniu 21 kwietnia, na antenie lokalnego „Radia Wrocław” WC wygłosił kolejny podobny pogląd, tylko tym razem jego wypowiedź zabrzmiała donośniej:

- Więcej wolności jest w Ekwadorze niż w Polsce. Tutaj muszę pytać urzędnika o pozwolenie, gdy chcę wydać pieniądze na budowę domu dla rodziny. Mam tego dość. Wynoszę interesy z Polski.

W trakcie rozmowy z dziennikarką „Radia Wrocław” pan Wojtek podał jeszcze wiele argumentów udowadniających wyższość życia w Ekwadorze nad życiem w Polsce należącej do Unii Europejskiej. Dzień później dyskusja przeniosła się do Internetu. Jeden z internautów był na tyle wstrząśnięty, że na stronie „Podróż na Południe” (www.tierralatina.blox.pl) opublikował tekst zatytułowany „Cejrowski kłamie”. Autor wypunktował merytoryczne błędy w wypowiedziach WC dotyczące Ameryki Południowej. Oto niektóre z nich, a także odpowiedzi WC udzielone rok później, w lutym 2009 roku, w tym samym „Radiu Wrocław”:

Tierralatina: Cejrowski narzeka, że liczba państw, do których Polacy mogą jeździć bez wiz zmalała po naszym wejściu do Unii Europejskiej. Hmm... Ciekawe, jakie to kraje wprowadziły ostatnio wobec Polski obowiązek wizowy? Bo w tak lubianej przez Cejrowskiego Ameryce, zarówno tej Północnej, jak i Południowej, wiza - od pierwszego maja [2008 roku] - będzie nam potrzebna już tylko do Stanów Zjednoczonych, Gujany i Surinamu. I do żadnych innych państw. Bo Kanada wizy już zniosła, a Kolumbia zrobi to za kilka dni.

WC: Ten pan podał konkretne przykłady krajów, które się otworzyły w związku z przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej, ale nie podał krajów, które automatycznie się zamknęły, bo Polska miała z nimi umowę, a Unia już nie ma. Statystycznie się zmniejszyło, jak zliczymy te kraje. Być może pan był zainteresowany innym zestawem krajów.

Tierralatina: Obywatele Ekwadoru potrzebują wiz do ponad 110 państw świata. W tym całej Europy, z Polską włącznie. Nie mogą nawet podróżować wolno po Ameryce Łacińskiej - potrzebują wizy przy wyjazdach chociażby do Meksyku, Panamy, Kostaryki czy nawet na Kubę.

WC: Nie wiem, do ilu krajów Polacy potrzebują wiz, bo to mnie nie interesuje. Po Ameryce Łacińskiej mógłbym jeździć bardziej swobodnie jako Ekwadorczyk, a tylko to mnie interesuje. A jako

obywatel Unii Europejskiej nie mógłbym pojechać np. do Gujany i Surinamu. Z mojego punktu widzenia, a o tym rozmawialiśmy, to ja jestem w lepszej sytuacji jako Ekwadorczyk niż Europejczyk.

Tierralatina: Kto wydobywa tę ekwadorską ropę, panie Cejrowski? Amerykanie? Oto ranking: 1. Petroecuador - państwowy, ekwadorski koncern - 51 proc. produkcji, 2. Repsol-YPF - hiszpański gigant naftowy - 13 proc. 3. Andes Petroleum - spółka kontrolowana przez chiński koncern CNPC -12 proc. 4. Perenco -firma brytyjsko-francuska - 4,9 proc. 5. Agip - to Włosi - 4,7 proc. I gdzie ci Amerykanie, dzięki którym ma się w Ekwadorze zawsze dobrze dziać? Owszem, byli. Ale Oxy, bo o tę firmę chodzi, została wyrzucana z Ekwadoru w 2006 roku, a jej działalność przejęta przez państwowy Petroecuador. A kto jest największym zagranicznym inwestorem w Ekwadorze? Brazylia.

WC: Doskonale, ale tu się nie zrozumieliśmy. Amerykanie wydobywają ropę, to niekoniecznie znaczy, że kapitał tej firmy wydobywczej jest amerykański. Otóż podana tutaj firma włoska Agip jest obsadzona, tam na miejscu, całkowicie przez inżynierów amerykańskich, bo oni tam są bliżej, są zasiedziali wraz z rodzinami, więc cały personel to są Amerykanie. Tych Amerykanów jest tylu, że rząd Ekwadoru stwierdził: zlikwidujemy naszą walutę narodową i zastosujemy dolara amerykańskiego. Nie będziemy drukowali pieniędzy, nie będziemy podlegali inflacjom, bo ta duża waluta ochroni nas przed wahaniami naszej własnej ekonomii. I mnie się podoba, że w Ekwadorze mamy dolara, mnie się to podoba z mojego punktu widzenia, bo ja jeszcze mam majątek w Ameryce, więc mnie akurat jest wygodnie.

Na koniec rozmowy w „Radiu Wrocław” WC stwierdził:

- Nie wdaję się w pyskówki internetowe, ale sprawdzam, co jest napisane. Mam prawo się pomylić i nawet taki bluzgający jadem człowiek może mnie czegoś nauczyć, bo w tej swojej złości może jednocześnie być fachowcem i wytknąć mi, że wałnąłem kakę. I ja się z takiej kaki wycofam z otwartą przyłbicą. Czy to zmienia mój

ogład Ekwadoru? No nie. Chcę mieć paszport ekwadorski, tylko to nie będzie jedyny. Chcę mieć trzy obywatelstwa: meksykańskie, amerykańskie i ekwadorskie, wtedy bezpiecznie będę mógł pozbyć się polskiego.

Od wywiadu w „Radiu Wrocław”, tego pierwszego, z 2008 roku, rozpoczęła się reakcja łańcuchowa. NASTĄPIŁO BOOOM!!!!!!! 22 kwietnia sprawę podchwyciła „Rzeczpospolita”.

Wojciech Cejrowski - znany podróżnik i kontrowersyjny dziennikarz - nie będzie już Polakiem. (...) To protest Cejrowskiego przeciw Unii Europejskiej. Nie podoba mu się, że Polska jest częścią Wspólnoty - napisała gazeta.

Zrzekam się polskiego obywatelstwa i przyjmuję paszport Ekwadoru. Chętnie byłbym obywatelem RP, ale demokratycznie zdecydowano o wcieleniu Polski do Unii Europejskiej, która zniewala człowieka metodami biurokratycznymi. Nie mam więc wyboru. Poza tym w Ekwadorze są fajne podatki - tłumaczy w „Rzeczpospolitej” Cejrowski.

Następnego dnia WC trafił na pierwszą stronę „Dziennika”.

Cejrowski w proteście przeciwko UE emigruje z Polski do Ekwadoru. W ten sposób z komika sam stał się postacią komiczną - napisał w komentarzu Cezary Michalski, dawny pomocnik pana Wojtka z „WC kwadransa”. W środku numeru został umieszczony wielki wywiad z WC, „przeprowadzony” przez Michała Karnowskiego. WC był wówczas w Hiszpanii i, jak twierdzi, zgodził się na wywiad dopiero po powrocie do kraju. Redakcja „Dziennika” zdecydowała się na publikację „nieautoryzowanej rozmowy telefonicznej”. Po powrocie Cejrowski protestował, twierdząc, że wywiad został zmyślony. Karnowski na łamach „Dziennika” oświadczył, że jako dowód wysłał kasetę z rozmową. Ta nigdy do WC nie dotarła.

Na swojej stronie internetowej, www.cejrowski.com, WC zamieścił pod datą 23.04.2008 następujący wpis:

Oświadczam, że nie udzieliłem „Dziennikowi” wywiadu, który ukazał się w dzisiejszym wydaniu. Jestem w Hiszpanii. Z panem Michałem Karnowskim rozmawiałem wczoraj prywatnie przez telefon i umówiliśmy się na wywiad w nadchodzący czwartek - po moim powrocie do Polski. Tekstu p. Karnowskiego nie czytałem, ale z relacji wiem, że jego treść nie oddaje moich myśli ani przekonań. Kwestie mojego wyjazdu do Ekwadoru wyjaśniłem w szczegółach już dwa miesiące temu w dużym wywiadzie, który ukazał się w Gali (luty 2008). Wychodzi na to, że „Dziennik” nie jest gazetą codzienną, tylko kwartalnikiem i nie publikuje newsów, tylko fikcję literacką.

- To szalenie barwne, kiedy facet-prawicowiec mówi, że zrywa z Polską, bo nie chce płacić wysokich podatków - ocenia dziś tamto zajście Cezary Michalski. - To jest tak samo kolorowe jak przed laty pokazanie w telewizji Cejrowskiego deptającego płytę Stanisława Sojki, bo ten zaśpiewał „jesteś moją kokainą”. Kiedy Cejrowski się nakręca, przestaje panować nad tym, co mówi i zbyt łatwo gra pod publiczność. Przy okazji całego zamieszania mogłem zadeklarować swoją różnicę poglądów. Taki tekst nie pozostawia czytelnika obojętnym. Jeden powie, że ja mam rację, a drugi, że to, co piszę, to skandal i zdrada. Dostaliśmy setki maili i listów, w których my, dziennikarze „Dziennika”, byliśmy traktowani jako zdrajcy: różowi, niemieccy li beralowie. I to jest to, co nowoczesna gazeta powinna lubić najbardziej. Niezależnie od tej gry uważam, że zdżirzeniem jest mówienie: państwo to złodziej, a podatek to kradzież.*

Ani Cezary Michalski, ani też inni dziennikarze, komentujący wypowiedzi WC o zmianie paszportu, nie bywali na jego występach, gdzie wielokrotnie ujawniał swój stosunek zarówno do Polski, jak i do Unii Europejskiej i podatków WC daje ich rocznie około pięćdziesięciu na terenie całej Polski, a w roku 2008 wielokrotnie mówił publicznie:

- Polska - moja matka, Meksyk - moja żona. A gdyby popro wadzić tę przenośnię dalej, to jeszcze: Amazonia moja kochanka.

* Wydawcą gazety był niemiecki koncern Axel Springer - G.B.

A zatem Polska to moja Matka i Matki się nie wyrzeknę, choćbym się wyprowadził z domu mamusi i zamieszkał z wybranką serca daleko za oceanem. Przecież większość mężczyzn w pewnym momencie życia wyprowadza się od mamusi. Nie ma w tym nic złego, pod warunkiem, że się o mamusi nie zapomina. Ja nie zapominam - troszczę się o losy ojczyzny, wciąż trzymam tu część interesów, choć są mniej opłacalne niż zagranicą, wracam na wybory...

A czemu chcę zmienić paszport? Czemu nie chcę już mieć polskiego? Chciałbym zatrzymać polski, gdyby on nie był jednocześnie paszportem unijnym.

A co takiego mi przeszkadza w Unii? Jedna rzecz szczególnie, jedna rzecz jest niedopuszczalna, jedna rzecz mnie stąd wygania... Unia co roku przeznaczająca kilka milionów euro na Program Kontroli Urodzeń w Chinach. Między innymi z naszych podatków finansowany jest ten program. A na czym on konkretnie polega? Chińska kobieta, która zaszła w drugą, a co za tym idzie, zakazaną przez prawo ciążę, jest zobowiązana dokonać aborcji. A jeśli tego nie zrobi? Kiedy ktoś na nią doniesie, pod dom przyjeżdża karetka policyjna. Kobieta jest wywieziona z domu przemocą, przewożona do szpitala i tam siłą dokonuje się aborcji. Kobieta się wrywa, więc ją przypinają pasami do stołu zabiegowego, kobieta krzyczy, więc ją kneblują lub dają jej zastrzyk uspokajający, a potem jakiś felczer wbrew jej woli, przemocą wprowadza łyżkę chirurgiczną do macicy i dokonuje tzw. „skrobanki”. Drastyczna scena? Drastyczna! Bo to jest scena gwałtu. Gwałciciele mają lekarskie fartuchy i wszystko odbywa się w jakimś gabinecie, ale jest to gwałt!!! Takie właśnie gwałty finansuje Unia Europejska, przekazując moje podatki na Program Kontroli Urodzeń w Chinach. Jako katolik jestem ZOBOWIĄZANY unikać finansowania tego procederu. Jedyne sposoby, jaki mi na razie przyszedł do głowy, to po pierwsze, głośno o tym opowiadać, a po drugie, nie płacić podatków w Unii, by one potem nie szły na takie zbrodnie. Dlatego właśnie szukam sposobu, by zrzec się obywatelstwa Unii. Ale NARODOWOŚĆ polską przecież zatrzymam, bo to się ma z urodzenia, z krwi przodków. I proszę mi nie wmawiać, że brak polskiego paszportu to niepatriotyczne. Paderewski był formalnie obywatelem zagranicznym, Boniek był obywatelem włoskim, Mrożek meksykańskim, Pszoniak, Seweryn i Polański to obywatele francuscy, a papież

Polak miał paszport dyplomatyczny Watykanu. Ważne, gdzie serce twoje, ważne, jaki kraj masz w duszy, a nie -jaki wpis w papierach.

HOMOFOB

Minął prawie rok od „afery ekwadorskiej” i WC znów wrócił na łamy gazet codziennych - tym razem jako homofob.

25 marca 2009 roku przyjechał do Lublina na zaproszenie Akademickiego Klubu Myśli Społeczno-Politycznej „Vade Mecum”. Dzień później lubelska prasa cytowała z oburzeniem wypowiedzi WC. Jedna z nich natychmiast obiegła media w Polsce:

- Pederasta wzbudza obrzydzenie u zdrowego mężczyzny, ale także w oczach Boga. Dlatego my, katolicy, mamy obowiązek wytykać pederastów palcami, jeżeli to im uratuje duszę przed potępieniem. Chodzi o stałe, nieustępliwe potępienie grzechu sodomskiego, którego oni się dopuszczają.

Środowiska gejowskie natychmiast skierowały sprawę do prokuratury, gdyż według nich w tej wypowiedzi Wojciech Cejrowski nawoływał do nienawiści wobec mniejszości seksualnej. Prokuratura była jednak innego zdania. Homoseksualiści skierowali wówczas sprawę do sądu. Ten jednak podtrzymał stanowisko prokuratury i uznał, że publiczne wyrażanie takich opinii nie jest przestępstwem.

Innego zdania był Cezary Michalski, który 29 marca na łamach „Dziennika” napisał:

W latach 90., kiedy Pospieszalski rozpoczynał, podobnie zresztą jak Cejrowski, swoją katolicką i konserwatywną kontrrewolucję, byłem razem z nimi. (...) Od czasów „WC kwadransa” Cejrowskiego czy „Swojskich klimatów” Pospieszalskiego minęło jednak kilkanaście lat. Strachy katolickich konserwatystów w niczym się nie spełniły. Polską nie rządzą lewacy i geje, ale dwie prawicowe partie: jedna nieco bardziej liberalna, druga nieco bardziej narodowa. Kościół nie jest uciskany, ale sam jest największą społeczną siłą. Praktycznie jedyną, z którą rządzący się liczą. Istnieją silne katolickie media - „Radio Maryja”, „TV Trwam”, „Nasz Dziennik”. A „Gazeta Wyborcza” -

szczególnie po odejściu Michnika i Łuczywo - staje się pomalą jedną z wielu gazet dla poczciwych polskich mieszczan. Czy to jest moment, żeby obrażać homoseksualistów, popisywać się swoim zdzičeniem i wulgarnością, sugerować, że zdzičenje i wulgarność to cechy rozpoznawcze całej katolickiej większości? Czy to ciągle jeszcze jest heroiczna walka z przeważającymi siłami osaczającego lewackiego wroga, czy raczej zachowanie klasowych sadystów, którzy, żeby poprawić sobie samopoczucie, znęcają się nad słabszym kolegą?

- Kiedy widzę Cejrowskiego, który chce oddać polski paszport - tłumaczy mi dziś Cezary Michalski - mówi, że nie chce płacić podatków i wypisuje się z tego państwa, że za te pieniądze kupi dziurę w ziemi, która będzie miała wartość dla jego dzieci, i nikomu nic nie da, to ja wtedy piszę, że to jest zdzičenje. Ale my wszyscy z tego pokolenia jesteśmy zdzičili. W tę samą postawę wpisuje się Manuela Gretkowska z Beą o pięciu lechtaczkach. Radek Sikorski, który jako licealista wyjeżdża do Oksfordu i przeżywa wśród tych wszystkich arystokratów, snobów. Opancerza się, staje się cyborgiem, a jednocześnie nie wie, kim sam jest. Janusz Palikot mówi mi: „Wiesz, polityka jest dla mnie jak jazda na nartach. Jak chce się szybko pojechać, to czasem cię wyniesie, pierdolniesz głową w drzewo i umrzesz. I ja też nad wszystkim nie panuję”. Cejrowski jest typowym przedstawicielem tego pokolenia szaleńców. Wychowaliśmy się w totalnie barbarzyńskich czasach. Nie wiemy, co to wspólnota społeczna. Nawet czasy Gierka znamy z ich schyłkowego okresu, kiedy kurczaki zaczęły zdychać, bo paszy już nie było. Znamy za to państwo spalone nielegalną zewnętrzną przemocą, społeczeństwo kojarzy nam się z chaosem i mierzwą... Nas potraktowano brutalnie. Naszemu pokoleniu nie stworzono martyrologii. Gdyby Basi Toruńczyk połamano palce, tak jak Cejrowskiemu, to byśmy codziennie te palce całowali pod pomnikami, a jemu połamano i został uznany za faszystę.

Może przed nami trzeba chronić świat? - kontynuuje wywód Michalski. - Ofiary nie są niewinne. Z tych powodów my jesteśmy groźni i może miał rację Adam Michnik, że najbardziej chciał nas zabić. Obserwuję tę tworzoną przez nas groźbę, ale wolę z nią rozmawiać, klócić się, opowiadać o niej. A Cejrowski jest absolutnie jednym z czołowych bohaterów mojej opowieści pokoleniowej. Nie posiadając punktów odniesienia, nienamaszczony za swoje rany, a wręcz za nie

karany, po prostu zdziczał. A on zasługuje na szacunek. Nie pozwolę poświęcić teraz Palikota na stosie. Niech się spalą Tusk i Kaczyński, bo to oni nakręcili tę spiralę. Na stos niech idą panowie z „Zeszytów Literackich”, „Gazety Wyborczej”, PiS-u, PO, starcy „Solidarnościowi”, którzy wszystko rozpieprzyli na swojej drodze. Przez nich zdziczał Cejrowski i inni z pokolenia '64. Wiem, że teraz będę się bil z moimi rówieśnikami. Z Cejrowskim nie będę się zgadzał co do pakietu wrogów złożonego z zomowca, pedała, feministki, liberała, politycznej poprawności i skarbowki. Teraz atakuję go z otwartą przyłbicą. Jest silny, stoi mocno na własnych nogach i dlatego, jak słyszę jego antypedalskie wypowiedzi, to mówię NIE. To jest zbyt brutalne, a on jest za silny, żeby sobie na to pozwolić. A jednocześnie my jesteśmy krew z krwi.

KUL

Katolicki Uniwersytet Lubelski zajmuje w sercu WC szczególne miejsce. To tam w latach 80. rozpoczął studia na wydziale historii sztuki. Wkrótce został z nich relegowany za notoryczne opuszczanie zajęć i wykładów, gdyż zamiast karnie siedzieć na wykładach, wołał włączyć się po meksykańskich piramidach i wykopaliskach. Wówczas decyzję uczelni przyjął z pokorą.

- KUL uważam za dobro narodowe - tłumaczy dziś WC. -To jedyna uczelnia prywatna, i do tego katolicka, która przetrwała w świecie komunistycznym. Wiele wartościowych postaci, które nie poszły na współpracę z ubecją, mogło dzięki niej ukończyć studia. Nigdzie indziej ich nie przyjmowano.

KUL

Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II (łac. Uni-versitas Catholica Lublinensis Ioannis Pauli II) - prywatny uniwersytet katolicki w Lublinie, posiadający pełne prawa uczelni publicznej. Założony w 1918 roku jako Uniwersytet Lubelski. W 1928 roku do nazwy tej

dodano przymiotnik „Katolicki”, a w dniu 16 października 2005 roku, na podstawie uchwały Senatu zatwierdzonej przez Episkopat Polski, uczelnia zmieniła nazwę po raz kolejny: na Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II. Uczelnia powstała z inicjatywy ks. Idziego Radziszewskiego, który zbierał fundusze na powstanie katolickiej uczelni w Polsce wśród Polonii w Petersburgu. W 1918 roku pomysł został zaakceptowany przez polskich biskupów oraz nuncjusza Stolicy Apostolskiej i 27 lipca, decyzją Zjazdu Biskupów Królestwa Polskiego, został powołany Uniwersytet Lubelski. Uruchomiono cztery wydziały: teologiczny (otwarty w 1919), prawa kanonicznego, prawa i nauk społeczno-ekonomicznych oraz nauk humanistycznych. KUL zdobywał kolejno uprawnienia państwowe, a wkrótce, mimo że miał status uczelni prywatnej, uzyskał także prawo do dotacji państwowych. Otrzymał także własny gmach: XVIII-wieczny budynek po dominikanach usytuowany przy Alejach Racławickich, w samym centrum miasta. W trakcie II wojny światowej Uniwersytet prowadził tajne nauczanie dla swoich studentów. W czasach PRL uczelnię udało się reaktywować dzięki inicjatywie ks. prof. Antoniego Słomkowskiego. Zaczęli tu wykładać profesorowie przesiedleni przymusowo z Kresów Wschodnich, głównie z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Początkowo nowe władze sprzyjały katolickiej uczelni. później jednak stała się ona celem ataków. Znacjonalizowano podstawowe źródło finansowania KUL, jakim był liczący 7 tys. ha majątek rolny Fundacji hr. Potulickich w Potulicach koło Nakła. W 1949 roku zabroniono przyjmowania nowych studentów na niektóre świeckie

kierunki, co miało doprowadzić do ich likwidacji, pozbawiono funkcji rektora ks. Słomkowskiego - za to, że nie chciał zalegalizować na uczelni komórki partyjnej i młodzieżowej organizacji komunistycznej. Uniwersytet był stale inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa, utrudniano życie studentom i wykładowcom, cenzurowano publikacje uczelni. Dopiero lata 90. XX wieku przyniosły znaczną poprawę sytuacji. KUL zaczął otrzymywać część funduszy ze Skarbu Państwa, zniesiono cenzurę, uczelnia zaczęła rozwijać bazę dydaktyczną.

Miłość WC do KUL-u do niedawna nie była odwzajemniana przez władze uczelni. W 1998 roku, kiedy Wojtek przyjechał na pierwsze po latach spotkanie ze studentami, zobaczył drzwi uczelni zamknięte na kłódkę. Okazało się, że WC-kwadransiarz, ekstremista wyrzucony z telewizji publicznej, nie jest mile widziany przez władze katolickiej uczelni. Spotkanie zostało przeniesione do Klubu Inteligencji Katolickiej. Wtedy z braku miejsca ludzie stali w śniegu przed otwartymi oknami.

Kiedy jedenaście lat później studenci ponownie zaprosili go do Lublina, obawiali się, by znowu nie doszło do jakiejś niezręcznej sytuacji. Dlatego wymyślono szczególną okazję do spotkania. Jak już wspominaliśmy, zgodnie z dawnym pomysłem taty - Stanisława Cejrowskiego - senat studentów postanowił przyznać WC tytuł magistra honoris causa. Kilka dni później podobna ceremonia, i to z większą pompą, została powtórzona na Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu.

- Ponieważ wchodzę w wiek mentorski - tłumaczy WC - coraz większą frajdę sprawia mi tłumaczenie komuś w zwięzły sposób trudnych kwestii. Robię to w „Boso przez świat” -w 20 minut podaję kompendium wiedzy razem z interpretacją. Dlatego postanowiłem w końcu nie tylko zrobić magistra, ale w ciągu kolejnych lat dojść do profesury.

Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jeśli to zrobię na KUL-u, gdyż przy obecnym zalewie uczelni prywatnych trzeba wspierać swoich. Wiele przedmiotów mi przepisano ze starych indeksów, ale różnice programowe w ciągu 25 lat zrobiły się znaczące. Mam indywidualny, eks-ternistyczny tok studiów, ale i tak podczas każdego wyjazdu do Lublina zdaję po kilka egzaminów.

7 czerwca 2010 roku WC obronił licencjat i natychmiast zapisał się na studia magisterskie. Nie jest prymusem. Ale jest przykładem.

ŚMIERĆ

Wieczorem 14 kwietnia 2009 roku, w wieku 69 lat zmarł Stanisław Cejrowski. Tydzień wcześniej zabierał głos na Walnym Zjeździe Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego. Był na Pomorzu w odwiedzinach świątecznych u siostry, we wtorek nagle poczuł silne bóle brzucha, o godzinie 16.00 wezwano pogotowie, lekarz doradził odpoczynek. Tata Stanisław zadzwonił do syna. Powiedział, że źle się czuje i wcześniej niż zazwyczaj idzie spać. Zasnął na zawsze pół godziny później, o 19.00.

Paweł Brodowski, redaktor naczelny „Jazz Forum” napisał w tekście pożegnalnym:

Był barwną postacią polskiego środowiska jazzowego, jednym z najbardziej przedsiębiorczych działaczy, człowiekiem niezwykle pracowitym, o niespożytych siłach i determinacji. Drogi Staszku! Trudno wyliczyć wszystkie Twoje liczne zasługi, wiele Tobie zawdzięczamy, będzie nam Ciebie bardzo brakowało.

W sobotę 18 kwietnia, w rodzinnym Pelplinie odbył się pogrzeb. Nabożeństwo miało miejsce w kościele Bożego Ciała. W kondukcje żałobnym, oprócz najbliższej rodziny i przyjaciół, udział wzięli przedstawiciele kultury polskiej: Krzysztof Sadowski (prezes Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, który podczas mszy wykonał na starych pelplińskich organach bluesa zadedykowanego pamięci



Stanisław Cejrowski - 1969

zmarłego), ksiądz Zdzisław Ossowski (dyrektor Festiwalu Gospel w Osieku), Ryszard Rabeszko (Prezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych), Tomasz Woźniak (organizator festiwalu Old Jazz Meeting - Złota Tarka, reaktywowanych przez Cejrowskiego w iławskim amfiteatrze), Roman Kurowski (dyrektor Jazz Promotion Company Perdido), Jerzy Bojanowski (reprezentujący Starą Stodołę) oraz Zbigniew Konopczyński (puzonista zespołu Old Timers).

Nad grobem Wojciech Cejrowski w sposób wzruszający wspominał ojca jako osobę wyjątkową, która poświęciła swe życie muzyce jazzowej i pracy na rzecz innych, za co zostanie na pewno nagrodzona na tamtym świecie. A Wojciech Sierpiński, prezydent Klubu Rotary odczytał wiersz napisany przez poetę Bogdana Loebła, sąsiada Stanisława Cejrowskiego, autora większości tekstów grupy Breakout.

W ostatnich latach przed śmiercią Stanisław Cejrowski zaangażował się w realizację pomysłu przyjaciół Czesława Niemena, do których także należał, by drewniany dom rodzinny artysty w Starych Wasiliszkach na Białorusi wyremontować i przekształcić w jego muzeum. I wszystko wskazuje na to, że muzeum to powstanie. Lista dokonań Stanisława Cejrowskiego jest

długa i trudno je zliczyć, ale ważne na niej miejsce zajmuje Iława. W 1994 wpadł na pomysł reaktywowania tu festiwalu Old Jazz Meeting. Rok później festiwal ten znalazł się w kalendarzu najważniejszych imprez o charakterze międzynarodowym. Przez trzy lata był jego dyrektorem. Doprowadził do tego, że iławski amfiteatr otrzymał imię Louisa Armstronga. WC także, w pewnym sensie, otrzymał imię tego wielkiego jazzmana - otóż Armstrong miał na drugie Daniel i WC także otrzymał na drugie Daniel. Stanisław Cejrowski dopisał je w ostatniej chwili tuż przed chrztem swojego pierworodnego syna. Ksiądz uniósł brew zdziwiony i pyta:

- *Żydowskie, z Księgi Daniela?*
- *Nie, proszę księdza. Murzyńskie, z Luizjany* - odpowiedział pan Stanisław.

W rocznicę śmierci ojca WC pojechał do Nowego Orleanu -miejsca, gdzie Louis Armstrong zaczynał karierę w ulicznych zespołach dixielandowych. Wynajął tam jedną z takich orkiestr i kazał jej przemaszerować główną ulicą Bourbon Street, grając starą pieśń pogrzebową „Kiedy wszyscy święci idą do nieba”.

- *Miałem ojca zabrać do Nowego Orleanu. Był wszędzie w Stanach, ale tu ze mną nie dojechał. Miałem go zabrać... Nie zdążyłem. To chociaż tak...*

Na początku sierpnia roku 2010, na grobie Stanisława Cejrowskiego w Pelplinie stanął kamienny krzyż w starym stylu - wysoki na ponad dwa metry, zdobiony w stylu gotyckim podobnie jak pelplińska katedra.

- *Kazałem skopiować jeden z zabytkowych krzyży, który stoi pod kościołem* - opowiada WC w wywiadzie dla pelplińskiego radia „Głos”. - *Pokazuję oryginał kamieniarzowi, a ten pyta:*
- *Z czego to ma być? Z czarnego granitu?*
- *Coś pan, zglupiał?! Z czarnego bym stawiał, gdyby ojciec siedział w piekle, a on jest świętym w niebie i ja się do niego modłę*

w różnych sprawach. W końcu to mój
najbliższy krewny tam na górze.
- No to może biały krzyż?
- Coś pan, jaki biały?! Złoty ma być! Kolor
królewski, kolor aureoli.
- Gdzie ja pana znajdę złoty granit?
- A złoty, radosny, słoneczny?
- Poszukam, ale... Panie Cejrowski, złoty
krzyż?
- Ma być widoczny z daleka i wesoty! Jak
mój ojciec. Ma z daleka błyszczeć! Jak
jazzowa trąbka!

Taki też jest ten krzyż. A pośród kwiatów i
zniczy stoi pod cym krzyżem buteleczka
tabasco. (Odkrecona i wbita, w ziemię sżyjka
w dół). To ten piekielnie ostry sos z Luizjany -
ulubiona przyprawa obu panów Cejrowskich.
Kiedy ludzie w Pelplinie widzą na grobie
świeżą buteleczkę, mówią: *O, Wojtek, był.*

NA KONIEC

\VC wścieka się, kiedy ludzie naruszają jego
prywatność. Nie jest niczyją własnością i nie
chce nią być. Ludzie uzurpują sobie prawo do
niego na zasadzie *ten pan był u mnie w domu*
(w telewizorze), *kiedy siedziałem w gaciach i*
jadłem kanapkę. Więc kiedy spotykają go na
żywo w pociągu, to jest: *No to co, panie*
Wojtku, pogadamy? Może ka-napeczkę?. A on
sobie tego nie życzy. Była niedawno taka
sytuacja w Meksyku. Siedział z przyjaciółmi, a
obok jakaś polska grupa. Filmowali go spod
stołu przez cały wieczór. Były dwie kamery,
więc nawet nie miał jak się odwrócić plecami,
bo zaraz ta druga go chwytła. Albo innym
razem, kiedy w mieście Meksyk modlił się z
siostrą i jej dziećmi w sanktuarium Matki
Boskiej z Guadalupe - to taki meksykański
odpowiednik naszej Jasnej Góry - jacyś tury-
ści z Polski robili mu zdjęcia. No to opieprzył
ich, bo był w kościele i nie życzył sobie zdjęć
w świętym miejscu. A potem były wpisy na
forach internetowych, że *spotkalismy w*
Meksyku Cejrowskiego, wyjątkowo opryskliwy
typ. Ale już bez kontekstu, że zaczepiali
faceta, który się modlił, bo chcieli sobie zrobić
zdjęcie z misiem.

WIKTORY

„Wiktory”-przyznawane od 1985 roku nagrody dla wybitnych postaci małego ekranu. Honoruje się nimi tych, którzy dzięki swej osobowości, wiedzy czy umiejętnościom zapisali się w pamięci widzów. Pomysłodawcą „Wiktorów” był dziennikarz telewizyjny Józef Węgrzyn. Od 1995 roku laureaci wybierani są przez Telewizyjną Akademię Wiktorów, złożoną z laureatów poprzednich edycji. Nagrodę przyznaje się w dziesięciu kategoriach. „Wiktor” to niewielka statuetka z brązu, którą można otrzymywać wielokrotnie. Natomiast specjalny, pozaregulaminowy „Superwiktor”, przyznawany tylko raz, za całokształt twórczości, jest dodatkowo połączony.

Dwudziestego pierwszego maja 2010 roku odbyła się jubileuszowa, dwudziesta piąta gala wręczania telewizyjnych „Wiktorów”.

Wiele obecnych na sali gwiazd szklanego ekranu, a zapewne i niejedyn z widzów poczuł się zaskoczony, gdy za telewizyjne „Odkrycie Roku 2009” szanowna Akademia uznała Wojciecha Cejrowskiego. Nieco skonfundowany Maciej Orłoś tak zapowiedział laureata:

- No, można mówić o nowym, powtórnym odkryciu - Wojciech Cejrowski.

A ponieważ WC przebywał wówczas w Nowym Orleanie, przemówił z taśmy i w ten oto sposób podziękował elicie telewizyjnej za zaproszenie na galę:

- U mnie dzień dobry, u państwa dobry wieczór. Szanowni państwo, dziękuję za zaproszenie, ale ono przyszło 15 lat za późno. Przyznam, że ja już byłem nominowany jako Odkrycie Roku za „WC

kwadrans" i jeszcze dodatkowo byłem wtedy nominowany jako: Osobowość TV, Najlepszy Prezenter, Najlepszy Publicysta, Dziennikarz i Aktor. Tylko wtedy państwo mi nie przysłali zaproszenia na tamtą galę. Dlaczego? Z powodu poglądów! Żeby Cejrowskiego nie było na sali, bo on jest „BE”. Uprzejmie informuję, że moje poglądy się nie zmieniły: „Precz z komuną!” i „Precz z aborcją!”

A na zakończenie WC walnął pięczę w stół, *zabrał* „Wiktora”, a pozostawił po sobie słynny kubek z „WC kwadransa”.

A TAK NAWIASEM (4)

Błazen jest jedną z postaci, w których od tysięcy lat w najodleglejszych kulturach świata pojawia się archetyp trickstera.

To figura znana z większości mitów: cechy trickstera mają Kojot i Kruk w opowieściach północnoamerykańskich Indian, Loki w mitologii nordyckiej, grecki Hermes i jego rzymski odpowiednik Merkury. Tricksterem jest Prometeusz, diabeł w ludowym folklorze Słowian albo Hanuman z wyjątkowo liczego panteonu bóstw hinduizmu. Tricksterską osobowość odziedziczyli po swoich mitycznych pierwowzorach także liczni bohaterowie literaccy i filmowi: od Pantagruela, Falstaffa (lub naszego Zagłoby) czy Szwejka, po chaplinowskiego wagabundę, walczącego z Batmanem Jokera i królika Bugsa.

Tricksterską praktyka obejmuje cały arsenał dwuznacznych etycznie lub wprost niemoralnych aktów - oszustwa, kradzieży, imitacji, kpiny. Tricksterską domeną jest zabawa, żart, gra, których skutkiem ubocznym jest wylanianie się nowego porządku. Najważniejszy trickster wyjściowej judeochrześcijańskiej opowieści to wąż w rajskim ogrodzie: bez jego interwencji

nie powstałby człowiek taki, jakiego znamy - upadły i wyposażony w autentycznie wolną wolę (bo opartą na pełnej świadomości dostępnych opcji), zdolny do grzechu i tylko dlatego mogący zasłużyć na zbawienie. W końcu - na czym miałyby polegać człowieczeństwo, gdybyśmy nie spróbowali jabłka i nie poznali różnicy między dobrem i złem? Czym bez tej przeklętej wiedzy byłyby nasze wybory i na jakiej podstawie mielibyśmy ich dokonywać?

Metafizycznie motyw trickstera wyraża jeden z podstawowych paradoksów każdej opowieści o Stworzeniu: jak pogodzić absolutną doskonałość Stwórcy ze skończonością powołanej do życia, pod każdym względem niedoskonałej rzeczywistości? Nieskończoność z doczesnością? Ideę i przedmiot? Potrzebna jest tu jakaś pośrednia instancja, nienależąca do żadnego z obu porządków, całkowicie zewnętrzna i dlatego zdolna do mediacji między niedającymi się inaczej uzgodnić kategoriami. Dlatego też trickster sam pozbawiony jest określonej tożsamości: nie jest kobietą ani mężczyzną, nie jest dobry ani zły, może przybierać dowolną postać i odgrywać każdą rolę. Jego motywy są niejasne, a dalekosiężne skutki jego działań dalece wykraczają poza dające się zrozumieć przyczyny.

Trickster wprowadza twórczy chaos. Jest tym, który destabilizuje ustalony porządek i zmienia panujący w nim układ sił. Jest krytyczną energią, dzięki której otwierają się możliwości powstania czegoś nowego. Nie jest rewolucjonistą - nie reprezentuje nikogo ani niczego poza sobą, nie działa w niczym imieniu, intencja jego wywrotowej działalności jest jego tajemnica. Być może nie przyświeca mu żaden cel poza czystą negacją. (F.J.)

EPILOG

Karuzel pół roku później. Znowu czekam tu na pana Wojtka. Ale Karuzel jakby nie ten sam - nowe tapety, czysta wykładzina, dolna salka odmalowana. Co się stało? Ano, stało się to, że Krzysztof, właściciel Karuzela, zajrzał mi któregoś dnia przez ramię i przeczytał fragment wstępu traktujący o jego restauracji.

- Co?? To tak mi się odwdzięczasz za otwarty kredyt? Za najlepszy stolik zawsze do twojej dyspozycji? Za pozwolenie na jaranie w dolnej salce dla niepalących?!!

- No przecież z miłością piszę...

- „Odłóż tapety”? „Śmierząca wykładzina”? Jeśli to jest miłość, to jak u ciebie, kurwa, wygląda nienawiść??

- Krzysiu, to jest książka biograficzna, tu sama prawda musi być, nie mogę przecież...

- A pocałuj mnie w dupę.

Krzysztof gniewał się przez czas jakiś, ale w końcu dał się udobruchać. No i postanowił zrobić generalny remont. Knajpa prezentuje się teraz tak elegancko, że czuję się tu odrobinę nie na miejscu.

- Dzień dobry.

- O, witam, panie Wojtku.

- Co jest? Bo się śpieszę.

- Napisałem.

- Co pan napisał?

- No, książkę o panu. Chciałbym, żeby pan przeczytał i powiedział, co pan o tym...

- Albo pan napisał prawdę, czyli szkoda mojego czasu, bo niczego nowego się nie dowiem, albo pan nakłamał i wtedy brzydzę się to czytać.

- Nie nakłamałem. Ale mogłem coś poprzekręcać, pomylić się. Warto by było, żeby pan...

- Nie pytał mnie pan o zgodę na pisanie, więc niech pan teraz nie szuka usprawiedliwienia, dając mi to do recenzji. Szperanie w plotkach jest jak nurkowanie w szambie.

- W tym tekście nie ma żadnej plotki. Wszystko sprawdzałem w kilku źródłach.

- No to mi pan tą książką zrobi krzywdę. Moje życie osobiste chcę zachować dla siebie i najbliższych! Jeśli ktoś wystawia swoje życie na pokaz, to wtedy ono jest jak dziwka.

- Chyba pan przesadza.

- Jest pan innego zdania - OK. Ale ja nadal uważam, że nie wolno pisać biografii osób żywych. Opublikowanie mojej biografii nieuchronnie zaburzy życie moich bliskich. Ja nie chcę odpowiadać przed nimi za to, że pańska książka sprowadzi im pod dom kamery. Przez tyle lat udawało mi się nie dopuścić, by przez wasze wścibstwo cierpieli moi krewni.

- Jeżeli pan funkcjonuje w sferze publicznej, to musi pan brać pod uwagę, że pańscy przeciwnicy wykorzystają wszelkie środki, by pana zniszczyć, również wyciągając jakieś brudy ze sfery prywatnej.

- Uwaga! Jeśli występuję w obronie wiary albo ojczyzny, i potem ktoś dokonuje inwazji do sfery prywatnej, próbując mnie zniszczyć, to wówczas wszyscy moi ziomkowie mi to wybaczą. Jeżeli ktoś napisze zmyśloną historię na mój temat, a pisali, że jestem pedałem, że mam nieślubne dzieci, a w dodatku są to czarni chłopcy--bliźniacy, to moja rodzina wie, że to jest nieprawda. Wie też, że nie jestem winien takim plotkom. Wtedy oni stają murem w mojej obronie i mówią sąsiadom: „Przecież go znacie, wiecie z kim tu przyjeżdża i wiecie, że to nieprawda. Wiecie, że ani nie pedał, ani nie ma murzyńskich dzieci”. Ale jeśli pojawi się biografia, to wtedy nikt mi nie wybaczy, że dopuściłem do przecieków.

- Niech pan przeczyta tę książkę. Ona nikomu nie robi krzywdy. Jeszcze nie poszła do druku. Jeszcze może pan coś wykreślić, pod warunkiem, że mnie pan przekona, że to naprawdę dla dobra pańskich bliskich. Ale już nie może pan tej książki zatrzymać.

Pan Wojtek odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa. „Książka się jeszcze nie ukazała, a już wyprowadziłem z równowagi dwie osoby”, pomyślałem ze smutkiem. A potem wzruszyłem w myślach ramionami i zamówiłem kolejkę.

Minęły trzy dni. I tym razem spotkaliśmy się w stałym miejscu.

- Czy mogę zrobić coś, żeby ta książka się nie ukazała? - zapytał pan Wojtek bez wstępów i ceregieli.

- Raczej nie.
- A gdybym odkupił prawa?
- I co to panu da?
- Tak jak mówiłem poprzednio, uważam, że nie powinno się wydawać biografii wbrew woli osoby żyjącej. Odkupię prawa i spalę tekst.
- Jeśli nawet pan spali ten konkretny tekst, to ktoś inny napisze następny. W branży już krąży plotka, że szykuje się pańska biografia. Nie zatrzyma pan tego skutecznie. Ktoś mniej rzetelny ode mnie zbuduje z tego nieprawdziwą, brudną historię.
- Wierzę panu. Ale i tak mnie wkurza, że pan to napisał i zamierza drukować. Ta książka doprowadzi do powikłań. Ta książka nawet przy pana najlepszych intencjach jest porażką Wojciecha Cejrowskiego.

I wyszedł, a ja, jak zawsze, kontynuowałem wieczór w Karuzelu.

Sierpień 2010